

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

April 1967

Price 3/6

Cena 3/6

\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# ORZEŁ BIAŁY

SYRENA

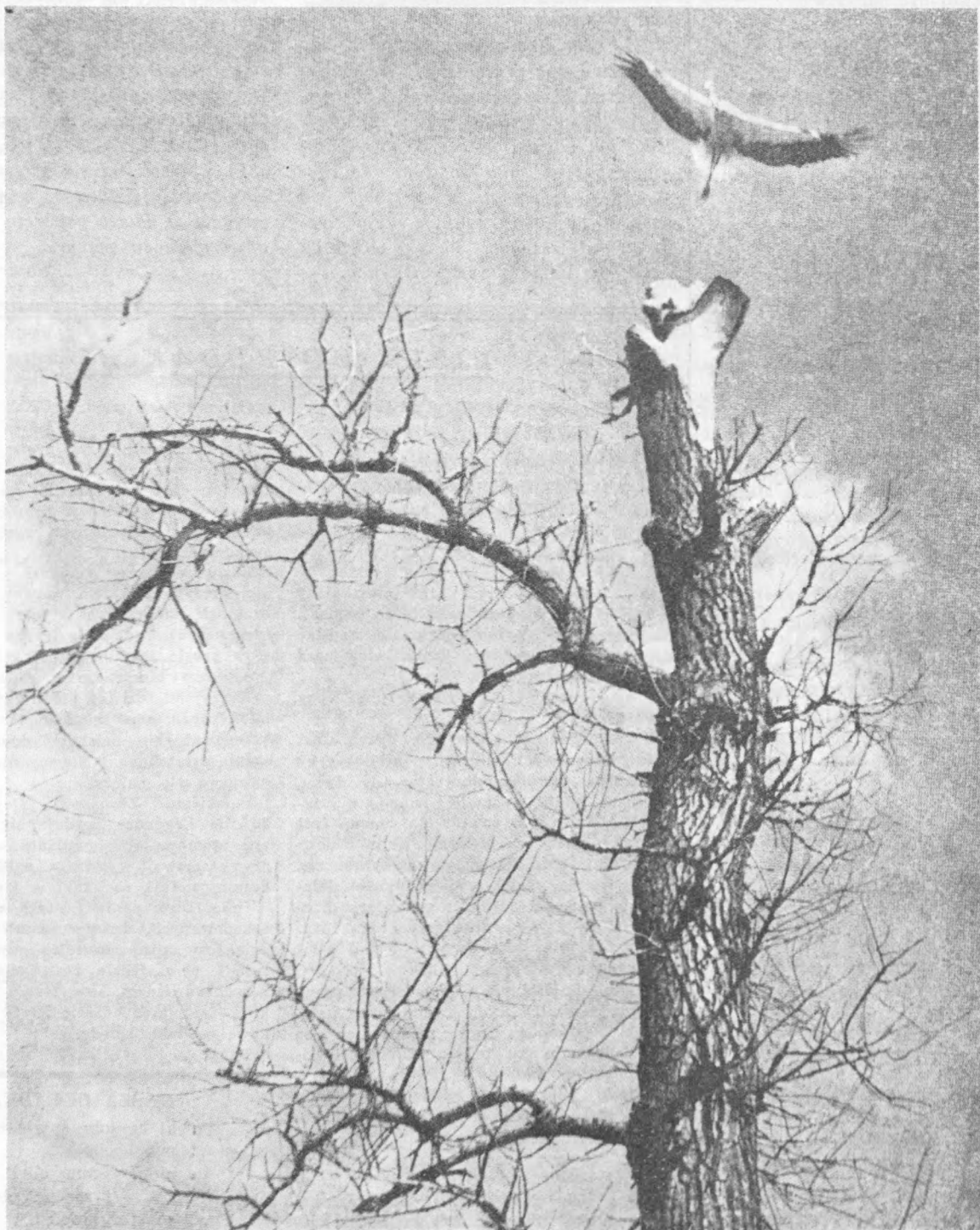
KWIECIEŃ

1967

Nr 33/1180

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



FP 2156

Od Wydawcy	Str. 1
Roman Fajans: Po wyborach francuskich	1
Jan Walewski: Marszałek Piłsudski, Liga Narodów i... medycyna	3
J.H.P.: Między plotką i anegdotą	4
Konstantyn Zelenko: Ukraina walcząca o swój byt narodowy	5
W. Opolski: Pozycja ekonomisty w Polsce Ludowej	9
Wiślan: Kraj kontrastów	11
W. Netter: Niezwykli ministrowie	12
Klara Evans: Wspomnienie z tamtych stron	13
Historyczne zdjęcie	15
A. Chilecki: Stosunki w dziennikarstwie krajowym	17
J.O.N.: Życie kulturalne Londynu	19
Z. Stahl: Oprócz Chin są w Azji — Indie	21
K. Z. Vincenz: Obchody millenijne	23
S. Blaszczyk: Śp. płk Wartha	23
Cz. Jeśman: Tybet w sowieckiej strategii	24
F. Hądzel: Księgozbiór polski dla uniwersytetu Canberra	26
J.D.: Belgijski patriota o polskim sercu	27
S. Legeżyński: The Sun Without Warmth	28
K. Brzozowska: Ogniowa próba człowieczeństwa	29
J. Tokarski: Posępny humorysta	32
P. Hęciak: Piłka nożna potoczyła się także do Stanów Zjednoczonych	35
Mina Tom'kiewicz: TMP czyli turystyczne minipchełki	26
J. Ostrowski: Filozofia na rozdrożu Wydawnictwa nadesłane	37 38
Z różnych dziedzin	39
Świat się śmieje	40

Od mego pierwszego „występu“ na łamach „Orla Białego“ w r. 1945 mija dwadzieścia dwa lata. Przez ten długi okres dałem „Orłowi“ tyle, na ile mnie było stać; w latach, które w życiu mężczyzny uchodzą za najbardziej wydajne. Nie wszystkie z moich planów wydawniczych i redakcyjnych, często może nazbyt ambitnych, pozwoliły się zrealizować. Nie wszystko też z tego co zrobiłem lub usiłowałem zrobić, przypadło każdemu do smaku.

Nie chcę ani się tłumaczyć z niepowodzeń ani przechwalać się osiągnięciami. Chcę zato podziękować tym, z którymi w „Orle“ współpracowałem. Było ich bardzo wielu. Więc z imienia wspomnę tylko śp. Ryszarda Piestrzyńskiego, mego przetożonego, po którym objąłem redakcję, oraz mego najbliższego współpracownika przez długie lata trudnej pracy, re-

daktora Pawła Hęciaka. Dziękując proszę wszystkich obecnych współpracowników, których grono bardzo się poszerzyło, by pomogli memu następcy, tak jak mnie pomagali. Jemu życzę jak najszybszego powodzenia w pracy. Jej warunki nie będą łatwiejsze od tych z którymi ja się borykałem.

Dziękuję też serdecznie wszystkim pracownikom drukarni „Gryf“ z jej długoletnim dyrektorem Władysławem Kowalewskim na czele, którego przyszło mi przez kilka lat zastępować. Bez ich życzliwej i fachowej współpracy „Orzeł“ nie mógłby osiągnąć poziomu graficznego, którym się dziś cieszy.

I wreszcie, a właściwie przede wszystkim, dziękuję czytelnikom, prosząc ich o dalsze poparcie dla naszego wspólnego pisma.

Paweł Zaremba

## LISTY DO REDAKCJI

### O WYJAŚNIENIE USTAW O ODSZKODOWANIACH

OTRZYMALIŚMY OD CZYTELNIKA Z FRANCJI LIST, KTÓRY W DRODZE WYJĄTKU DRUKUJEMY, MIMO ŻE JEST NIEPODPISANY.

W zeszyte lutowym 31/1178 Pan J.P.H. w „Między plotką i anegdotą“ pisze:

„Jeśli się coś dzieje, ktoś mieszkający w tymże Paryżu bez trudu może napisać. Na pewno, jeśli tylko będzie się trzymać kupy i będzie ciekawić kogokolwiek poza piszącym, wydrukujemy“.

A no zobaczymy czy wydrukujecie. Kupy się trzyma!

Ulica Legendre, numer 20, Paryż. Jest piękny dom, jest w nim popijalnia, by wyschnięte gardła przywracać do życia, jest jadłodajnia, by tacie i mamie nie zabrakło paliwa na powrót do domu. Jest w nim, na trzecim piętrze, piękna widownia z krzesłami, jest mównica. Zdarza się, że są gaduły, gadulscy i gadułowicze. Zdarza się, że są gwiazdki i gwiazdory. Zdarza się, że na pogwarki przychodzą różni ludzie.

Czego jednak brak?

Zebrań publicznych, na których prawnik przedstawiłby wydane dotychczas ustawy o odszkodowaniach niemieckich za prześladowanie, za to, że byliśmy i zostaliśmy Polakami.

Dzisiaj, gdy chodzi tylko o omówienie tego co już wydano, uchwalono, wydrukowano lecz w języku niemieckim, czyli nam obcym i obcym bo prawniczym wielokrotnie mieszanym, aby był jak najmniej strawny. Jest w nim nawet, że Żydzi nosili gwiazdy żydowskie, trudno jednak zna-

leć, że Polacy musieli nosić naszyte „P“ (Polen).

Ten niemiecki język prawniczy umożliwia Niemcom nieplacenie odszkodowań już tyle lat, choć nas zmusił do slania listów i wydawania pieniędzy na różne starania, na sprowadzanie różnych wymaganych zaświadczeń.

Aż dziw bierze, że nasi prawnicy nie odpowiadają językiem prawniczym na zebraniach publicznych w języku polskim o tym, co już wydano w języku niemieckim, a co urosło już do grubej książki.

Aż dziw bierze, że ci co szli tyle lat z bagnietami, dzisiaj nie urządzają zebrań publicznych, choć wiadomo, że sprawa odszkodowań nie ucichnie, dopóki nie zostanie załatwiona i Niemcy nie zapłacą co każdemu się należy.

Polskiemu Związkowi Deportowanych, 20 rue Legendre, wydaje się, że to już era atomowa i komunikaty czyli pigułki ery atomowej wystarczą polskim poszkodowanym (tak są skąpi w treści).

Fróć tego, ponieważ tych biedaków poszkodowanych, którzy zostali na Zachodzie jest kupa, może ich odwiedzić jak ksiądz po koledzie i ogłosić reportaże z tych odwiedziń, aby jeszcze lepiej to się kupy trzymało. Możecie liczyć na kieszonkowe za taką koledę.

Paryż 17.

### NASZA OKŁADKA

Polski krajobraz wiosenny...  
...„pan bocian,  
co pierś ćmną odul,  
postrach grających bagien  
i opiekun stodół“.

Zawiadamiamy czytelników, że redaktor naczelny „ORŁA BIAŁEGO” Paweł Zaremba odszedł z tego stanowiska, z dniem 1 kwietnia br.

Wiadomość tę podajemy nie bez żalu, gdyż osoba Pawła Zaremby była związana z „ORŁEM” od szeregu lat, ściśle mówiąc od roku 1949 tj. od czasu, kiedy pismo nasze po dwu i pół roku ukazywania się w Brukseli zostało przeniesione do Londynu. Redaktorem naczelnym wówczas był Ryszard Piestrzyński, Paweł Zaremba jego zastępcą. Następnie, w r. 1959, jeszcze za życia Piestrzyńskiego, któremu stan zdrowia nie pozwalał na kierowanie pismem, Paweł Zaremba przejął obowiązki redaktora naczelnego i pełnił je do chwili obecnej.

Dziennikarstwo jest żywiołem Pawła Zaremby tak jak żywiołową w swym rozmachu jest jego osoba. Nawet ci, którzy znają go z bliska, z podziwem patrzyli na jego wielostronną działalność: obok bowiem absorbującej codziennie pracy redaktorskiej, umiał on w jakiś sobie tylko znany sposób znajdować czas na pisanie prac historycznych, na pisanie artykułów w innych pismach, na pracę w rozgłośniach radiowych, a przede wszystkim na kierownictwo firmą wydawniczą GRYF PUBLICATIONS i drukarnią GRYFU.

Czytelnicy naszego pisma znają go także jako autora doskonałych felietonów „Między plotką i anegdotą”, które zresztą, zamierza kontynuować. Pozostaje on bowiem nadal w gronie współpracowników naszego miesięcznika oraz w zarządzie drukarni GRYF PRINTERS.

Mamy głęboką nadzieję, że jego przyszłe obowiązki pozwolą mu nadal rozwijać jego talent dziennikarski.

Pragniemy jednocześnie zawiadomić, że stanowisko redaktora naczelnego „ORŁA BIAŁEGO” oraz kierownika firmy wydawniczej GRYF PUBLICATIONS Ltd., objął Antoni Czulowski, dotychczasowy współpracownik i członek redakcji „ORŁA BIAŁEGO”.

Stowarzyszenie Polskich  
Kombatantów  
Federacja Światowa



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 33/1180

KWIECIEŃ 1967

Rok XXVI

ROMAN FAJANS

## PO WYBORACH FRANCUSKICH

Wyniki drugiej tury wyborów francuskich zaskoczyły nie tylko najwytrawniejszych obserwatorów zagranicznych, lecz i opinię francuską. Rezultat pierwszej tury zdawał się zapowiadać poważny sukces w drugiej turze dla tzw. V-jej Republiki, czyli dla dwu zablokowanych stronnictw gaullistowskich, U.N.R.-U.D.T. i niezależnych Republikanów Giscard D'Estaing, sukces, w'nien się był zmateriałzować zdobyciem 255 do 280 mandatów. Recywiści okazała się całkiem inna. W wyniku drugiej, decydującej tury, gaulliści stracili 40 mandatów, w stosunku do ich stanu posiadania w obecnym Zgromadzeniu Narodowym, i otrzymali ich zaledwie 244, czyli o jeden tylko ponad absolutną większość. Lewicowa Federacja Mitteranda, złożona z partii socjalistycznej S.F.I.O., radykałów i klubów politycznych zdobyła 116 mandatów, czyli zyskała 25 do 27, P.S.U. zaś (Zjednoczona Partia Socjalistyczna, czyli lewica socjalistyczna) pięć mandatów, podczas gdy posiadała ona ich dotychczas tylko jeden.

Prawdziwym zwycięzcą wyborów stała się jednak francuska kompartia. Z 41 mandatów w obecnej Izbie skoczyła ona na 73, głosów zaś uzyskała o cały milion więcej, niż w wyborach z 1962 r. Oczywiście, ogólna ilość oddanych głosów była tym razem o 4 miliony większa, niż przed czterema i pół laty. Przyrost głosów jednak oddanych obecnie na kompartię jest proporcjonalnie większy, niż przyrost głosów w ogóle. Poza to, nie nie wskazywało na to,

by ten milion nowych głosów paść miał właśnie na partię komunistyczną, nie zaś, częściowo przynajmniej, na kandydatów innych stronnictw, jak miało to np. miejsce w wyborach z 1962 r.

Jeśli chodzi o ilość mandatów uzyskanych przez gaullistów i przez komunistów, wszystkie przewidywania, wszystkie bez wyjątku sondaże różnych francuskich Gallup'ów okazały się błędne. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że nie zwróciły one dostatecznej uwagi na fakt, że już w pierwszej turze, głosy oddane na kandydatów trzech głównych formacji lewicowych (Federacji, kompartii i P.S.U.) przewyższały, łącznie ilość głosów oddanych na kandydatów gaullistowskich. Po wtóre, gdyż nie przewidziano właściwie następstw koalicji wyborczej, zawartej między tymi trzema formacjami. Przypuszczano wprawdzie, że w wyniku tego porozumienia, znaczna większość kandydatów tych formacji, którzy zajęli tylko drugie miejsce w pierwszej turze, wycofa się, ustępując miejsca lepiej uplasowanemu kandydatowi. Nie wierzono jednak, by wszyscy kandydaci socjalistyczni i radykalni, którzy znajdą się w tego rodzaju położeniu, usłuchali rozkazów partii i wycofali się na rzecz kandydatów komunistycznych. Jeszcze zaś mniej wierzono, by wyborcy socjalistyczni i radykalni oddali, w całości lub w znacznej większości, swe głosy na komunistów. Okazać się jednak miało, że, z czterema tylko wyjątkami (na 486 okręgów wyborczych), nie

tylko kandydaci zastosowali się ściśle do wskazówek swych stronnictw i do postanowień paktu wyborczego lewicy, lecz wyborcy, w ogromnej większości, oddali, w drugiej turze, swe głosy na „jedyne kandydata lewicy“, którym był, w bardzo wielu wypadkach, komunista.

Więcej, nawet niektórzy wyborcy Centrum głosowali, w tej drugiej turze, na komunistę, znaczna zaś ich ilość na kandydata Federacji lewicowej, podczas gdy spodziewano się na ogół, że około 3/4 z nich odda głosy na kandydata V-ej Republiki

Co do gaullistów wreszcie, wielu z nich sądziło, że daleko posunięty flirt de Gaulle'a z komunistycznym Wschodem i zupełny brak jakichkolwiek ataków ze strony reżymu przeciw kompartii skłonią dość poważną ilość wyborców, tradycyjnie komunistycznych, do oddania głosów na kandydatów gaullistowskich, tak jak stało się to w 1958 i 1962 roku.

R z e c z y w i s t o ś ć okazała się jednak wręcz odwrotna. Nie tylko wyborcy, którzy tradycyjnie głosują na kompartię, nie głosowali tym razem inaczej, lecz spora ilość wyborców, o sympatiach raczej skrajnie lewicowych, którzy jednak wahali się dotychczas oddać głosy na stronnictwo „separatystów“, jak swego czasu nazywał komunistów de Gaulle, powiedziała sobie obecnie, że skoro sam Generał tak kokietuje komunistów, nie tylko zagranicznych, lecz i francuskich, dlaczego oni, wyborcy, nie mieliby głosować na kompartię? Wizyty de Gaulle'a w Moskwie i Kosygina w Paryżu, czerwone chorągwie z sierpem i młotem, które, z okazji tej ostatniej wizyty, powiewały na pałacu Elizejskim, na gmachu Prezydium Rady ministrów, na Quai d'Orsay, z dwu stron Pól Elizejskich itd., nie przeszły bez wrażenia... Te wszystkie błędne przewidywania, to niedostateczne uwzględnienie czynników politycznych, taktycznych i psychologicznych doprowadziły do całkiem mylnej oceny szans i sytuacji.

\* \* \*

Błędem byłoby jednak twierdzić, że polityka zagraniczna gaullistowskiego reżymu zaważyła wydatnie na szali wyborów. Polityka zbliżenia, odprężenia z komunistycznym Wschodem nie jest bynajmniej potę-

piana przez większość publicznej opinii francuskiej. Opinia ta, zresztą, interesuje się raczej niewiele zagadnieniami międzynarodowymi i polityka zagraniczna z pewnością nie odegrała wielkiej roli w takim czy innym głosowaniu wyborców. Jeśli wpłynęła ona na stanowisko pewnych wyborców, to tylko pośrednio, pozwalając francuskiej kompartii wyjść z getta, w którym znajdowała się przez 18 lat i stać się, w oczach wyborców, tak samo „dobrą“ partią, jak inne. Jednym słowem, większość wyborców francuskich przestała się bać komunizmu. Dotyczy to w pierwszym rzędzie wyborców lewicowych.

Jeśli chodzi o wyborców umiarkowanych, tzn. centrowców, którzy w pierwszej turze głosowali na kandydatów Jana Lecanuet, i centroprawicowych, którzy razem stanowili dotychczas główne, najsolidniejsze poparcie dla de Gaulle'a i jego reżymu, stwierdzić należy, że znaczna ich ilość odłączyła się od nich w obecnych wyborach. Przyczyna tego rozrodu jest natury raczej psychologicznej. Bardzo wielu spośród tych wyborców irytuje w najwyższym stopniu, doprowadza nawet często do rozpacz „styl“ de Gaulle'a, jego zarozumiałość, samowładność, przekonanie o własnej nieomyślności, pogarda dla innych. Te właśnie czynniki sprawiły, że wyborcy ci nie chcieli więcej głosować na kandydatów, których uważali za ślepych wykonawców woli Generała. Charakterystyczny pod tym względem wydaje mi się następujący fakt: Niezależni Republikanie Giscard d'Estaing uzyskali w obecnych wyborach o 10 mandatów więcej, niż posiadali ich w ostatniej Izbie, co dowodzi, że U.N.R.-U.D.T. straciła takowych, nie 40, lecz 50. A przecież tzw. giscardowcy są również gaullistami, lecz nie „bezwarunkowymi“. Okazało się więc, że słynne „Tak, ale...“ Giscarda d'Estaing jest popłatne...

Najistotniejszą jednak przyczyną porażki gaullistów była z pewnością gospodarcza i społeczna polityka V-ej Republiki. Polityka ta stanowi jej prawdziwą piętę Achillesową. Od 1958 r. produkcja przemysłowa francuska wzrosła o 50% do 60%, produktywność mniej więcej o tyleż, byt zaś materialny pracowników francuskich nie poprawił się niemal

wcale. Podług urzędowych statystyk, około 4 miliony pracujących zarabia obecnie najwyżej 600 fr. (ca. 43 funty) miesięcznie. Paręset tysięcy częściowych bezrobotnych ma zarobki jeszcze znacznie mniejsze. Tzw. plan stabilizacyjny, stosowany od blisko trzech lat, kontroluje ściśle wzrost płac, nie hamuje jednak wzrostu cen. Na odcinku budownictwa mieszkaniowego, rezultaty polityki rządowej są wręcz opłakane. W tej dziedzinie, Francja wlecze się w ogonie krajów zachodnich. Polityka mieszkaniowa zmieniana była, czasem dwa i trzy razy rocznie. Wciąż wydawano nowe przepisy, tak że nikt już prawie nie orientuje się w ich dżungli. Raz przyznawano kredyty na pewne obiekty mieszkaniowe, kiedyindziej wstrzymywano te kredyty. Nigdy nie potrafiiono położyć kresu spekulacji terenami budowlanymi. Szkół budowano zbyt mało, nauczycieli nie angażowano w dostatecznej liczbie, gdyż płace ich są tak niskie, że brak jest kandydatów. Szpitalnictwo francuskie znajduje się w stanie opłakanym, wręcz alarmującym. Większość francuskich szpitali mieści się w najzupełniej niedostosowanych, liczących sobie często dwa lub trzy wieki życia budynkach.

Cała przyszłość gaullizmu i V-ej Republiki zależy dzisiaj od nadrobienia tych braków i od nadania Francji nowoczesnej, sprawiedliwej struktury społecznej.

Roman Fajans

#### ZGON HENRYKA ZABIELSKIEGO

Otrzymał wiadomość, że 25 marca 1967 zmarł Henryk Zabielski w Säckingen szpitalu niemieckim w Schwarzwaldzie, gdzie od dłuższego czasu przebywał na kuracji.

Zmarły urodził się w r. 1901, brał udział jako ochotnik w wojnie 1919—20, studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie i następnie był w służbie administracyjnej jako wicestarosta i starosta. Po kampanii 1939 roku został w Kraju i brał udział w akcji podziemnej w stopniu rotmistrza. Ujęty przez Niemców dostał się do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a potem był wywieziony do Niemiec. Na emigracji brał czynny udział w pracy społecznej i politycznej. Był członkiem władz głównych SPK w wielu kandencjach, ostatnio należał do Prezydium Rady Głównej Federacji SPK i Biura Studiów.

Orzeł Biały, kwiecień 1967

# MARSZAŁEK PIŁSUDSKI, LIGA NARODÓW I MEDYCYNA

Już na drugi niemal dzień po zawarciu Traktatu Ryskiego, w dniu 21.III. 1921 roku Sowiety usiłowały traktat ten podważyć. Oczywiście, czyniły to bardzo oględnie, rzec można konspiracyjnie, czasami w drobniakach, to znów interpretując opacznie poszczególne paragrafy traktatu, wreszcie, usiłując wprowadzać swój punkt widzenia w nierych sprawach między Polską a Związkiem Sowieckim, nie objętych traktatem. Widziało się to zwłaszcza m.in., gdy szło o zwrot polskiego mienia państwowego, zrabowanego przez carską Rosję, do czego bolszewicy w traktacie się zobowiązali. Szło tu szczególnie o polskie państwowe archiwa, dokumenty, księgozbiory, dzieła sztuki, zarówno państwowe jak i prywatne, sztandary, insygnia, emblematy itd.

Zgodnie z traktatem, odpowiednim komisjom polsko-sowieckim poruczono zadanie szczegółowego rozpracowania tych działów. Sowiety w tych sprawach mocno oponowały.

Zdarzało się niejednokrotnie, iż polska delegacja przedstawiała dowody, że takie czy inne archiwa, dokumenty lub dzieła sztuki znajdowały się w rękach bolszewickich, czemu jednak bolszewicy zaprzeczali. Trzeba było dużej wytrwałości i energii z naszej strony, by nie dać się zwieść sowieckim kłamstwom.

Wiele pomagała w tym polska ludność osiadła w Rosji, która naszym władzom często przekazywała wiadomości, że w takim a takim mieście na terenie Związku Sowieckiego (podając dokładnie muzeum, a nawet poszczególne sale lub inne gmachy) znajdują się polskie zbiory.

Lecz również i w innych dziedzinach, także i na arenie międzynarodowej, usiłowały Sowiety w sposób obłudny i perfidny pomniejszyć rolę i interesy odrodzonego państwa polskiego. Nie zapominajmy, że dopiero w roku 1923 Rada Ambasadorów uznała ostatecznie przynależność Małopolski Wschodniej, ze Lwowem na czele, do Polski. Rząd sowiecki, wspierany przez swych agentów na Zachodzie, usiłował przeciwdziałać temu uznaniu. Sowiety wbijały również kliny między Polskę a Litwę. Wszystko to czyniły w myśl swej propagandy, głoszącej, że to Rosja jest nastrojona pacyfistycznie i że pragnie ona trwałego pokoju w Europie, ale że Polska Piłsudskiego nie daje w tym względzie dostatecznych gwarancji. Jednym z przejawów perfidnej i obłudnej akcji sowieckiej, była wysunięta przez Sowiety na forum międzynarodowym sprawa, umiędzynarodowienia niektó-

rych polskich rzek na wschodzie Polski, a przede wszystkim Niemna i paru kanałów polskich (np. Ogińskiego). Przyczyniłoby się to, zdaniem Sowieców, do lepszej wymiany gospodarczej między Polską a Sowiecami, na czym skorzystałby również Zachód. Te chwytły sowieckie nie trafiały, niestety, w próżnię. Nie zapominajmy bowiem, iż odrodzone Państwo Polskie nie miało zbyt wielu przyjaciół na Zachodzie, zaś niektóre państwa nie miały należytego wyobrażenia o roli i znaczeniu Polski i mało nasz kraj znały. Wchodziło tu również w grę pewnego rodzaju zaczarowanie potęgą, obszarem i możliwościami handlowymi dawnej Rosji, któremu to zaczarowaniu ulegały większe i mniejsze państwa na Zachodzie, a także i Stany Zjednoczone A.P. Nic dziwnego więc, że Liga Narodów, do której Sowiety umiejętnie skierowały sprawę umiędzynarodowienia Niemna i polskich kanałów, zajęła się tą sprawą z pewną, rzec można gorliwością...

Rada Ligi Narodów skierowała sprawę do Generalnego Sekretariatu Ligi z zaleceniem poprowadzenia dalszej akcji. Przy generalnym sekretariacie Ligi Narodów istniały sekcje, zajmujące się różnymi problemami życia międzynarodowego. Była tam również sekcja międzynarodowej komunikacji. Przewodniczącym jej był Portugalczyk, prof. Vasconzellos, wybitny lekarz w swej ojczyźnie, mający duży autorytet międzynarodowy, dzięki swym pracom naukowym.

Dlaczego on właśnie został prezesem sekcji komunikacyjnej — nie wiadomo. Był to jeden z dziwolągów Ligi Narodów, od których się roilo w owym czasie. Otóż na przełomie lat 1922-23, gdy Józef Piłsudski był Naczelnikiem Państwa Polskiego, prof. Vasconzellos był z ramienia Ligi Narodów delegowany do Polski, by nakłonić nas do zgody na owo umiędzynarodowienie.

W kołach polskich w Warszawie, jak również wśród naszych delegatów na terenie Ligi Narodów w Genewie bardzo wątpiono, żeby misja profesora odniosła jakiś skutek.

Tak też i było. Po przybyciu do Warszawy i załatwieniu odpowiednich formalności dyplomatyczno-politycznych prof. Vasconzellos zgłosił się poprzez poselstwo portugalskie w Warszawie do Belwederu, z prośbą o przyjęcie go przez Marszałka Piłsudskiego.

Naczelnik Państwa był, oczywiście, dokładnie poinformowany o tych wszystkich zabiegach sowieckich jak i ligo-

sąd. Nikt jednak w Warszawie nie przypuszczał, że przebieg rozmowy Pana Marszałka z delegatem Ligi Narodów będzie tak... oryginalny.

Oto, w oznaczonym dniu przyjął Marszałek, w godzinach popołudniowych prof. Vasconzellosa, który zrefrował mu konieczność umiędzynarodowienia Niemna i polskich kanałów (w pierwszym rzucie, a w dalszym innych rzek na wschodzie Polski) twierdząc, iż byłoby to z dużą korzyścią dla zainteresowanych stron, a przede wszystkim i dla Polski. Marszałek wysłuchał napozór spokojnie tych pseudoargumentów, po czym dobitnie zareagował:

— Aha, więc pan chce, żeby Polska była takim sklepikiem, przez który może przejść każda prostytutka... ale ja się na to nigdy nie zgodzę. To godzi w suwerenność Państwa Polskiego, to jest mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski i Liga Narodów bardzo źle robi usiłując pójść na rękę propagandowym chwytom Związku Sowieckiego. My pragniemy szczerze ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z Sowiecami. Daliśmy temu wybitny dowód w Rydze, w czasie negocjacji nad traktatem ryskim. Mogliśmy wówczas wymóc na Sowiecach bardzo łatwo wiele lepsze warunki traktatowe dla siebie i to pod wieloma względami. Delegacja polska jednak tego nie uczyniła. Jeśli sprawa umiędzynarodowienia niektórych polskich rzek, mogłaby przynieść pewne korzyści dla obu sąsiadujących ze sobą państw — kontynuuje pan Marszałek — to rządy obu państw mogą debatować nad tym zagadnieniem bezpośrednio, w atmosferze zrozumienia obupólnych interesów. Lecz jakakolwiek ingerencja z zewnątrz jest dla nas niedopuszczalna i ja, jako naczelnik państwa, raz jeszcze panu powtarzam, że nigdy na to się nie zgodzę.

Oszołomiony Portugalczyk (przebieg tej audiencji był znany w kołach politycznych Warszawy, albowiem prof. Vasconzellos tego nie ukrywał) był zaskoczony i zdumiony wypowiedzią pana Marszałka. Jak sam później mówił, zapomniał poprostu języka w gębie. Działała również na niego niezwykła indywidualność Marszałka i jakiś ogromny urok, bijący od niego. Marszałek częstując gościa papierosem, chcąc widocznie osłodzić pigułkę delegatowi Ligi Narodów, wziął go pod rękę i prowadząc do parku belwederskiego mówił:

— Pospacerujemy trochę po tym pię-

(Ciąg dalszy na str. 37)

# MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Przeczytawszy moje „plotki“ z marca-owego numeru jeden z przyjaciół napisał mi, że przepojone były goryczą. Miało to oznaczać, że wypadłem z tonu, który mnie przy życiu utrzymywał przez ostatnich lat kilkanaście, a który czytelnikom umożliwiał czytanie mojej pisaniny. Czyli, że buszując od patosu po groteskę, utrzymywałem „plotki“ w nastroju pogodnym, łagodnym, uprzejmym i tolerancyjnym. A teraz nagle „gorycz“...

Jako żywo nie rozumiem. Pisałem przecież z podziwem o działalności „ludzi zaferowanych“, którym nigdy nie dorównywałem i nie dorównam. Włożyłem przy tym (prawo pisarza) własne myśli w usta działacza odjeżdżającego po pracowitym dniu do domu ze stacji kolejki podziemnej South Kensington w Londynie, stacji, która w dziejach naszych zapisała się gestymi zgłoskami, jako że tylu wielkich Polaków wystawało na niej czekając na pociąg. Może kiedyś z pietzmem umieścimy na niej napisy w rodzaju: pod tym słupem NiD po raz pierwszy rozmawiał z przedstawicielami Grupy Społecznej w sprawach sobie tylko wiadomych. Albo: tu Prezes X uściśnął dłoń Prezesa Y-ka w roku Pańskim 1978, po raz pierwszy od przede dnia wymarszu Kadrówki. Albo: na tej ławce zasiadło Stronnicтво Pracy w komplecie w epoce, gdy Hemar wystawiał „Lucyndę“ w „Ognisku Polskim“.

Zresztą słowa moje były prorocze, bo Sabbat przeczytawszy moje plotki rzeczywiste Egzekutywy utworzył i to nie było jaką bo z czterema podsekretarzami stanu, wybranymi starannie spośród młodzieży emigracyjnej. Zwrócił mi uwagę na moje prorocze zdolności inny przyjaciel, towarzyszył doli i niedoli na niwie akwizycji ogłoszeń do pism niepodległościowych, za co mu tą drogą dziękuję.

Lecz jeszcze inny przyjaciel w liście spod Pirynejów stwierdziwszy, że coraz kogoś ubywa z Legionu Niezlomnych, napisał w konkluzji: „W górę czola! Im nas będzie mniej tym na dłużej starczy“.

## DOWÓD Z POWSZECHNEGO PRZEKONANIA

Wiąże się to, w sposób wcale nie mistyczny, z tak zwanym problemem młodzieży. Problem ten tyle ma wydać ile jest gatunków martwiących się o młodzież. Lecz wszystkie wydania mają wspólny mianownik. Jest nim krótkie słowo: „źle“.

Nie wypada nawet pytać czy naprawdę jest „źle“. Kto nie wie, że „z młodzieżą jest źle“ jest albo matolem, albo „pozostaje na usługach“ i chce „uśpić czujność“. Na to, że z młodzieżą jest źle istnieje przecież dowód nieodparty, dowód który nazywa się w dogmatyce „dowodem z powszechnego przekonania“. To ten sam dowód który bronił tezy, że słońce biega wokół płaskiej ziemi, co sprawiło tyle nieprzyjemności osobistych Galileuszowi. Kopernikowi się upiekło, pewno dlatego, że cokolwiek twierdził nie obeszło jego rodaków, jako że nie dotykało zagadnień polityki wewnętrznej.

Nie wypada zatem poddawać w wątpliwość „problemu młodzieży“, lecz przystoi każdemu wyliczać jego objawy. Jest ich milion bez mała. Miniskirty, wolna miłość, pigulka (i), protesty przeciw wojnie w Wietnamie, pogarda tradycji, „popsy“, kąśliwe uwagi o de Gaulle'u, długie włosy

u chłopców, krótkie dziewięctwo u dziewcząt, brak ambicji życiowych, kult technologii, wiara w komputery, picie Coca-Coli, halaśliwe motocykle, lektura „Private Eye“, brak lektury „Wiadomości“, znajomość dzieł Artura Millera, nieznanostwo dzieł Rodziewiczówny. Dosyć? Tymczasem.

Wygląda to jak gulasz wymieszany z „trifle'm“. Co jednemu w smak to drugiego dławii. Zależy od gatunku biadających. Mniej od gatunku młodzieży.

Lecz może właśnie od gatunków młodzieży należałoby zacząć prawidłową analizę? Podzielmy młodzież na dwa gatunki: młodzież jako taka i młodzież „nasza“.

Czy jako problem?

Oczywiście.

## MŁODZIEŻ NASZA

Łatwość wymyślania banałów towarzyszyła dziejom naszej kultury przez wieki wzlotów i upadków. Rozkosz z jaką banały powtarzamy świadczy o naszej prężności psychicznej. Z tych, a może i z innych jeszcze względów, hasło „młodzież to przyszłość“ wzbudza powszechny entuzjazm u wszystkich za wyjątkiem ludzi młodych.

Garzej z następnym hasłem: „Przyszłość należy do młodzieży“. Oponować głośno nie przystoi, lecz zastrzeżeń zgłasza się wiele. Politycznie mówiąc „kwalifikuje się“ hasło. Potocznie, wydziela się głębokie westchnienie a po nim dwa słowa: „tak, ale...“ Ale co? Właśnie. Zależy do jakiej młodzieży przyszłość ma należeć. Czy mamy ją oddać w ręce młodzieży karnej, zdyscyplinowanej (chodzi o uświadomienie narodowe jako minimum i uświadomienie polityczne jako optimum wymagań), czyli młodzieży zorganizowanej (i to porządnie, najlepiej żeby w afiliacji z S.P.K.), czy też po prostu byle jakiej młodzieży.

Przyszłością nie wolno szastać. Trzeba ją szanować. Młodzież niestowarzyszona nie dostanie żadnej przyszłości.

Niderlandzką metodą Pana Zagłoby przekazawszy przyszłość, zastanawiamy się co jeszcze można przekazać? Chyba nie miejsca w zarządach? Bo to zbyt skomplikowana sprawa. Nie ma nic trudniejszego niż dobrowolnie pozbyc się ciężkiego obowiązku pod którego brzemieniem się upada, który przygniata barki a zdobi pierś w coraz to dostojniejsze oznaki brązowe, srebrne, złote i złote z diamentowym wieńcem. Łatwiej w młode ręce przekazać sztafardę na barykadzie niż rachunek strat i zysków.

Nie ma strachu Panowie Prezesi. Tradycie amunicje na obronę walów, na które żaden napastnik się nie wdziiera. Kijem nie nagonisz, liną nie przeciągniesz, honorem nie zwabisz młodzieży do zajęcia miejsc w jakimkolwiek zarządzie.

Otóż to właśnie — wola rycerskie koło utyskiwaczy — tyleśmy dla nich zrobili a oni ciągle nie chcą...

## ODZEPICIE SIĘ!

Cokolwiek zrobiliśmy dla naszej młodzieży było to naszym obowiązkiem. Obowiązkiem „nieodpłatnym“. Nie wolno wżamian wymagać niczego, a najmniej wdzięczności. Nie wolno wymagać by stali się na obraz i podobieństwo nasze. Nie możemy nikomu podarować przyszłości bo do nas nie należy.

Odczepcie się od młodzieży panowie malkontenci. Pomóżcie raczej tam gdzie pomoc jest potrzebna: w organizowaniu i administracji polskich szkół sobotnich, które są dziś, po latach doświadczeń, prawdziwą dumą emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Pomóżcie harcerstwu, klubom sportowym, bibliotekom, pomóżcie w zakładaniu orkiestr, kupowaniu gitar elektrycznych i organizowaniu zabaw. Pomóżcie, starając się zrozumieć, że młodzież nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać i że jej świętym prawem jest chcieć czegoś innego niż chcieli jej rodzice.

## MŁODZIEŻ JAKO TAKA

Już tylko krótko. Jest co ganić w młodym pokoleniu Amerykanów, Europejczyków, Anglików, Francuzów i Polaków. Tak jak było co ganić w tym pokoleniu, którego byłem członkiem gdy było młode. Lecz jest też z czego się cieszyć. I czego zazdrościć. Ja zazdroścę przede wszystkim braku hipokryzji. To zdobycz młodzieży współczesnej bez względu na narodowość. Zdobycz, która wiele wynagradza.

## NIEWIEDZA I JEJ RODZAJE

Irytujemy się nie od dziś ignorancją jaką obce społeczeństwa wykazują w sprawach dotyczących naszej części Europy i naszej ojczyzny przede wszystkim. Jeszcze bardziej irytuje nas zasób wiadomości zupełnie fałszywych, z których wyciąga się wnioski zupełnie absurdalne.

Można by cytować przykłady w nieskończoność. Wystarczyłoby ich na zapisanie całej biblioteki. W encyklopediach, w podręcznikach, w pracach naukowych, powtarzają się monotonna bzdury, które ktoś kiedyś napisał o Polsce. Zwykle dzieło propagandy niemieckiej z dziewiętnastego wieku. Niekiedy za prawdziwe krzywdy mścili się w ten sposób pisarze żydowscy. Rosjanie też nie zasypiali gruszek w popiele. Chmielnicki jest bohaterem narodowym ukraińskim, lecz gdy w księżce Jamesa Parkera mówi się o masakrach ludności żydowskiej w czasach wojen kozackich, wszystko czego się o Chmielnickim możemy dowiedzieć sprowadza się do uproszczonego faktu, że był „polskiego pochodzenia“. Z Encyklopedii Historii Świata pod redakcją Johna Bowle'a dowiadujemy się, że Litwa została nawrócona dzięki misyjnej, cierpliwej pracy Zakonu Krzyżackiego.

Pocieszmy się, że nawet flegmatyczni, gdy o prawdę historyczną chodzi, Anglicy potrafili się zirytować idiotycznym raportem o współczesnej Anglii umieszczonym w numerze „Elle“ z 23 marca br.

Z objawami niewiedzy spotykałem się, tak jak każdy z nas, często. Wśród swoich i wśród obcych. Niewiedza jest widocznie także częścią kultury narodowej. Wskutek tego różne są jej rodzaje.

Niewiedza angielska ma dwie odmiany a raczej metody. Jedna polega na uprzejmym przysłuchiwaniu się. Bez komentarza, bez zdziwienia, lecz z niedowierzaniem. „Just listening politely without taking any notice“. Odmiana druga jest bardziej irytująca: pytaniu, jeśli pada, towarzyszy *verbatim* stwierdzenie „you would not know it anyway“.

Niewiedza amerykańska jest jak wszystko amerykańskie pełna entuzjazmu. Podpierają ją dane statystyczne, literatura

(Dokończenie na str. 39)

# Ukraina walcząca o swój byt narodowy

(dokończenie z nr 32)

Zasługuje również na szczególne podkreślenie polityka wyróżniania Rosjan i dyskryminowania Ukraińców i innych nierosyjskich narodów ZSSR w dziedzinie wydawniczej. W 1964 wydano w Związku Sowieckim ponad miliard książek w języku rosyjskim a tylko 78 milionów w języku ukraińskim. Tak więc przypada na 100 osób ludności 820 książek w języku rosyjskim i zaledwie 194 w języku ukraińskim. Rosjanie stanowią 54% ogółu ludności ZSSR lecz 82% książek i 85% dzienników i periodyków w ZSRR jest w języku rosyjskim.

Nakłady wielu książek są wręcz śmieszne. Zbiór 600 pieśni ukraińskich z nutami, wydany przez Ukraińską Akademię Nauk, wyszedł niedawno w nakładzie 2100 egz. i to w kraju, który jest nie tylko ogólnie znany ze swego zamilowania do śpiewu, ale posiada 30 tys. klubów i tysiące chórów. Reprezentacyjne jubileuszowe wydanie „Kobzarza“ Szewczenki wydano np. w nakładzie 12 i pół tys. egzemplarzy, a bibliograficzną książkę lwowskich uczonych „Szekspir na Ukrainie“ w imponującym wydaniu... 60 egzemplarzy. I chyba najbardziej paradoksalnym jest fakt, że w r. 1963 wydano na Ukrainie 4,094 książki w języku rosyjskim i zaledwie 3.321 w języku ukraińskim. Dalej, mimo tego że Ukraina ma 30 tys. szkół, w których uczy się 7 milionów dzieci, wiele podręczników szkolnych wydaje się w nakładach 20-30 tys. egz. Nie jest to bynajmniej zjawisko niecodzienne w szkołach ukraińskich, że dzieci ukraińskie, czytając w podręcznikach szkolnych utwory ukraińskich poetów i pisarzy w tłumaczeniach rosyjskich, muszą przekładać je z powrotem na język ukraiński.

W marcu 1964 zniszczono z polecenia czynników oficjalnych w westybulu Kijowskiego Uniwersytetu Państwowego witraż z Tarasem Szewczenką, zaprojektowany i wykonany przez grupę znanych ukraińskich artystów. A w maju tegoż roku zmobilizowano na szewczenkowskie

uroczystości z okazji 50 rocznicy urodzin wieszca narodu ukraińskiego wojsko i policję i setki ubranych po cywilnemu agentów policyjnych, a uczestników obchodu wpuszczano wyłącznie za przepustkami. Dalej, wiemy dzisiaj również z różnych źródeł, że partia i jej komisarze od literatury i moralności publicznej dokładają olbrzymich wysiłków, ażeby doroczne obchody szewczenkowskie odbywały się na poziomie hopaka i etnograficznego prostactwa. W „Dzienniku“ znanego poety ukraińskiego Tymonenki czytamy pod datą 6 lipca 1963 r., że zabroniono jemu i jego kolegom występować na wieczorze szewczenkowskim w Odessie.

Jest zaiste ironicznym paradoksem, że w tym samym czasie, kiedy zniesiono (w sierpniu ub. roku) samodzielne ukraińskie ministerstwo oświaty podporządkowując je wszechrosyjskiemu w Moskwie, przyznano jednocześnie „rządowi“ ukraińskiemu w Kijowie prawo nadawania nazw fabrykom, przedsiębiorstwom przemysłowym, instytucjom publicznym i nawet... stacjom kolejowym. W zataczającej coraz to większe kręgi ofensywie moskiewskiego centrum, zmierzającej do dalszych ograniczeń formalnych, konstytucjonalnych i republikańskich praw, nie jest to bynajmniej pierwszy wypadek. Dotychczas bowiem Moskwa wchłonęła następujące ukraińskie ministerstwa, robiąc z nich zwykle wydziały ministerstw wszechzwiązkowych: węglowe, chemiczne, lekkiego mięsnego i mlecznego przemysłu, geologii, budownictwa, komunikacji, handlu, ochrony zdrowia, skarbu, spraw zagranicznych, obrony i nawet kultury.

Albo czy nie jest zaiste poniżającą procedurą dla redaktorów ukraińskich periodyków każdorazowe zwracanie się za pośrednictwem kierownictwa partyjnego w Kijowie do Moskwy o aprobatę na wysokość nakładu każdego numeru ich czasopism?

Albo jakże głęboko wstrząsnął u-

kraińską opinią publiczną pożar w Bibliotece Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie 24 maja 1964 r., który zniszczył ponad pół miliona tomów, w tym poważną ilość ksiąg i unikatów bezcennej wartości. Chodzi tutaj o umyślne podpalenie i jest zaiste wysoce podejrzane, że straż pożarna zabrała się do gaszenia pożaru z dwugodzinną zwłoką spowodowaną brakiem wody w hydrantach i że pożar ugaszono dopiero na trzeci dzień. A sąd nad podpalaczem, niejakim Pohrużańskim był raczej ściśle dyrygowaną farsą niż prawdziwą rozprawą sądową. O tym barbarzyńskim czynie czytamy w dokumencie, który dostał się potajemnie na Zachód: „Ukraińcy! „Ukraińcy! Czy wiecie, co wam spalono? Spalono wam część waszego umysłu i waszej duszy!“

W niedawno otwartym w Zaporozju Muzeum Krajoznawczym, w niedbale urządzonej sali ukraińskich eksponatów poświęconych Sicz Zaporoskiej, powieszono w najbardziej widocznym miejscu portret kniazia Potomkina w dodatku z napisem: „wybitny działacz polityczny XVIII wieku“. To do tego stopnia wyprawa z równowagi ukraińskiego patriotę Serhija Płacyndę, że odważnie napisał w „Literaturnej Ukrainie“ z 20 grudnia 1966 roku:

Niepodobna! Błędny, jednooki kochanek ladacznicy carycy, mściwy i okrutny kat ludu ukraińskiego, któremu narzucił zuchwale i podstępnie pańszczyźniane kajdany — czymże on sobie zasłużył na taki zaszczyt, na taką wzniosłą pochwałę na ścianach Muzeum Zaporoskiego?“

Jednym z najbardziej interesujących niedawnych wydarzeń, dobitnie ilustrującym metody partii i pokazującym, jak masowym, zjawiskiem jest czynny patriotyzm ukraiński, jest sprawa założenia Tow. Ochrony Ukraińskich Zabytków Historycznych i Kulturalnych. Inicjatorzy, wzięwszy sobie za motto powiedze-

nie Maksyma Rylskiego: „kto nie miłuje swojej przeszłości, nie ma prawa do przyszłości“, byli na pewno serdecznie zaskoczeni, kiedy do propagowanego przez nich na łamach „Literackiej Ukrainy“ towarzystwa zgłosiło się ponad 400 tys. członków.

Ale już inauguracyjnemu zjazdowi, który odbył się 20-21 grudnia 1966, narzucono z miejsca partyjne kierownictwo. Z głównym przemówieniem wystąpił historyk partii prof. K. Dubyna, który reprezentował na wiedeńskim kongresie historycznym ukraińską naukę historyczną. On to począł nawoływać uczestników zjazdu do roztoczenia troskliwej opieki nad licznymi pomnikami... Lenina i nad wszystkimi zabytkami związanymi z życiem i działalnością przywódców partyjnych.

### UCISK RELIGIJNY

Na odcinku religijnym sprawy przedstawiają się również smutno, aczkolwiek nie beznadziejnie. Naród ukraiński daje bowiem nadal liczne przykłady swego przywiązania do religii. Po zniszczeniu w latach dwudziestych ukraińskiego kościoła autokefalicznego i po bezwzględnej likwidacji ukraińskiego kościoła grecko-katolickiego w Galicji w latach powojennych reżym komunistyczny wziął się ostatnio z niezwykłą gorliwością do dalszego tłumienia i uciskania życia religijnego. Z trzech istniejących na Ukrainie seminariów duchownych założone w r. 1945 seminarium w Łucku nie przyjmuje od r. 1961 nowych studentów. Seminarium w Odessie, otwarte w r. 1947 wypuściło w roku 1964 tylko 19 absolwentów, a seminarium w Kijowie zostało zamknięte w r. 1960. Z 38 istniejących jeszcze na Ukrainie klasztorów zamknięto niedawno dwie trzecie. Szykany stosowane do seminariów duchownych mają, oczywiście, jeden cel: wstrzymanie dopływu księży, ażeby mieć potem pretekst do likwidowania opróżnionych parafii. Tak więc z istniejących w r. 1958 180 parafii w Dniepropetrowskiej obłasti pozostało w kwietniu 1962 zaledwie 40.

Byłoby, oczywiście, rzeczą niemożliwą omówić szczegółowo wszystkie odcinki rozległego frontu ukraińskiej samoobrony narodowej. Nawet w codziennym życiu odbywa się na

Ukrainie nieustający plebiscyt ukraińskich pragnień i dążeń, upodobań i uczuć. Nie jest chyba przypadkowy ogromny popyt na przekłady klasyków literatury zachodniej w ogóle, a polskiej w szczególności, wtedy kiedy tzw. klasyki marksizmu i współczesna literatura polityczna gniją na półkach księgarskich.

Jest dzisiaj ogólnie wiadomo, że głośna konferencja poświęcona zagadnieniom języka ukraińskiego, która odbyła się w lutym 1963 r. na uniwersytecie kijowskim, przeobraziła się w narodową manifestację ukraińską. Na tej konferencji wysunięto m.in. również żądanie wprowadzenia języka ukraińskiego jako języka wykładowego we wszystkich uniwersytetach i szkołach wyższych.

### NIEUJARZMIONA MYŚL TWÓRCZA

Uderza również ogromna żywotność literatury ukraińskiej. Mam na myśli nie tylko dużą grupę młodych i utalentowanych poetów, pisarzy i krytyków literackich jak Dracz, Koroptycz, Lina, Kostenko, Winhranowskij, Hucalo, Tiutiunyk, Swiłycznyj i Dziuba, ale i szerokie zastrępy początkujących literatów. Czasopismo „Literaturna Ukraina“ podaje np. w nrze z 22.10.1965, że w przeciągu ostatnich pięciu lat pojawiło się na Ukrainie około 500 książek pierwszych wydań, szczególnie poezji. Niewątpliwie, pewna ilość tych pierwszych literackich prób młodych autorów nie przedstawia wielkiej wartości. Chodzi jednak o podkreślenie tego prawie żywiołowego pędu młodych Ukraińców do literackiej twórczości w języku ojczystym.

Wybitny pisarz ukraiński, który odwiedził ubiegłego roku z odczytami Donbas a więc tereny najbardziej wystawione na silną rusyfikację, stwierdza że na wszystkich jego występach sale były wypełnione po brzegi, a w dyskusjach słuchacze nie tylko mówili po ukraińsku, ale wykazywali wręcz zastanawiające zainteresowanie sprawami ukraińskiej literatury. Świadczy to, że pod złudną powierzchnią zewnętrzej rusyfikacji, przejawiającej się w używaniu języka rosyjskiego w miastach, nurtuje żywy i pełen wigoru patriotyzm i umiłowanie ukraińskiego języka, kultury i literatury.

Szczególnie czynny patriotyzm wykazuje młodzież i wielu Ukraińców mieszkających w innych częściach ZSSR, a więc najbardziej zagrożonych denacjonalizacją. Czasopismo „Mołod Ukrainy“ z 12.6.1966 zamieściło np. artykuł, w którym młody Ukraińiec zamieszkały w Uchcie (Komi ASSR) pisze, że w odpowiedzi na jego umieszczoną w tej gazecie prośbę do rodaków na Ukrainie o korespondowanie z nim, otrzymał 500 listów.

Śledząc sowiecką prasę ukraińską, widzimy często imponującą ilość wystąpień, artykułów i listów do redakcji domagających się zwiększenia nakładów gazet ukraińskich, stwierdzających brak książek w księgarniach lub zniszczenie dawnych pamiątek kultury ukraińskiej.

Widzimy też niezmiernie interesujące zjawisko całego szeregu bardzo utalentowanych pisarzy żydowskiego pochodzenia, piszących w języku ukraińskim i wzbogacających literaturę ukraińską. Utwory wielu z nich cechuje nawet głęboki patriotyzm ukraiński, co krytykowali niektórzy literacy komisarze, zarzucając im ukraiński burżuazyjny nacjonalizm. Osobiście, nie mam np. wątpliwości, że pisarz i poeta tej miary co Leonid Perwomajskij, zrobiły o wiele większą karierę literacką, gdyby mieszkał w Moskwie albo w Leningradzie i pisał w języku rosyjskim. Jego powieść „Dziki miód“, wydana w 1962, chociaż przyjęta nieprzychylnie przez krytyków partyjnych, stawia go z pewnością na czele wszystkich ukraińskich prozaików.

Wielką otuchą i żywym optymizmem napełnia również każdego, kto śledzi rozwój prądów literackich na Ukrainie i czyta utwory młodego pokolenia pisarzy, pełna godności postawa wielu z nich, śmiałe poszukiwanie nowych dróg wielu z nich, twórczy i narodowy anty-konformizm i walka o prawo do kontaktowania się z kulturą zachodnią. Świadczy to, że nawet na bagnach i trzęsawiskach sowieckiej rzeczywistości i jednostronnego wychowania komunistycznego wyrastają w najcięższych warunkach kwiaty prawdziwej twórczości.

Symbolem tych dążeń i tej nowej postawy jest niezmiernie dzisiaj popularny na Ukrainie, zmarły w roku 1963 w młodym wieku poeta Wa-



syl Symonenko. Wiele z jego niewydrukowanych wierszy i jego krótki „Dziennik“ wędrując z rąk do rąk w odręcznych odpisach dostało się na Zachód. Niektóre z jego utworów zamieściła paryska „Kultura“ (nr 6 1966) w znakomitych przekładach J. Łobodowskiego. Jego „Dziennik“ wyraża troskę o zachowanie i podniesienie ludzkiej i narodowej godności swoich rodaków. Píše w nim m.in.:

„Żadna nauka nie ma prawa na monopolizację duchowego życia ludzkości... nienawidzę aż do nieprzytomności urzędniczej, patentowanej, wyhodowanej mądrości... utrata męstwa, to utrata godności, którą stawiam ponad wszystko. Nawet ponad życie“.

Jakże słusznie podkreśla Łobodowski, że Symonenko „nawiązał swoją postawą do pisarzy ukraińskiego odrodzenia lat dwudziestych... i to po trzydziestu latach przerwy, wypełnionej swędem propagackiej paplaniny! Dowód, że drzewo zostało ścięte toporem bezpośredniego terroru, ale nie wykarzowane. Teraz wypuściło młode pędy, a więc żyje, a więc komunistyczne próchno nie zdołało dostać się do korzeni“.

W ukraińskich czasopiśmie par tyjnych znajdujemy pokaźną ilość oznak zaniepokojenia partii postawą młodych historyków, którym się zarzuca m.in. „poważne pogwałcenie zasad komunistycznej partyjności w naukach historycznych“, rewizjonizm, „bezkrytyczne nastawienie do źródeł burżuazyjno-nacjonalistycznego pochodzenia“, przecenianie sił i możliwości ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów i nadmierne podkreślanie historycznych kontaktów Ukrainy z Zachodem.

### MEMORIAL PRAWNIKÓW UKRAIŃSKICH

Różnymi drogami doszły do nas materiały, z których dowiadujemy się z podziwem i głębokim smutkiem równocześnie o działalności kijowskich i lwowskich prawników, którzy opracowali memorandum, jakie miało być przedstawione Sowieckiej Najwyższej Radzie Państwowej i O.N.Z. W memorandum tym protestowano m.in. przeciwko bezwzględ nemu ograniczaniu nawet tych praw,

które należą się Ukrainie w ramach tzw. konstytucji stalinowskiej. Prawnikom ukraińskim nie chodziło o nic innego jak tylko o ustanowienie i utwierdzenie przynajmniej jakichś pozorów legalizmu w ZSSR i zmniejszenie istniejącej przepaści pomiędzy tym co głosi i gwarantuje konstytucja sowiecka a ponurą rzeczywistością komunistycznych praktyk.

Wiemy dzisiaj z godnych zaufania źródeł, z jaką nieludzką bezwzględnością rozprawiono się z tymi prawnikami. Specjalny tajny sąd zasądził wielu z nich na śmierć a całą dokumentację rozprawy sądowej zniszczono. Można tylko schylić głowę przed intelektualnym i cywilnym męstwem tych wyjątkowych ludzi.

Ponadto można tylko podziwiać postawę ukraińskiej młodzieży uniwersyteckiej, która narażając się na szykany władz i ryzykując karierę, ignoruje oficjalne zakazy i zbiera się każdego roku tłumnie w Kijowie 22 maja koło pomnika Szewczenki w rocznicę przewiezienia jego trumny z Petersburga na pogrzeb do Kaniowa.

Każdy rok, każdy prawie miesiąc przynosi z Ukrainy wiadomości o godnych podziwu czynach i wystąpieniach, zbiorowych i indywidualnych, Ukraińców waleczących o zachowanie i poszerzenie swego stanu posiadania.

W swoim znakomitym przemówieniu wygłoszonym 10 stycznia 1965 r. w Kijowie, niejednokrotnie szczuty przez partię krytyk literacki Iwan Dziuba mówi „niczego innego ludzie tak nie pragną, jak ożywiającego przykładu bohaterskiej postawy społecznej“.

Znane ogólnie są również zeszłoroczne odważne wystąpienia kilkudziesięciu młodych ukraińskich intelektualistów w obronie ukraińskiego języka i kultury, których aresztowanie i wysokość wymierzonych im kar znalazły tak szeroki oddźwięk w prasie międzynarodowej.

Nawet na tak pieczołowicie przygotowanej i ostrożnie dyrygowanej imprezie, jak listopadowy zjazd pisarzy ukraińskich w Kijowie, z których wielu jest członkami partii, ukraiński patriotyzm i głębokie zaniepokojenie losem ukraińskiej kultury i języka i twórczości literackiej w ogóle, przebiły się przez powłokę oficjalnych przepisów i obo-

wiązujących niedomówień. Jurij Smotycz wystąpił na zjeździe z projektem odnowienia starej przedwojennej tradycji drukowania książek w językach mniejszości narodowych Ukrainy, przede wszystkim w języku polskim i żydowskim; Dmytro Tkacz zganił wręcz oplakany stan wydawnictw dla dzieci i młodzieży i stale zmniejszające się nakłady podkreślając, że wiele książek wychodzi w 30 tysięcznych nakładach zamiast w 100 lub 300 tysięcznych; Iryna Wilde wyraziła żal i zdziwienie wywołane odplywem lwowskich uczonych z tego miasta i zamknięciem filii Akademii Nauk; Witalij Korotycz zaprotestował przeciwko „okradaniu samych siebie“ przez niewybaczalne zaniedbania w niewydawaniu utworów prześladowanych kiedyś pisarzy; a Wasyl Kozaczenko wystąpił śmiało przeciwko rzecznikom rusyfikacyjnego kursu.

### POLACY I UKRAIŃCY

Rzecz jasna, że ten nasz przeważnie pobieżny obraz ukraińskich zmagañ, trosk, wysiłków i dążeń pozostałby niezupełnie zaokrąglony gdyby nie wspomnieć o polsko-ukraińskich stosunkach przejawiających się obecnie na różnych płaszczyznach i w różnych dziedzinach. Można to zrobić, oczywiście, tylko mimochodem, bo do tego tematu trzeba by powrócić osobno.

Narody polski i ukraiński pozostają nadal bardzo bliskimi sąsiadami. Prócz tego w Polsce żyje ponad 300 tysięcy Ukraińców, a na Ukrainie prawie 400 tysięcy Polaków. Ale nie chodzi mi tak o kontakty między naszymi narodami w dziedzinie handlu, sztuki czy sportu, a o coraz to bardziej pogłębiający się dialog intelektualny i kulturalne zbliżenie. Któż z Ukraińców nie pamięta szerokiego oddźwięku, który miał na Ukrainie polski październik i tego entuzjazmu, z którym przyjęto polskie tezy o konieczności zwiększenia swobody twórczości. Albo ten często podkreślany głód polskich książek i czasopism na Ukrainie, które są ciekawsze bo mają większą od sowieckich swobodę wypowiedziania się. Dalej coraz bardziej zacieśniające się i serdeczniejsze obecnie kontakty między polską a ukraińską elitą literacką. Częste do niedawna odwiedziny nie-

żyjącego już Maksyma Rylskiego w Polsce, tego serdecznego przyjaciela Polaków i głównego inspiratora pięknej książki Jerzego Jędrzejewicza o Szevczenko — „Noce ukraińskie“. Stale wzrastająca liczba publikacji o współzyciu i wzajemnych stosunkach między naszymi narodami w dalekiej i niedawnej przeszłości. Wspomnieć należy o pracach historycznych takiego historyka jak Zbigniew Wójcik, które poddają gruntowniejszej rewizji niektóre utarte i przestarzałe poglądy historiografii polskiej na szereg zagadnień historycznych i na naród ukraiński w ogóle.

### DZIEŃ JUTRZEJSZY

Jakież można mieć w tej sytuacji widoki i nadzieje na przyszłość? Konflikt Rosji z jednej strony z zawziętym i niepohamowanym nacjonalizmem, a z drugiej całkowita niezdolność komunizmu do stworzenia zadawalających podstaw współistnienia z nacjonalizmem w nierosyjskich republikach w ZSSR, jak również stały i szeroki wzrost nacjonalistycznych prądów w krajach satelickich stwarzają olbrzymie trudności dla strategów asymilacji w Moskwie.

Nie jest więc chyba rzeczą dziwną, że mimo troskliwie reżyserowanych i surowo regulowanych procesów rusyfikacyjnych, wszystko co się dzieje w Polsce wzbudza głębokie zainteresowanie między myśliczmi Ukraińcami na Ukrainie. Dalej, Rosja ma coraz większe trudności w próbach izolowania Ukraińców od narodowych dążeń w krajach satelickich i w ogóle w świecie. Prócz tego znajduje się ona obecnie w wysoce niebezpiecznej fazie, przez którą przechodzi każdy system autokratyczny, kiedy zaczyna robić ustępstwa i koncesje, nie zmieniając przy tym swego zasadniczego charakteru.

Poza tym zwulgaryzowanie rusyfikacji przez Rosjan, partię i miejscowych służalców z jednej strony, a głębokie poczucie zniewagi i doznanej krzywdy narodowej z drugiej, zrodziły szerokie oburzenie, sprzeciw i wstrząsnęły sumieniem nawet obojętnych odradzając i pobudzając w nich uczucie godności osobistej i dumy narodowej.

Reasumując, możemy stwierdzić,

że komunistyczny reżym i rosyjskie centrum nie mogąc pójść na całkowite stłumienie ukraińskich uczuć narodowych, sentymentów i tradycji, tak jak to było za carskich czasów, uciekły się do metody manipulowania nimi, co oczywiście mimo ograniczeń, wykrzywień i spaczeń podtrzymuje i podsyca uczucia narodowe. Mimo, że wielu często wysoce utalentowanych Ukraińców, z oportunistycznych względów, przyjęło najwyższe stanowiska w ZSSR i ponętne propozycje Rosjan do współpracy w rządzeniu imperium, większość ukraińskiego narodu i poważna część, szczególnie kulturalnej elity młodszego pokolenia, pozostaje nadal wierna najwyższemu ideałowi wszechstronnego i nieskrępowanego rozwoju narodowego i walce o polepszenie losu ukraińskiego narodu.

Możnaby nawet powiedzieć, że bardziej dynamiczne elementy ukraińskiej elity jak gdyby przygotowując się do przyszłej konfrontacji, zajmują kluczowe stanowiska w różnych dziedzinach życia. Reżym to nawet w wielu wypadkach podtrzymuje starając się wbić klin między elitę i resztę społeczeństwa. Ale niezależnie od tego czy dzisiejszy reżym pozostanie przy władzy dłuższy czas, czy też jego moc i wpływ będą się osłabiać powoli i stopniowo, Ukraińcy będą na pewno dążyć do poddania stosunków między Moskwą i Kijowem rozległemu i gruntownemu zrewidowaniu.

Gdyby jednak przyszło do raptownego zaważenia się moskiewskiego centrum, w stosunkach ukraińsko-rosyjskich otworzy się całkowicie nowy i odmienny rozdział, czasy bowiem kiedy Ukrainę można było uważać za zwykłą prowincję imperium rosyjskiego przeminęły raz na zawsze i nigdy już nie powrócą. Naród bowiem wykazujący taką żywotność i kulturalny dynamizm, ofiarności i taką zdecydowanie czynną postawę w obronie swoich praw i swojej tożsamości nie wymówi słowa „kapitulacja“.

„Doświadczenie historyczne uczy nas“, pisał Juliusz Mieroszewski, „że żadne mocarstwo nie jest nigdy dostatecznie potężne, by zapewnić ciągłość systemowi, który krzywdzi i poniża dziesiątki milionów ludzi. Do tej pory historia nie uwieczniła na swych

kartach imperium, które oparłoby się dynamice nacjonalizmu“.

Francois-Poncet, znany pisarz dyplomata i członek Akademii Francuskiej pisał w „Le Figaro“ z 12.3.1964 r. w artykule „Szevczenko-apostoł wolności“ z dziwnie ożywiającym i szczerym przekonaniem:

„Lecz przemoc jest zjawiskiem czasowym i rzadko należy do niej ostatnie słowo. Ona musi ustąpić przed świadomością, którą naród posiada o sobie i wolą, niemą i zakutą, ale potężną i żywą, która natchnie go do wolnego utwierdzenia jego narodowej odrębności i indywidualności“. „Przyjdzie czas“, mówi Francois-Poncet, „kiedy spełnią się wizje i prorocтва Szevczenki. Bo oczy poetów widzą o wiele dalej aniżeli oczy dyktatorów“.

Konstantyn Zelenko

**Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną wydajnością w pracy!**

**Wyciąg z żywiołowych gruczołów zwierzęcych**

### KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MOŻESZ WYSŁAC

**WSZYSTKO**

przez

**Grabowskiego**

Lekarstwa

żywność

Pieniądze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

**Każdy artykuł do wyboru**

**JESLI LEKI TO Z APTEKI**

**M. B. GRABOWSKI**

175, DRAYCOTT AVENUE,

London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

# POZYCJA EKONOMISTY W POLSCE LUDOWEJ

W dniach 18-19 stycznia br. odbyła się w Warszawie ogólnokrajowa konferencja ekonomistów, w której wzięło udział 600 ekonomistów, zajmujących odpowiedzialne stanowiska w gospodarce narodowej. W związku z tym, „Życie Warszawy“ z 18 stycznia opublikowało komentarz, w którym autor, A. Bober zapowiedział, że głównym punktem obrad konferencji będzie nowa organizacja służb ekonomicznych w przedsiębiorstwach, oparta na uchwałach rady ministrów z 29 lipca 1964 r., przy czym dodał, iż te służby ekonomiczne, nie mogą jakoś, do tej pory, rozwinąć skrzydeł w codziennej pracy tysięcy przedsiębiorstw; ich udział w podejmowaniu decyzji w sprawach rozwoju gospodarki był dotychczas, jak dowodzą fakty, znikomy.

Co więc, pyta autor, utrudnia ekonomistom, zabieranie głosu przy podejmowaniu tych przedsięwzięć administracyjnych, technicznych, inwestycyjnych, jak w ogóle gospodarczych, które mają aspekty ekonomiczne? Jakie są powody, iż mimo że reorganizacja powinna była rozpocząć się już dwa lata temu, w połowie maja 1966 roku znaczna część warszawskich zakładów nie miała zorganizowanej służby ekonomicznej, na skutek czego cały proces przesuwa się do końca pierwszego kwartału roku 1967.

Trzeba się zatem zgodzić, konkluduje autor, że jedną z przeszkód jest tu po prostu brak ekonomistów z wyższym wykształceniem. W niektórych bowiem gałęziach gospodarki, przypada jeden tylko ekonomista na 8 przedsiębiorstw, a do tego dochodzą jeszcze trudności kadrowe, ograniczenia w dziedzinie funduszu płac, a stąd trudności w zatrudnieniu tej, tak ważnej dla gospodarki zawodowej profesji.

## CZY KRAJ ISTOTNIE CIERPI NA BRAK EKONOMISTÓW?

Główny referat na konferencji wygłosił wiceminister od spraw gospodarczych Eugeniusz Szyr. W długim przemówieniu przedstawił on zamierzoną reformę dotyczącą zarządzania przedsiębiorstwami, opartą na rezolucji 4-go zjazdu PZPR i na uchale rady ministrów z lipca 1964 r. Stwierdził przy tym, że kraj nie posiada dostatecznej ilości ekonomistów z wyższym wykształceniem, od których prawie wyłącznie zależeć będzie powodzenie reformy. Wyraził jednak nadzieję, że

ekonomiści z poświęceniem i entuzjazmem wywiążą się z obowiązków, jakie spadną na nich w związku z reorganizacją, która ma zapewnić gospodarce krajowej nowe perspektywy rozwoju i uzdolnić ją do uzyskania pozycji równej z gospodarką państw kapitalistycznych.

Powstaje więc pytanie, czy kraj istotnie ma za mało ekonomistów z wyższym wykształceniem, bo jak wiadomo, wyższe szkoły ekonomiczne wydały przecież w okresie ostatnich 16 lat wcale pokaźną liczbę ekonomistów, zwłaszcza że w tym właśnie okresie studia ekonomiczne posiadały wyjątkowo silną atrakcję. Gdzie zatem leżą przyczyny tego niedoboru?

Na to pytanie odpowiedziało częściowo „Słowo Powszechne“ z 23 stycznia br. Z długiego artykułu A. Mroczyka dowiadujemy się, że w 1964 r. Główny Urząd Statystyczny przeprowadził spis kadrowy ekonomistów, który dał bogaty materiał, obrazujący sytuację panującą w tej dziedzinie. Otóż okazało się, że na stanowiskach ekonomistów pracowało wtedy w gospodarce krajowej ponad 7 tysięcy osób, nie posiadających do tego kwalifikacji. A było wśród nich: 30 lekarzy, 163 filozofów, 406 fizjologów, 319 historyków, 146 pedagogów, 60 socjologów, 24 psychologów, 69 literatów, dziennikarzy i bibliotekarzy oraz ... 29 przedstawicieli różnych zawodów artystycznych, co można przetłumaczyć: aktorów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków itp.

Kadry ekonomistów z prawdziwego zdarzenia były zatem pokryte tylko w 35 do 40 procentach ale, jak mówi autor, „podobno“ mają się zwiększyć do 60 procent. Mimo to, jak wynika z ankiety, połowa absolwentów wyższych szkół ekonomicznych gdzieś przepadła, czyli jak się określa w kraju to zjawisko, „jakoś się urządził“. Toteż autor stara się dojść do sedna sprawy i zupełnie jasno tłumaczy, że dotychczasowy, scentralizowany system zarządzania gospodarką sprawiał, iż jeszcze do niedawna, ekonomiści z wyższym wykształceniem, zatrudnieni w zakładach pracy, wykonywali w zasadzie jedynie czynności kalkulacyjne i sprawozdawcze, byli wykonawcami decyzji, wydanych przez centralny urząd planowania.

Jak zatem, w takiej sytuacji, mógł ekonomista z wyższym wykształceniem rozwinąć swoje zdolności dla dobra przedsiębiorstwa i całej gospodarki na-

rodowej? A jakie będzie jego stanowisko po wprowadzeniu w życie reform o zarządzaniu zarówno zjednoczonymi przedsiębiorstwami jak i indywidualnymi przedsiębiorstwami? Toteż autor sugeruje, by przedsiębiorstwa państwowe, a nawet i spółdzielcze oparte były w przyszłości na pełnym rozrachunku gospodarczym, kierowanym przez ekspertów-ekonomistów. Należy ponadto, zdaniem autora, stworzyć specjalne biura porady ekonomicznej, prowadzone podobnie jak na zachodzie, gdzie z ich porady korzystają nie tylko duże, ale i małe fabryki.

## ZNAMIENNY, DODATKOWY GŁOS

W Życiu Gospodarczym z 22 stycznia br., Karol Szware ogłosił recenzję z książki Jana Kluczyńskiego „O zawodzie ekonomisty w Polsce ludowej“, w której autor książki przedstawił m.in. wyniki badania empirycznego, obejmującego prawie 2 tysiące absolwentów wyższych szkół ekonomicznych w okresie 1953 do 1961. Po przedstawieniu całego szeregu uwag o dzisiejszej pozycji ekonomisty, autor dochodzi do konkluzji, iż dziś już nikt nie neguje, że powodzenie reform gospodarczych nie będzie zależało od rozszerzenia formalnych możliwości stosowania rachunku ekonomicznego (czym chciał powiedzieć, od przydługich i zawiłych tekstów uchwał rady ministrów), ale od stylu pracy ekonomistów, bowiem sami ekonomiści nie są przekonani o swym prestiżu zawodowym. W tej chwili, zauważa autor, trudno jest mówić o pozycji zawodowej ekonomisty, bowiem praktyka nie określiła pojęcia tego zawodu. Ekonomistą nazywają więc tego, który zajmuje stanowisko w taryfikatorze, przewidziane dla ekonomisty. Stąd wniosek, że zajmują je często ludzie z podstawowym wykształceniem. Trudno zatem mówić o społeczno-zawodowej klasie ekonomistów, jeśli jak to wynika z artykułu w Słowie Powszechnym, mogą je zajmować lekarze, filozofowie i artyści.

Tym się też tłumaczy spadek liczby ekonomistów w przeliczeniu na 100 tysięcy osób, zatrudnionych w gospodarce narodowej. Gdy np. w latach 1958-1964, liczba zatrudnionych niewspółmiernie wzrastała, liczba ekonomistów w tym okresie spadała. Było ich w roku 1958 — 478, zaś w 1964 już tylko 444, a zapotrzebowanie na prawdziwych ekonomistów pokryte było tylko w 50 procentach.

Autor poszedł jeszcze dalej. Cytuje ankietę, przeprowadzoną wśród ekonomistów, którym postawiono pytanie, jaki chcieliby wybrać zawód dla swoich dzieci? Prawie 38 procent ekonomistów chciałoby dla swych córek wybrać zawód albo lekarza, albo inżyniera lub inny zawód twórczy, tylko 7,6 procent obrałoby dla córki zawód ekonomisty. Dla synów, 60 procent obrałoby zawód inżyniera, lekarza lub inny zawód twórczy, a tylko 5,6% zawód ekonomisty.

Autor konkluduje, że wyniki ankiety nie skłaniają do optymizmu.

#### A JAK WYTŁUMACZYĆ TE FAKTY?

Zarówno Szyr, jak i część prasy, omawiając znaczenie konferencji ekonomistów podkreślała, że kraj cierpi na brak ekonomistów z wyższym wykształceniem, zwłaszcza teraz, kiedy cały ciężar wprowadzenia reform spadnie na ich barki. Kto bowiem, jeśli nie ekonomista, zrozumie uchwały rady ministrów? A tu należy przypomnieć, że uchwała z lipca 1964 obejmowała w Monitorze Polskim, 13 stron druku i weszła w życie po 20 dniach, zaś druga, z 7 grudnia 1966 r. o zmianach w organizacji zjednoczeń przemysłowych, znowu obejmuje 11 stron, a weszła w życie już po 9 dniach. Kto więc mógł zrozumieć te skomplikowane dokumenty, jeśli nie ekonomista? W jaki sposób mają zjednoczenia przemysłowe przedstawić dotychczasowy system już po 9 dniach? Dlaczego ten pośpiech, chyba tylko, by dogonić Jugosłowian i Czechów, którzy reformę już wcześniej wprowadzili, ale niewiele mówią o jej sukcesach. Za to Węgrzy zamierzają wprowadzić ją dopiero z dniem 1 stycznia 1968 roku.

Trudno jednak zgodzić się z twierdzeniem, że ekonomistów jest w kraju za mało. Wiemy, bo tak mówi prasa, że połowa absolwentów wyższych szkół ekonomicznych inaczej się urządziła. Ale znacznie bardziej przekonujące są cyfry ogłoszone w Roczniku Statystycznym. I tak wg. Rocznika na rok 1955 (cyfry per 31 grudnia 1964 r.), w 1950 roku było w kraju jedenaście wyższych szkół ekonomicznych.

Więcownie jednak „produkcja“ ekonomistów była za wielka, bo w 1964 roku było ich już tylko 7. Ale nawet w tym, tj. w 1964 r. dyplomy uzyskało blisko dwa i pół tysiąca absolwentów, a liczba studentów w 7 szkołach wynosiła około 26 tysięcy, jak wynika ze statystyk z lat ubiegłych, przeciętnie 10 procent opuszcza te szkoły z dyplomem. Należy przeto, opierając się na autentycznych cyfrach przyjąć, że liczba ekonomistów z wyższym wykształ-

ceniem urosła w 1966 r. do blisko 33 tysięcy. Trudno zatem uwierzyć, by ta cyfra była za mała, oczywiście, pod warunkiem, że wszyscy objęli stanowiska zgodne z ich przygotowaniem i byli traktowani jako ekonomiści, a nie na równi z księgowymi. A to właśnie jest przyczyną, że zawód ten utracił swoją atrakcję.

Tu należy przypomnieć, że zakłady, nie tylko większe, zatrudniają również doradców prawnych, bez których opinii dyrektor zakładu nie zdecyduje się na skierowanie sprawy na drogę sądową. Dalszego więc traktuje się inaczej ekonomistów i jak wytłumaczyć fakt, że stanowiska ich zajmować mogą lekarze, filozofowie i artyści.

Ale na to, by otrzymać odpowiedź na to pytanie trzeba pojechać do kraju i zapoznać się z systemem panującym w dziedzinie stanowisk.

W tej sytuacji trudno sobie wyobrazić, by apel Szyra do ekonomistów o poświęcenie i entuzjazm mogły wzbudzić inicjatywę. Ekonomistom trzeba wpięć prestiż i ich pozycję społeczną. Mówi o tym Kluczyński w swej książce, ale nie dał im żadnego przyrzeczenia Szyr. Pozostaną przeto nadal członkami zawodu o nieokreślonym społecznym znaczeniu. A główną przeszkodą pozostanie uświęcony już dzisiaj system obsady stanowisk, związany ściśle z jednopartyjnym systemem politycznym.

**SOS** recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski  
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego ..... A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)  
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)  
Persantin 75 dragées (NIEMCY)  
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)  
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)  
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski  
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradza  
przez TAZAB w Londynie, bo  
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.  
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45



Nic bardziej nie dokuczają społeczeństwu jak bezmyślność administracji. Gdy sprawy najprostsze stają się niemożliwe do załatwienia lub wykonania znak to nieomylny, że ci co zastrzegają sobie wyłączność decyzji — decydują źle.

### ZDOLNOŚĆ PRZEWIDYWANIA

Szereg przedsiębiorstw zaopatrujących PDT w Gdańsku, z góry przesyła na konto domu towarowego kary wadialne, za niewywiązywanie się na czas z umowy o terminie dostawy. Znaczący to, że kara za nieterminową dostawę musi wchodzić w kalkulację produkcji. Przedwczesne płacenie kar jest najlepszym dowodem, że przedsiębiorstwa produkcyjne nie sobie z tych kar nie robią.

### ZA ULBRICHTA I KOMUNIZM!

Przemawiając w Katowicach na konferencji wojewódzkiej PZPR, Gomułka w ten sposób sformułował postulaty polityki polskiej, że interesom reżymu komunistycznego Wschodnich Niemiec dał pierwszeństwo przed interesami polskimi. Tak bowiem należy traktować wymagania, by politycy zachodnio-niemieccy, jeśli chcą rozmawiać z Polską, musieli się najpierw porozumieć z Ulbrichtem. Dziwna to doprawdy logika. A może tylko jeden dowód więcej, że doktrynerstwo ogłupia przede wszystkim tych, co się nim posługują. Należy bowiem wątpić, aby społeczeństwo polskie zgadzało się bezkrytycznie na decydowanie jego spraw po linii wymagań niemieckich komunistów z Pankow.

### ŻAŁOWANO NA REMONTY — WYDA SIĘ NA ODGRZYBIENIE

Sknerstwo władz administracyjnych jeśli idzie o wydatki na remonty budynków mieszkalnych — jest powszechnie znane. O skutkach tej polityki oszczędnościowej dowiadujemy się później w formie raczej zaskakującej. Tak np. narada, jaka odbyła się w lutym w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej stwierdziła, że co roku na skutek zniszczeń spowodowanych przez grzyb domowy nasze budownictwo miejskie traci 25 tysięcy izb. Nie lepiej jest na wsi, gdzie z tego samego powodu ubywa co roku 13.500 izb. W przeliczeniu na złotówki daje to ogromną sumę, średnio 2 miliardy 100 milionów złotych rocznie.

Największe zaniedbania pod tym względem są w województwach: olsztyńskim, warszawskim, wrocławskim, łódzkim i gdańskim. Chyba najwyższa pora, aby o walce z grzybem domowym pomyśleć wcześniej, wtedy gdy zwy-

# KRAJ KONTRASTÓW

kły remont okresowy jest w stanie temu szkodnikowi zapobiec.

B.D.I.C

### ELEKTRYCZNE ROZRUSZNIKI SERCA

Pod koniec ub.r. żyło w Polsce 56 osób z elektrycznymi rozrusznikami serca. Jest to niewątpliwie duże osiągnięcie polskiej chirurgii. Rozruszniki serca (w terminologii fachowców nazywane stymulatorami) są to niewielkie aparaciki umieszczone pod skórą pacjenta i połączone z elektrodami wszczepionymi w mięsień sercowy. Aparat, drogą stałych impulsów elektrycznych zmusza serce do rytmicznej pracy. Miniaturowe baterie w aparacie — zależnie od typu — zmieniane są co dwa do pięciu lat.

W Instytucie Kardiologii Akademii Medycznej w Warszawie utworzony zostanie wkrótce swego rodzaju „bank“ tych urządzeń, z którego korzystać będą mogły wszystkie kliniki w kraju.

### NOWOCZESNOŚĆ ODKUPOWANA Z OPÓŹNIENIEM

Umowa, jaką Polska zawarła z włoskimi zakładami Fiata na zakup licencji na samochód średniolitrażowy, następcza pewne zastrzeżenia. Polska kupuje licencję modelu wycofanego z produkcji. Produkcję tego modelu zacznie — jak podano — dopiero pod koniec obecnej pięciolatki, czyli gdzieś na początku roku 1970. Jeśli jest to model przestarzały (chodzi o „Fiat 1300“ i „Fiat 1500“) za cztery lata będzie to wóz bez wartości na rynkach zachodnich. Powstaje zatem pytanie, czy opóźnioną motryzację kraju trzeba koniecznie zaczynać jeszcze na opóźnionym modelu?

### POWAŻNIE O PIKUTKOWIE

Z okazji 900-lecia istnienia miejscowości, obywatele Pikutkowa ostro protestowali, aby nazwę ich miasteczka traktowano jako symbol prowincjonalizmu. Podobno większość pikutkowień ukończyła wyższe studia i zajmuje zbyt dopowiedzialne stanowiska, aby pochodzenie z Pikutkowa upoważniało kogośkolwiek do śmiechu.

Krótko mówiąc, zanosi się na założenie ligi ochrony dobrego imienia miasteczka Pikutkowa istniejącego w Ziemi Kujawskiej już od 900 lat.

### HANDLOWY PUNKT WIDZENIA NA BUTELKĘ

Walka z pijaństwem toczy się w Polsce nie od dziś, ale jak dotychczas nie

widac jej rezultatów. Zato poważnymi osiągnięciami, uzyskanymi metodą naukową, może się pochwalić handel spirytualiami. Okazuje się, że w celu zwiększenia obrotów stroni on od zamawiania wódki w ćwiartkach i woli zamawiać większe butelki. Wiadomo: większy obrót, większy zysk. Druga strona tego medalu nazywa się podobno pijaństwem, ale to już handlu nie obchodzi. Handel dba zato o co innego. Woli, aby butelki z wódką nie były korkowane, lecz kapslowane. Wtedy, zrozumiałe, co się zaczęło — trzeba wypić.

### ZAPALNICZKI NA GAZ DO JEDNORAZOWEGO UŻYCIA

Niedawno przemysł lekki doniósł o nowym osiągnięciu: produkujemy już w Polsce zapalniczki na gaz. Pierwsze serie dostarczone do sprzedaży rozeszły się błyskawicznie. Z następnymi jest gorzej. Kilka rejonów kraju zawałonych jest tymi zapalniczkami, których nikt nie chce już kupować. Przyczyna? — ależ zrozumiała. Przemysł produkuje zapalniczki gazowe, ale nie produkuje do nich zapasu paliwa. Modna zapalniczka jest tylko do jednorazowego użytku, a na taki luksus niewielu może sobie pozwolić.

### MASZYNY KOŁOSY DLA SOWIETÓW

„FAMPA“, czyli Fabryka Maszyn Papierniczych w Cieplicach buduje maszyny do produkcji tektury, ważące po 2.300 ton sztuka. Właściwie każda taka maszyna, to cała fabryka. Pierwszą serię produkcyjną zakupiły Sowiety.

### WCZASY HANDLOWE

Według danych statystycznych w roku 1966 około 800 tysięcy Polaków spędziło urlopy za granicą. Większość tych urlopowiczów odwiedziła bratnie kraje „demokracji ludowej“ i Sowiety. Ale pokaźne grupy wyjechały na Zachód. Tak np. we Francji bawiło w zeszłym roku 13.500 osób z Polski. Współczesny Polak jest praktyczny i urlop wypoczynkowy łączy z okazją do wymiany handlowej. Jeszcze w wiele miesięcy po sezonie urlopowym tzw. sklepy komisowe zajmujące się upłynianiem artykułów produkcji zachodniej są zawałone towarami. Wszędzie wiszą napisy: „Towaru nie przyjmuje się“. Jest to wymownym dowodem, że w tym wypadku statystyka o licznych wyjazdach mówi prawdę.

WIŚLAN

# NIEZWYKLI MINISTROWIE

W skład rządu brytyjskiego wchodzi zawsze trzech ministrów o dość osobliwych tytułach i funkcjach, jak na dzisiejsze demokratyczne czasy. Są to: Lord Prezydent Rady Przybocznej, Lord Prywatnej Pieczęci i Kanclerz Księstwa Lancaster.

W normalnej praktyce administracyjnej członek rządu kieruje przydzielonym mu resortem lub prowadzi agendy jednego, a czasem dwu lub więcej ministerstw. Ci trzej dygnitarze angielscy nie stoją na czele żadnego działu administracji państwowej, ani nie pełnią obowiązków ministerialnych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Próżno by szukać odpowiedników ich funkcji w składzie rządów innych krajów. Ich tytuły są pozostałością z dawnych czasów, gdy Rada Przyboczna króla była rządem i organem wykonawczym monarchy. Dziś te przestarzałe tytuły wypełniono nową treścią, zgodnie z wymogami chwili obecnej.

## LORD PREZYDENT RADY

Z racji swych urzędowych obowiązków Lord Prezydent ustala porządek obrad Rady i przewodniczy na jej posiedzeniach. Posiedzenia Rady są jednak bardzo rzadkie. Straciła ona swoje dawne znaczenie, a władza przeszła w ręce rządu. Dlatego premier przydziela Prezydentowi Rady inne ważne zadania. W chwili obecnej funkcje Prezydenta pełni R. Crossman. Oprócz tego jest on leaderem Izby Gmin. Głównym obowiązkiem lidera jest przygotowywanie porządku obrad i czuwanie nad wykonaniem programu ustawodawczego parlamentu. Przy pomocy stróżów dyscypliny partyjnej (party whips) opracowuje on rozkład zajęć poszczególnych komisji i całej Izby i podaje do wiadomości wszystkich posłów na tydzień naprzód. W swych planach lider musi oczywiście liczyć się nie tylko z opinią rządu, ale także z głosem opozycji. Z reguły lider Izby Gmin jest przewodniczącym Komitetu Ustawodawczego rządu. Komitet przygotowuje projekty ustaw, jakie należy wnieść w czasie trwania każdej sesji parlamentu, zgodnie z obietnicami przedwyborczymi, programem partii lub wymogami bieżących warunków.

## LORD PRYWATNEJ PIECZĘCI

Pieczęć prywatna w odróżnieniu od Wielkiej lub Tajnej, która służyła do promulgowania dekretów i stemplowania oficjalnych dokumentów, była pod

opieką jednego z dworzan z najbliższego otoczenia króla — Lorda Strażnika. Monarcha przykładał ją do asygnat, wyrażając w ten sposób zgodę na wypłatę ze skarbu państwa. I chociaż pieczęć została wycofana z użycia ustawą z r. 1884 tytuł i urząd jej strażnika pozostają.

Obowiązki konstytucyjne Lorda Prywatnej pieczęci są obecnie znikome. Ma więc inne zadania do spełnienia. Zajmuje odpowiedzialne stanowisko lidera Izby Lordów. Funkcję tę sprawuje obecnie Lord Longford. Podobnie jak jego odpowiednik w Izbie Gmin, stoi on na straży programu ustawodawczego i terminów obrad Izby Lordów.

Lord Longford, jak wiemy, reprezentował rząd brytyjski na nabożeństwie za duszę Śp. Gen. Bora-Komorowskiego w Westminster Cathedral, 20 października 1966 roku.

## KANCLERZ KSIĘSTWA LANCASTER

Podobnie jak dwaj poprzednio wymienieni lordowie, kanclerz jest tzw. „non departmental minister“. Nie wchodzi jednak do ścisłego gabinetu i sprawuje funkcje mniej odpowiedzialne. Po ostatnich zmianach personalnych w składzie rządu, w styczniu br. kanclerzem Księstwa Lancaster mianowany został F. Lee. Obowiązki jego z tego tytułu ograniczają się do nadzoru nieruchomości należących do korony brytyjskiej. Zajmują one niewiele czasu i dlatego szef rządu przydzielił mu inne zadania, mianowicie pomoc min. Stewartowi w Departamencie Spraw Ekonomicznych. Podlega mu dział regula-

cji cen i dochodów, szczególnie trudny w obecnej fazie zamrożenia płac i dywidend.

Wielu obserwatorów brytyjskiego życia politycznego zastanawia się, czy ci ministrowie bez ministerstw konieczni są w rządzie? Praktyka rządzenia w Anglii opiera się, jak to powszechnie wiadomo, nie tylko na prawie, lecz także na konwencjach i zdrowym rozsądku. Gdy konstytucyjne obowiązki niektórych ministrów skurczyły się lub wygasły, z biegiem czasu, przydzielano im inne pożyteczne funkcje. Członkowie rządu, stojący na czele departamentów są obciążeni codzienną pracą, bieżącymi problemami i narastającymi trudnościami. Muszą im poświęcać cały swój czas i energię. Ci trzej panowie są wolni od presji aktualnych obowiązków i kłopotów związanych z rządzeniem. Mają warunki spokojnego przemyślenia swych zadań i obiektywnego spojrzenia w przyszłość. Mogą zastanowić się bez pośpiechu nad programem pracy całego zespołu u steru władzy. Często są natchnieniem dla innych ministrów i motorem poczynań rządu. Piastując takie właśnie urzędy, są w stanie zdziałać bardzo dużo dla swojej partii i kraju. Nic więc dziwnego, że w kolejnych rządach przydzielano im bardzo ważne zadania. W czasie drugiej wojny światowej premier W. Churchill powierzał tym niezwykłym ministrom nadzwyczajne funkcje. Uczynił ich koordynatorami (overlords) kilku ministerstw, w celu zharmonizowania i usprawnienia prac rządu. Socjaliści znieśli po wojnie urząd koordynatorów. Uważali, iż koliduje to z zasadą indywidualnej odpowiedzialności poszczególnych ministrów za ich departamenty.

Sytuacji tych trzech członków rządu nie należy utożsamiać z funkcją ministrów bez teki. Ci ostatni, spotykani w składzie rządów wielu krajów, powoływani są zwykle do specjalnych zadań.

## SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



# HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

# WSPOMNIENIE

## Z TAMTYCH CZASÓW

B.D.I.C

**S**IEDZIELIŚMY na przyzbie, stary Jasiek i ja. Słońce schodziło w bruzdy za olszyną, przez bezlistne gałęzie sączyło się ku nam długimi wstążkami czerwono-złoty zakosów, podobnych do proporczyków mojego rozbitego pułku.

Był wczesny listopad. Już od miesiąca siedziałem w gajówce u Jaśka na skraju Puszczy Rudnickiej. Wróciłem z wojny do domu, który zastałem pusty. Ojciec od pierwszych dni października siedział w powiatowym więzieniu oskarżony o podwójną zbrodnię: był sędzią i miał folwark. Po drodze do domu dowiedziałem się we wsi od starej Anny-wariatki, że przeszukiwano za mną okoliczne lasy i że komisarz w miasteczku „chciał ze mną pogadać”. Zawróciłem więc nocą spod pustego dworu, poszedłem w las do Jaśka, nie miałem gdzie indziej się podziąć.

Jasiek przez długie lata był gajowym u mego stryja. On pierwszy uczył mnie miłości do lasu, a gdy wyprosiłem na swe dziesiąte urodziny dubeltówkę od ojca, złożył mi rękę do strzału, rozmazał na policzkach krew pierwszego ubitego zająca i podając rękę jak dorosłemu powiedział: „Już ty teraz myśliwy, Tolik. Szanuj broń i żywioł szanuj. Do siedzącej nie strzelaj i w sieci nie pozwól łapać, bo to grzech. I pamiętaj, że ty już nie dziecko teraz, a myśliwy”.

Jasiek był bardzo stary. Rówieśnik mojego dziadka, u pradziadka zaczynał służbę i wszystkie sprawy naszej rodziny znał lepiej ode mnie. Wojna zastała go w głębi puszczy zbierającego miód dzikich pszczoł na jemu tylko znanych płonach. Nowy stan rzeczy, który się wtoczył na naszą ziemię 17 września nie doszedł jeszcze do starej gajówki Jaśka, a jeśli nawet i doszedł to Jasiek nie chciał o nim wiedzieć.

Teraz mówil:

— A ty Tolik siedzisz tu ze mną i siedzisz, a tob'ie do wojska trzeba z powrotem. Do Francji. Tak ty lepiej do Wilna pojedź, brodę zapuść dla niepoznaki i do armii idź. A ja

już baćce twojemu dam znać coś był i poszedł z powrotem.

— Do więzienia Jasiek pójdzie z moim baćką gadać? — spytałem. — Przecie nie pozwolą.

Chciałem uciekać i bez rady Jaśka, chciałem bić się dalej. To nie strach kazał mi siedzieć w puszczy. Może przecucie jakieś mówiło mi już wtedy, dwudziestoletniemu chłopcu, że w tym lesie i na tej przyzbie to było już moje ostatnie obcowanie z ojczyzną.

— Nic tu nie wysiedzisz — powtórzył Jasiek. — Oni przyjdą i tu. Ja stary, to się nie spieszą. Wiedzą, że nie ucieknę. Ale do innych gajowych i do tych na resztówkach to już się dobrali. Wywozić będą do Matuszki Rassieji. — Ale mnie nie wywożą — dodał po chwili.

Słońce zapadło za olszynę. Szedł teraz od niej chłód, a niebo posiniało.

— Tak ty do Francji się szykuj. Pan Wicionis, nim go z twoim baćką do więzienia zabrali, trochę złotych rubli u mnie zostawił, to ci dam. Wicionis nie pożałuje jak wróci. Tak ty w piątek do Wilna idź.

Wstałem z przyzby. Jasiek miał rację, trzeba się było zbierać. Przegapiłem czas, kiedy „granica” na Wilno była jeszcze otwarta. Wiedziałem, że teraz czekała mnie trudna droga na Marcinkańce i Orany, że się lasami będę musiał do Wilna przedzierać, poprzez sowieckie stráže.

Żalność straszliwa zdjęła mnie znowu za wszystko co się stało: za mój pułk i za wstyd wracania chyłkiem do domu, za przymus zerwania podchorążackich oznak w powrotnej drodze do swoich, których nie danym mi już było zastać pod modrzewiowym dachem mojego dzieciństwa. Chwilami wstydzilem się nawet tego, że żyłem, że nie byłem ranny. Lękałem się o ojca i niepokoiłem o siebie, a jednocześnie chciałem wracać do pustego dworu, pokazać że jestem z powrotem i że się niczego nie boję.

Chciałem także zabijać. Tak, chciałem się składać jak do zajęcy

do tych, co mi ojczyznę w trzy tygodnie zburzyli i przez granice podali sobie ręce ponad naszymi głowami. Ciągłe nie mogłem pogodzić się z tym, że wolność mojego dzieciństwa i ledwo zaczętych lat młodości była już tylko takim samym mitem jak opowieści o niej mojego dziadka.

— Chodźmy do lasu, Jaśku, na pożegnanie. A jutro zacznę się zbierać.

Poszliśmy w las. Mrok zapadał szybko. Jasiek szedł przede mną gęstymi zaroślami jak w biały dzień. Szedłem za nim powoli, skacząc przez wykroty. Tu i ówdzie mimo wieczornej ćmy zabielił się zdrowym spodem niespodziewany grzyb. Schylałem się, aby go ściąć kozikiem, szedłem dalej i znów przystawałem. Spłoszony ptak trzepotał się na szczycie świerka, wiatr kołysał baidylami ożyn, a późna jagoda chwiała się zwiędłym fioletem owocu. Lelek-kozodój spadł spod nieba między gąszcz, zmylony niezwykłą łagodnością jesieni.

— Nasi w puszczy się schodzą — powiedział naraz Jasiek i przystanął. — Ci z wojny i ci z okolicy. Już się pozbierali. Niedługo na Lidę i na Wilno pójdą, zobaczysz. I baćkę odbiją i Polskę. Ja ci to mówię — zobaczysz. Wiem, gdzie się kryją, tyle że ognisk nie palą, za mało jeszcze silni. Na pomoc czekają od Francuzów i od Angliczanów. Ale ty do nich nie przystawaj. Do Francji idź, powiedz komu trzeba, że oni tu czekają.

Gdybym nie miał aż dwudziestu lat to bym rozplakał się jak mały chłopak. Jakże mi było odjeżdżać, jeżeli oni naprawdę w lasach zbierali się na dalszą walkę? Zapewne mieli broń i mundury, z których nie zerwali oznak. Może byli między nimi moi koledzy z gimnazjum, albo z podchorążówki, chłopcy z sąsiedztwa, żołnierze z innych rozbitych pułków, ci których spotykałem w drodze powrotnej spod Kutna do domu? Jakże więc miałem jechać?

A jednocześnie chęć innej, szczęśliwszej przygody ciągnęła mnie tam, gdzie wolność wciąż jeszcze była pojęciem zwyczajnym, gdzie stały nieknięte domy, gdzie można się było bić otwarcie za „naszą wolność i waszą”.

Żegnałem się z lasem. Jasiek znów wyrwał się naprzód, aby przystanąć tu i ówdzie — przy dziupli w dębie,

raz nad strumykiem, który się toczył jednakowym nurtem, od kiedy pamiętałem ten las. W chłodnej wodzie strumyka dumny i szczęśliwy obmywałem pierwszą zajęczą krew z twarzy, a między paprociami na jego lewym brzegu powiedziałem kiedyś Anuli sołtysa, że ją kocham. Anula wypasała teraz cielaki na różnych rabatach przed moim domem, a jej wyprawna krowa ogryzała cierpliwie zwędłe krzaki malin, sadzonych ręką mojej matki. Anula nosiła teraz jedwabne suknie mamy, które od jej śmierci wisiały w sypialnym na pięterku w modrzewiowej szafie. Anula przystała do nowego porządku i dlatego także trzeba mi było stąd iść.

Jasiek zatrzymał się znowu. Odwrócił się ku mnie, czekał aż podejść. Stał w fioletowym zmroku między drzewami, brodaty siwo-ryżym zarostem, wyprostowany i okazały, podobny do Mojżesza, albo do Abrahama z rysunków Andriollego, a może tylko do hetmana ze starych rycin, który dla tej ziemi wolność wywalczył swoją rycerską do niej miłością. Podeszedłem do Jaśka, ściskając w rękę ściętego borowika.

— Tolik — powiedział — ja tobie coś powiem na pożegnanie. Jak wrócisz, to mnie już nie będzie. Tak teraz powiem tobie jedną tajemnicę. O wszelkiej żywioli powiem. Bo widzisz, trawa i las, jagoda i ptak, lisiek i zajęć, słońka i wilk — to wszystko przecie żywiola boska tak jak i my. A tajemnica o niej jest ta, że żywiola lepiej od nas czuje to co najważniejsze — że śmierć nie jest ważna. Tak ty idź i śmierci się nie bój. Ja tobie to wytłumaczę jak umiem. Wiele ja się w tej puszczy dziwów napatrzyłem co, myślisz, stary wilk robi albo lis kiedy czas jego nadszedł? Ustępuje. Jeszcze i siłę nieraz ma i do samicy i do ścierwa, jeszcze by młodszemu pokazał krzepę w pazurach i zębach, ale nie chce. Nie uwierzysz, a przecie sam widziałem: stara żywiola w czasie głodu w zimie na bok odchodzi, na padlinę się nie rzuca, śmierć wybiera, bo młodszy dla stada przydatniejszy. A i to wiem także, że czasem resztkę krzepy własnej oddaje jakoś z siebie — młodszemu. Nie rozumiem, ale wiem. Tak ty Tolik teraz, kiedy śmierć chodzi blisko, o tym pamiętaj. Nawet jak i przeżyjesz to ci ta

tajemnica żywioli boskiej pomoże, kiedy z chłopaka w staryka się zmienisz i pożalujesz minionego życia. Pamiętaj, że w lesie na boskiej zagrodzie jest inaczej. Pamiętaj, bo to jest bardzo ważne.

Wracaliśmy pod gwiazdami, które wychyliły się z nieba jakby to był majowy czas a nie listopad. Gajówka rysowała się w mroku, jedyny dom jaki mi pozostał. Zaraz wejdzimy w jej progi, zapalimy świecę, cień Jaśka i mój odbije się od bielonych ścian. Skwarki zaskwierczą na ogniu, za oknem las będzie szumił dalej, sowa zahuka i wszędzie księżyc.

Miłość i rozpacz, lęk i brak decyzji rozplynęły się naraz w znajomych zrębach chaty. Za oknem leżała ziemia, która wciąż była moją w ciszy białoruskiej nocy — i tak jak otaczająca ją puszcza nie należała ani do armii czerwonej ani do armii brunatnej, ale była wraz ze mną i Jaśkiem i leśną żywiolą — tylko bożą.

Przed nami na przyzbie gajówki zamajaczył jakiś niewyraźny kształt. Jasiek wyrwał się naprzód jak młodzik. Nim dobiegłem rozwalił uderzeniem nogi drzwi i ciągnął w głąb izby czyjeś bezwładne ciało. Wbiegłem za nim, zapaliłem świecę.

— Józik z Szejbakoni — powiedział Jasiek składając go na swym posłaniu — ci z lasu musieli go podrzucić. Nieprzytomny.

Znałem Józika. Mieszkał we dworcu za stawem, przez miedzę graniczną od nas. Józik miał także dwadzieścia lat.

Chyba umierał. Oddychał ciężko rzucał głową na lnianej pościółce wyrka. Spod rozciętego rękawa munduru, z którego także zerwano oznaki, wystawał ku nam straszliwy kikut siny i obrzmiały, niepodobny już człowieczej ręce. Ramię Józika przypominało padlinę, jaką czasami znajdowaliśmy z Jaśkiem w sidłach kłusowników za czasów mojego dzieciństwa, a która była niegdyś błogosławionym kształtem natury — zajęcem, lisem, czy kurą. W kątach ust Józika zastygła różowa piana, charczał i płakał nieświadomymi łzami, które kapały mu na brudny drelich za luźnego munduru. Tak, Józik na pewno umierał.

No więc cóż z tego, że umierał? Pomyślałem z nagłą determinacją

dojrzałości jaka powstała we mnie na jego widok. Cóż z tego, że miał tak jak i ja dwadzieścia lat? I że chciał żyć i bić się, odegrać się za swoje lata i za straconą wolność, za wszystko to czego nie rozumieliśmy obaj wtedy gdy go pięściami okładałem po głowie na dużej przerwie między lekcjami w gimnazjum Ojców Pijarów. W tym pierwszym listopadzie naszej porażki głupi Józik zza miedzy był teraz tylko symbolem. Podtrzymując mu głowę, która nieprzytomnie zwisiała mu z łóżka ku klepisku, myślałem, że w szkole Ojców Pijarów uczono nas podstawowych praw fizyki, katechizmu i bojaźni bożej, ale nie nauczono nas najważniejszego — tego jak się zachować, gdy wszystko runie, jak wbrew wszystkiemu zachować godność i wiarę w to, że słowo ojczyzna nie jest jedynie pojęciem, ale elementem krążącym w naszej krwi.

Jasiek odsunął moje niezdarne ręce. Nawarzył ziół, które odkąd pamiętam wisiały związane w pęczki wysoko u pułapu, rozpiął naderwane guziki munduru Józika, zerwał mu z nóg brudne onuce. Cierpliwie i z wolna otwierał cynową łyżką jego zaciśnięte usta, pojąc go wywarem, który uderzał pod sufit niezapomnianym dla mnie dzisiaj zapachem puszczy i traw, które tam tylko rosną.

— Ty Tolik teraz spocznij — powiedział Jasiek. — Ja przy nim zostanę. Do końca... dodał po chwili i przeżegnał głębokim znakiem krzyża najpierw Józika, a potem siebie.

Ułożyłem się na sienniku pod oknem. Jutro piątek, jutro wyruszę na Wilno. Zapach smażonych skwarek, na które cieszyłem się wracając z lasu uderzył moją wyobraźnię niepostrzymanym uczuciem głodu, lecz Jasiek ani myślał o jedzeniu. Schowałem głowę pod koc, Józik zacharczał nagle głośniejsz, już chyba po raz ostatni. Gangrena ze zranionej ręki dochodziła mu pewnie do serca. Byłem głodny, chciałem żyć, bałem się.

Nie wiem, kiedy zasnąłem. Kiedy zbudziłem się o świcie przez małe okno nad łóżkiem Jaśka słońce tak samo jak wczoraj wyciągało ku mnie długie zakosy-chorągiewski światła, które teraz były nie złote już jak o zachodzie ale delikatne i różowe jak policzki Anuli.

Wstałem.



Jasiek i Józik trwali w niezmiennym pozycji. Dotknąłem ręki Jaśka.

— Umarł? — spytałem, ale Jasiek nie odpowiedział.

Spojrzałem na Józika. Miał oczy szeroko otwarte, jakby zdziwione. Oddychał spokojnie.

— Józik — powiedziałem — to ty żyjesz?

— Tolik — wyszeptał Józik — a ja gdzie? A ty skąd tu? Przecież cię w lesie z nami nie było.

— Jaśku on żyje — zawołałem. — On mówi, Jaśku!

Lecz Jasiek pochyłał się dalej nad Józikiem nieruchomym kształtem i nie odpowiedział. W obu dłoniach, podobnych do korzeni drzew wciąż trzymał mocno jego straszną rękę.

— Jaśku — krzyknąłem znowu i nagle zrozumiałem, że Jasiek umarł.

Nie mogłem nawet księdza sprawdzić do gajówki. Obaj z Józikiem baliśmy się kontaktu z ludźmi. W dwa dni po śmierci Jaśka, gdy Józik wydobrzała na tyle, że mógł już bez pomocy przejść przez izbę — a ręką jego chociaż wciąż szaro-siną, odtęchła i mógł nią poruszać bez bólu — pochowaliśmy go niedaleko chaty między dębami wśród których zapóźnione jagody strzelały jeszcze z podszycia lasu wezwaniem przeciw usypiającej naturze. Złożyliśmy go w płytkiej ziemi, owiniętego w lnianą pościółkę. Rzuciłem pierwszą garść sosnowych szpilek i uwiędłych liści. Pomyślałem o wilku i lisie i o jaśkowej tajemnicy z puszczy.

Strumień płynął dalej. Jaśko nie żył, a Józik ozdrowiał.

— Chodź ze mną — powiedział Józik w drodze powrotnej do gajówki. — Chodź ze mną, w naszym oddziale w lesie jest morowe życie.

— Nie — powiedziałem. — Ja do Francji. Wyruszę dziś w nocy na Marcinkańce i na Orany do Wilna. Za twoją wolność i moją. I za to co mi zawierzył Jasiek. Żeby przetrwało.

Klara Evans

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIAŻKĘ!

Orzeł Biały, kwiecień 1967

## HISTORYCZNE ZDJĘCIE



Powyższe zdjęcie, otrzymane niedawno, przedstawia uczestników jednej z ostatnich gier wojennych przeprowadzanych przez marszałka Piłsudskiego za zwyczaj w Wilnie — szczególnie często w ostatnich trzech latach jego życia. Gry te, zresztą, nie związane z aktualnymi planami operacyjnymi, służyły nie tylko celom wyszkoleniowym. Były równocześnie egzaminem dla wyższych dowódców i kandydatów na dowódców dywizji, samodzielnych brygad, piechoty dywizyjnej itd. Do kilku gier odbytych w końcowym okresie zostali przyciągnięci w charakterze obserwatorów niektórzy inspektorowie armii, mianowicie — na zmianę — gen. Sosnkowski, gen. Dreszer i gen. Rydz-Śmigły.

Na naszym zdjęciu siedzą po obu stronach Marszałka, od lewej strony — dla widza:

— płk. **Ćwiertniak**, późniejszy dowódca 13. dywizji piechoty, który wskutek zachorowania na cukrzycę nie mógł pójść z dywizją na front i popelniał we wrześniu w Równem samobójstwo,

— płk. **Kwaciszewski**, późniejszy generał i dowódca 19. dywizji piechoty, który zmarł w niewoli niemieckiej,

— generał **Anders**, którego późniejsze losy są czytelnikom zbyt dobrze znane, by je tutaj przytaczać,

— gen. dyw. **Rydz-Śmigły**, późniejszy marszałek, Generalny Inspektor i Naczelnny Wódz, który zmarł w Warszawie po ucieczce z rumuńskiej niewoli,

— płk. **Boruta-Spiechowicz**, późniejszy generał który we wrześniu dowodził w armii „Kraków“ jedną z jej grup operacyjnych, a po wydostaniu się z rosyjskiej niewoli został dowódcą I. Korpusu w Szkocji, z której wrócił do Polski już w 1946 roku. Po zwolnieniu z

Ludowego W.P., żyje jako „kułak“ na Ziemiach Odzyskanych.

— płk. **Cehak**, późniejszy generał i dowódca 30. dywizji piechoty, którą dowodził we wrześniu. Po uwolnieniu z niewoli niemieckiej, do której się dostał w Modlinie, zmarł we Francji.

W drugim rzędzie stoją — od lewego:

— płk. **Strzelecki**, ówczesny szef biura inspekcji G.I.S.Z., który we wrześniu dowodził Podolską Brygadą Kawalerii, a po uwolnieniu z niewoli niemieckiej po raz drugi I. pułkiem ułanów krechowieckich. Żyje w Londynie. Przed rokiem mianowany generałem,

— płk. **Mazurkiewicz**, który przed wojną przeszedł w stan spoczynku, a po wojnie wrócił z obozu jenieckiego do Polski. Czy żyje, nie wiadomo,

— płk. **Turkowski**, który we wrześniu dowodził 3. dywizją piechoty, a po wydostaniu się z niemieckiej niewoli wrócił do Polski. Tam służył przez kilka lat w Ludowym W.P. i został mianowany generałem brygady. Zmarł w kilka lat po zwolnieniu ze służby przez Rokossowskiego,

— płk. **Szyszk-Bohusz**, który we wrześniu dowodził 16. dywizją piechoty, a po wydostaniu się do Francji i zamianowaniu generałem brygady strzelców podhalańskich pod Narwikiem i w Bretanii. Wysłany w 1941 roku do Moskwy celem zawarcia umowy wojskowej, został zastępcą generała Andersa, jako dowódcy armii, a następnie II. Korpusu. Żyje w Londynie. Jest od kilku lat prezesem Związku Pisarzy,

— płk. **Mozdyniewicz**, który we wrześniu dowodził 17. dywizją piechoty, a po uwolnieniu z niewoli niemieckiej

(dokończenie na str. 16)

Interesującą postacią w środowisku ludzi parających się piórem jest Bohdan Czeszko — „dziecko“ stalinowskiej literatury. Czeszko, postać energiczna i obrotna, prawdopodobnie postawił wszystko na jedną kartę, aby zrobić karierę w życiu. Co prawda, po słynnym „Pokoleniu“ nie jest on literatem zbyt popularnym, ale jeśli nie przy pomocy pióra, to zrobi on, niewątpliwie, karierę na płaszczyźnie politycznej. Czeszko — poseł na Sejm, ma szerokie znajomości wśród dygnitarzy wojskowych (jest zresztą sam majorem rezerwy), znakomicie zna gen. Wojciecha Jaruzelskiego, aktualnego szefa Sztabu Wojska Polskiego i wicem. Obrony Narodowej. Posiada wiele siły w łokciach, jest inteligentny i uparty. Obecnie w Warszawie krążą wiadomości jakoby Czeszko miał objąć wysoką funkcję w Związku Literatów Polskich. Oprócz Janusza Wilhelmiego i Jerzego Putramenta, Bohdan Czeszko wraz z Romanem Bratnym i Dominikiem Horodyńskim są eksponentami „partyzantów“ w zespole redakcyjnym warszawskiej „Kultury“ i mają z nimi bezpośrednie kontakty.

Powracam jeszcze do sprawy Biura Prasy K.C. Otóż, istnieją pewne przesłanki pozwalające przypuszczać, że instancja ta stoi w obliczu pewnych zmian personalnych. Być może, iż nie dotyczy to — jak wspominałem — samego Starewicza, ale od pewnego czasu trwają tam manewry kadrowe. Szereg osób, od dawna związanych z K.C., przeszło do innej pracy. Na przykład, ze stanowiska w K.C. przesunięto na odpowiedzialną funkcję w telewizji, jednego z weteranów kadrowych, Stanisława Bębenka. Podobnego odsuwania doświadczonych aparatczyków od bezpośredniej pracy w Komitecie Centralnym

wrócił do Polski. Mieszka na Pomorzu, — płk. **Niezabitowski**, który we wrześniu dowodził 4. dywizją piechoty i zmarł po wojnie w Anglii,

— płk. **Bartak**, który poległ 19. września 1939 pod Siedliszczami jako szef sztabu D.O.K. IV, wreszcie,

— płk. **Glabisz**, ówczesny I. oficer do zleceń marszałka Piłsudskiego, mianowany w 1945 roku, jako dowódca odtworzonej 4. dywizji piechoty, generałem. We wrześniu dowodził improwizowaną grupą. Po wyjściu z PKPR osiadł w Londynie.

Jak z tego zestawienia wynika, żyje, spośród 15 widocznych na zdjęciu osób, już tylko 6, a w najlepszym wypadku 7.

Większą osobliwością tego przed 33 lata zrobionego zdjęcia jest jednak to, że pokazuje ono aż trzech naszych Naczelnych Wodzów obok siebie oraz wówczas już mizerny wygląd marszałka Piłsudskiego.

**Kage**

**ANDRZEJ J. CHILECKI**

# STOSUNKI

(dokończenie z numeru 32)

jest więcej. Na ich miejsce przychodzą ludzie stosunkowo młodzi, z mniejszym stażem partyjnym, ale z większym wykształceniem. Od 1 września ub. roku jednym z najbliższych współpracowników Starewicza jest były działacz Z.M.W., absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy K.C. P.Z.P.R. (skończył także wydział prawa na Uniwersytecie Warszawskim), Szewczyk. Natomiast blisko aktualnego kierownika Biura Prasy K.C., stoi obecnie redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi“, Maćków. Podobnych przesunięć i zmian, przeprowadzanych z większym lub mniejszym rozgłosem, było sporo. Cóż to oznacza? Należy chyba sądzić, że w Biurze Prasy trwają jakieś tarcia i nieporozumienia. Mówi się o kontrowersjach między Stefanem Olszowskim a Arturem Starewiczem. Olszowski podobno stoi na gruncie pewnej liberalizacji cenzury, a Starewicz upiera się przy dotychczasowych formach działania. Być może, że wahania kadrowe zmierzają również do podniesienia rangi Biura Prasy przez obsadzenie go fachowcami i ludźmi o większym autorytecie.

Większość dziennikarzy polskich pracuje w warunkach nadzwyczaj prymitywnych. Nawet w redakcji „Trybuny Ludu“ redaktorzy tłoczą się w małych pokoikach, nie ma tam należytej wentylacji, ani żadnych urządzeń godnych drugiej połowy XX wieku. Natomiast, dla przykładu, siedziba „Polityki“ przy Alejach Jerozolimskich — to prymityw na miarę średniowiecza. Redakcja mieści się w starej, przedwojennej kamienicy, dziennikarze siedzą w ciemnych klitkach, dusznych, przegrzanych piecami kaflowymi. W Warszawie nie ma właściwie ani jednej redakcji, która dysponuje pełnym urządzeniem godnym nowoczesnej prasy. Wiele redakcji nie posiada nawet należytego archiwum. Sytuacja tego rodzaju istnieć będzie — o ile nie zmienią się plany inwestycyjne — co najmniej do 1974 roku. W przyszłym roku mają bowiem ruszyć prace przygotowawcze, zmierzające do zbudowania nowoczesnego kombinatu prasowego dla wszystkich stołecznych redakcji, na skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich.

Praca komentatora politycznego w kraju oparta jest na następujących źródłach informacyjnych: czasopiśmie zagraniczne (w zasadzie istnieje możliwość uzyskania każdego tytułu z państw zachodnich), „Biuletyn Specjalny“ — tzw. „B.S.“, nasłuch radiowy

najważniejszych rozgłośni zagranicznych powielony przez jedną z komórek Polskiego Radia, — następnie, biuletyn pn. „Kraje Demokracji Ludowej“, gdzie znajdują się czasem najbardziej sensacyjne wiadomości z „bratnich“ krajów nie nadające się dla szerszej rzeszy czytelników. Biuletyn „KDL“ cieszy się w redakcjach znacznie większym powodzeniem niż „Biuletyn Specjalny“, skoro prasa zachodnia jest stosunkowo łatwa dostępna nie tylko w redakcjach czasopism, ale w prowadzonych przez „Ruch“, Klubach Prasy Międzynarodowej.

„Biuletyn Specjalny“ — wydawany przez Polską Agencję Prasową — (oprócz oficjalnych biuletynów prasowych, np. dla korespondentów prasy zagranicznej) zawiera wiadomości nie zamieszczone w biuletynie przeznaczonym do publikacji, jest w zasadzie ogólnie dostępny dla redaktorów i można z niego korzystać nawet w domu. Z nasłuchami radiowymi jest różnie — sposób korzystania z nich uzależniony jest od stosunków panujących w redakcji. Prasy emigracyjnej — nie ma. Można z niej ewentualnie korzystać — za pozwoleniem — w specjalnym pomieszczeniu (tylko na miejscu), w lokalu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Kolportaż wydawnictw emigracyjnych wśród znajomych, przywiezionych okazyjnie po powrocie z Zachodu, stanowi niesłychane ryzyko. Jeden z moich znajomych, dziennikarz z Gdańska powiedział mi dosłownie: „Sądzę, że lepiej handlować dolarami na czarnym rynku, aniżeli chwalić się w kraju — przed obcymi — książką Georga J. Fleminga“.

Co pewien czas odbywają się w Komitecie Centralnym odprawy redaktorów naczelnych, gdzie następuje instruktaż, polityczny przy udziale co najmniej kierownika Biura Prasy — Stefana Olszowskiego, sekretarza K.C. odpowiedzialnego za sprawę kultury i prasy — Artura Starewicza, dyrektora Departamentu Prasy i Informacji M.S.Z. — amb. Wojciecha Chabasińskiego oraz dyrektora Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa“ — Tadeusza Galińskiego. Prezes i naczelny redaktor Polskiej Agencji Prasowej, w jednej osobie, Michał Hofman zaczyna swój dzień od porannej odprawy w K.C., a w razie potrzeby jest tam wzywany parokrotnie. Podczas jednej z ostatnich narad redaktorów naczelnych w K.C., jaka odbyła się w styczniu br. omawiano

# W DZIENNIKARSTWIE KRAJOWYM

sposoby aktywizacji propagandy antyamerykańskiej. W związku z tym, daje się ostatnio zaobserwować coraz ostrzejszy kurs antyamerykański nakreślony przez Biuro Prasy. Kurs ten stoi jedynie częściowo w związku z konfliktem wietnamskim — jest on bowiem głównie funkcją polityki partii zmierzającej do „scementowania jedności bloku socjalistycznego“.

Zgodnie z dyrektywami Biura Prasy i Wydziału Propagandy i Agitacji K.C. P.Z.P.R. — prasa i radio ma: „przeciwdziałać zachodniej kampanii zmierzającej do rozluźnienia spoistości więzów łączących kraje demokracji ludowej. Na obecnym etapie najważniejszą sprawą jest obrona i zachowanie jedności bloku socjalistycznego i niedopuszczenie, by ewolucyjne przemiany w poszczególnych krajach ułatwiały robotę amerykańskiej dywersji ideologicznej i politycznej“.

Jednym z objawów tego antyamerykańskiego kursu jest zapotrzebowanie na informacje wykazujące słabe strony polityki amerykańskiej, ośmieszające ją i przedstawiające w ujemnym świetle realia wewnętrznej sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Bardzo dobrą marką w sferach partyjnych cieszą się szczególnie zjadliwe korespondencje Wiesława Górnickiego (tygodnik „Świat“) i Zygmunta Broniarka („Trybuna Ludu“). Górnicki piszący reportaże z Nowego Jorku i Waszyngtonu jest protegowanym Artura Starewicza. Jego artykuły ukazują się ponadto w „Życiu Warszawy“ oraz są wygłaszane w formie audycji przez Polskie Radio. Górnicki specjalizuje się w zohydzeniu rzeczywistości amerykańskiej i wyciąganiu (nota bene w bardzo inteligentny sposób) wszystkich jej niedociągnięć i braków. Wszystko to obliczone jest na efekt psychologiczny, tj. na osłabienie nimbów, jakim wciąż Polacy otaczają U.S.A.

Ciekawe są instrukcje Biura Prasy K.C. jeśli chodzi o sprawy chińskie. Wszystkie osoby wyjeżdżające do Chin: dziennikarze, pracownicy central handlowych, a nawet turyści-uczestnicy zbiorowych wycieczek „Orbisu“, otrzymują obecnie od specjalnego urzędnika w Biurze Paszportowym M.S.W. polecenia dokładnego obserwowania wszystkiego, co się dzieje w kraju Mao-tse. Ciekawsze relacje wykorzystywane są w prasowej kampanii skierowanej w tej chwili przeciwko Chinom. Ostatnio, np.

wychodzące w Krakowie „Życie Literackie“ wydrukowało dwie korespondencje z Pekinu; w jednej opisuje swe wrażenia uczestnicząca wycieczka orbisowskiej do Chin; druga — przedstawia przebieg „rewolucji kulturalnej“ w odniesieniu zwłaszcza do środowisk intelektualnych.

W czasie ostatniej, ubiegłorocznej narady redaktorów naczelnych w K.C., Artur Starewicz podał — między innymi — kilka cyfr dotyczących pomocy wojskowej bloku sowieckiego dla Północnego Wietnamu. Otóż w roku 1966 pomoc krajów bloku wschodniego, łącznie ze Związkiem Sowieckim wyniosła 800 mln. rubli. Udział P.R.L. w tej kwocie — 40 mln. Na pytanie jednego z redaktorów, dlaczego pomoc wojskowa jest tak ograniczona, Starewicz odpowiedział, że główną przeszkodą w większych dostawach broni są Chiny, które przetrzymują na swoim terytorium, transporty sprzętu wojennego, niejednokrotnie przez okres trzech miesięcy. Niemalże symboliczny udział Polski w pomocy dla Wietnamu, Starewicz tłumaczył przede wszystkim trudnościami gospodarczymi. Narady w K.C. są to pewnego rodzaju robocze, tajne posiedzenia, pozwalające partii precyzować programy działania dla poszczególnych dzienników i czasopism. Szefowie redakcji referują zwykle treść tych posiedzeń na konferencjach własnego kolegium.

Dziennikarze wyjeżdżający na Zachód organizują takie wojaże przeważnie na własną rękę (wycieczki turystyczne, prywatne podróże, jazda statkiem handlowym po opłaceniu kosztów żywienia itp.). Natomiast wyjazdy służbowe należą do wyjątków i są w zasadzie dostępne najlepszym publicystom (Michał Hofman, Mirosław Azembski, Mieczysław F. Rakowski, Lucjan Wolanowski, Daniel Passent, Kazimierz Dziewanowski, Edmund Osmańczyk, K. Keplicz, Karol Małcużyński, Kazimierz Golde, Bolesław Wójcicki) — oczywiście nie licząc znajdujących się za granicą stałych przedstawicieli Polskiej Agencji Prasowej, Polskiego Radia, Agencji Robotniczej, Interpresu — będących jednocześnie stałymi korespondentami większych dzienników. O ile wiem, dziennikarze wyjeżdżający na Zachód otrzymują polecenia unikania wszelkich kontaktów z emigracją polityczną, przedstawicielami radia „Wolna Europa“ itp. Szczegół-

nie ostro zakazany jest kontakt z paryską „Kulturą“. Każdy dziennikarz po powrocie ze służbowego wyjazdu zagranicę (na Zachód) zobowiązany jest złożyć w ciągu 7 dni od powrotu do kraju, w Wydziale Zagranicznym R.S.W. „Prasa“, drobiazgowo sprawozdanie, dotyczące organizacji pobytu w obcym państwie, przeprowadzonych rozmów, nawiązanych znajomości. Sprawozdanie przekazywane jest następnie do odpowiedniego departamentu M.S.W.

Na tym tle dziennikarze zachodni mają znakomite warunki pracy. Przede wszystkim wynika to z niesłychanej różnicy w zarobkach i swobodnego dostępu do oficjalnych ról informacyjnych. Kontakty polskich dziennikarzy z wyślanikami prasy zachodniej są trochę trefne, jednakże Polacy ich nie unikają.

Około 1950 roku, głównie staraniem nieżyjącego wieloletniego prezesa i sekretarza S.D.P., Stefana Tabaczyńskiego, powstał w Warszawie przy ul. Foksal Dom Dziennikarza im. Juliana Brauna (międzywojenny dziennikarz komunistyczny). W domu tym znalazły pomieszczenie władze S.D.P., sale kinowe, biura, biblioteka oraz czytelnia prasy i restauracja. Przy prezydium S.D.P. działają następujące komisje: finansowa, zagraniczna, wyjazdowa. W skład każdej komisji wchodzi co najmniej jeden członek prezydium i przedstawiciele różnych redakcji. W komisji wyjazdowej, której zadaniem jest akceptowanie wniosków na wyjazd zagranicę członków S.D.P., obok prezesa i sekretarza generalnego zasiadają: przedstawiciel Biura Prasy K.C., przedstawiciel Biura Paszportowego M.S.W., kierownik Wydziału Zagranicznego Polskiego Radia i Telewizji oraz urzędniczka paszportowo-wizowa Wydziału Zagranicznego S.D.P.

Spośród członków warszawskiego oddziału S.D.P. kilku sprawuje wysokie funkcje w międzynarodowych organizacjach dziennikarskich. Na przykład Michał Hofman — prezes i redaktor naczelny Polskiej Agencji Prasowej — jest również wiceprezesem O.I.J. (Organisation Internationale des Journalistes), organizacji zrzeszającej stowarzyszenia dziennikarzy z krajów „demokracji ludowych“ i kilka komunistycznych związków prasowych Francji, Włoch, Indii i Kuby. Ciekawa to zresztą organizacja, której prezesem jest nikomu nieznanemu dziennikarz francuski, ale za to wśród członków zarządu są przedstawiciele „Prawdy“, „Rudeho Prava“, „Izwestii“, „Robotniczesko Delo“ (Sofia), „Neues Deutschland“ itd. O.I.J. jest więc właściwie czymś w rodzaju kominformu z siedzibą główną, oczywiście — jak wszystkich tego rodzaju instytucji — w Pradze.

W Domu S.D.P. właściwie jedyną

Reorganizacja Oddziałów Wartowniczych we Francji i ich przeniesienie do innych krajów, wpłynęła automatycznie na likwidację akcji charaktywnej O.W. pod nazwą „Lekarstwa do Kraju“, prowadzonej przez nasze Przedstawicielstwo w Paryżu.

Przedstawicielstwo „Orla Białego“ pozuwa się do obowiązku przedstawić ofiarodawcom, a tym samym Oddziałom

atrakcją jest knajpa. Poza tym kursy języków obcych i pokazy filmowe. Do restauracji chodzi niewielu dziennikarzy. Stoliki okupowane są przez prywatnych sklepikarzy z ulicy Chmielnej, którym imponuje firma. Redaktorskie pensje nie wystarczają na opłacenie rachunków skalkulowanych we własnym klubie według kategorii „S“, do których dochodzą jeszcze procenty za obsługę i muzykę. Pobyt w tym ekskluzywnym (tylko ze względu chyba na cenę!) lokalu jest utrudniony po niedawnej śmierci jednego z portierów, pana Leona, który dyskretnie pożyczal biednym dziennikarzom forszę na lichwiarski procent.

Klub S.D.P. jest swego rodzaju giełdą wiadomości, które nigdy nie ukażą się na łamach polskiej prasy. Tu można usłyszeć najnowsze kawały, pośmiać się z oszukanej cenzury, czy wymienić najnowsze plotki na temat planowanych zmian w partii, rządzie, czy po prostu w redakcjach. Tutaj przeprowadza się przez bufet różne „chałtury“ zarobkowe i wywiaduje się o wolne etaty. W okresie „października“ Dom Dziennikarza był miejscem, gdzie najszybciej docierały wiadomości. Minęły dni październikowe i klub S.D.P. został już tylko pokątną, niemal czarną, giełdą niezbyt ważnych wiadomości. Toteż, niestety, tu zdecydował się los Henryka Hollanda, przez którego przyniesiona wiadomość o losie Berii dotrała do prasy zagranicznej, popychając go w konsekwencji do samobójczego skoku z piątego piętra.

Przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich w Warszawie funkcjonuje przychodnia lekarska. Szef tej pozytywnej placówki, docent dr Wątorski przeprowadził niedawno ankietę kart chorobowych swoich pacjentów. Z analizy tej wynika, iż ok. 70 procent dziennikarzy, którzy korzystają z usług przychodni, cierpi na zaburzenia nerwowe, najczęściej — nerwica żołądka i choroby serca. Dr Wątorski twierdzi, że są to typowe schorzenia dziennikarzy polskich, wynikające z konieczności ciągłej walki o „chałturę“, permanentnych obaw i prymitywnych warunków pracy. Zresztą prawie 80 procent zgonów wśród dziennikarzy spowodowanych jest wymienionymi schorzeniami.

1967

## 7 LAT AKCJI CHARYTATYWNEJ WE FRANCJI

Wartowniczym we Francji — sprawozdanie za cały okres jej prowadzenia tj., od lutego 1960 roku (po przejęciu od „Polski Wiernej“) do 20 stycznia 1967 roku.

Ofiarodawcami byli niemal wyłącznie Wartownicy polscy we Francji (38.004,29 Fr.) zaś inne instytucje, względnie osoby prywatne złożyły 1.147,99 Fr.

Wysłano do Kraju 967 paczek z lekarstwami, po przeciętnej cenie 34,70 Fr. za 1 paczkę.

Koszty administracyjne bardzo niskie (w ostatnich 4 latach poniżej 8%), znakomitą większość pochłonęła korespondencja zagraniczną (Polska i zamówienia w firmie „Tazab“ w Londynie) oraz znaczna podwyżka porta we Francji.

Ofiary Wartowników na „Lekarstwa do Kraju“ wynosiły przeciętnie 5.249,89 Fr. miesięcznie. Jest to suma bardzo poważna i daje obraz nie tylko nieprzerwanego wysiłku finansowego, ale na pewno i pełni zadowolenia oraz dumy z poczucia łączności ze społeczeństwem w Kraju na niwie niesienia pomocy nieszczęśliwym, którzy nie mogli nabyć niezbędnych lekarstw albo ze względów finansowych, albo ze względu na brak w Polsce danych specyfików.

Gotące i tkliwe serca ofiarodawców na nieszczęścia ludzkie wyratowały wiele osób od niechybnej śmierci, a wielu osobom pozwoliło to powrócić do zdrowia i utrzymać rodzinę.

A ile dzieci wyratowaliście z ciężkich chorób?

To wszystko było możliwe jedynie dzięki wielkodusznej i serdecznej pomocy Wartowników we Francji.

Otrzymałmy setki podziękowań z Kraju pod Waszym, Drodzy Wartownicy, adresem, kończące się nie tylko staropolskim „Bóg zapłać“, ale i modlitwą i oznakami wdzięczności dla Ofiarodawców.

Dzięki tej akcji, imię polskiego war-

townika we Francji znane jest w bardzo wielu miastach i miejscowościach w Polsce.

Co roku była wyznaczana przez szefa Sekcji Łącznikowej O.W. płk. M. Topolnickiego komisja rewizyjna dla zbadania tak celowości tej akcji, jak i strony finansowej. Co roku wszystkie jednostki O.W. otrzymywały protokoły komisji rewizyjnej do wiadomości z podzięką dla Przedstawicielstwa.

Choć prowadzenie tej akcji było zmuadne, to wielką mieliśmy satysfakcję, że na każdą naszą prośbę o pomoc dla chorych w Kraju otrzymywaliśmy szybki i skuteczny odzew.

Wyniki tej akcji pozwalają na stwierdzenie, że ofiarodawcy członkowie O.W. — dobrze i szczerze zasłużyli się w pomocy nieszczęśliwym Rodakom w Kraju.

W imieniu podopiecznych w Kraju, jak i w imieniu Przedstawicielstwa „Orzeł Biały/Syrena“ w Paryżu, składamy Wam, Drodzy Wartownicy, wyrazy gorącej i serdecznej podziękacji, bo akcja ta stanowi ważki przyczynek do jakże ogromnego i stałego Waszego wkładu do ofiarności społecznej w różnych, równie ważnych dziedzinach, a w Kraju pozostawi wdzięczne wspomnienie, że Polacy na obczyźnie pamiętali o swoich rodakach w Kraju i nie szczędzili im pomocy.

Sprawozdanie za okres Siedmioletnia akcji „Lekarstwa do Kraju“ było szczegółowo zbadane w dniu 28.I.1967 przez Komisję Rewizyjną O.W. w składzie ppłk. A. Potoczek, dyrektor 6954 L.S. Ln. Det. i mjr. St. Getter z 3337 L.S. Ln. Det., a protokoły komisji rewizyjnej podaje zgodność cyfr, wielką celowość tej akcji i wyraża Przedstawicielstwo „Orzeł Biały/Syrena“ w Paryżu podziękowanie za prowadzenie jej przez siedem lat z tak pięknymi wynikami.

Przedstawicielstwo  
„Orzeł Biały/Syrena“  
w Paryżu

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI

### U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

# ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

**Zgony:** Liczne grono przedstawicieli świata naukowego i politycznego odprowadziło na miejsce wiecznego spoczynku czolową postać naszego życia intelektualnego, wybitnego etnologa, rektora P.U.N.O. prof. dr Cezarię Baudouin de Courtenay-Jędrzejowiczową (1886-1967). Po Mszy żałobnej, odprawionej w kościółku im. św. Antoniego w Birbeck, nad grobem przemawiali ks. Kołodziejczyk, b. wicem. B. Podoski w imieniu społeczności akademickiej U.S.B., dziekan P.U.N.O. prof. T. Sulimirski i mgr. I. Karpińska w imieniu studentów zmarłej.

Świat teatralny stracił oddanego swej sztuce artystę-dramatycznego Józefa Rymusę-Szymańskiego (1900-1967), odtwórcę wielu ról aktorskich w teatrze dla dorosłych i w teatrze „Syrena“ dla Młodzieży.

**ODCZYTY:** Z wyjątkowo bujnego ruchu odczytowego na czoło wysunęły się trzy wieczory: Instytut Badania Zagadnień Krajowych wspólnie z Związkiem Pisarzy urządził pod przewodnictwem gen. Z. Bohusza-Szyszko zebranie w sali Domu P.O.S.K., na które złożyło się zagajenie przez dr. W. Czerwińskiego o poezji Cypriana Norwida i prelekcja prof. W. Guenthera o 2-ch pierwszych tomach „Wierszy“ tragicznego poety w zapoczątkowanym monumentalnym wydaniu „Dzieł Zbiorowych“, zakrojonych na 12 tomów, w opracowaniu J.W. Gomulickiego.

W tej samej sali ozdobionej wystawą obrazów D. Giercuskiewiczówny odbył się odczyt na temat związany z ożywionym wciąż ruchem plastycznym. Doktorant historii sztuki z Paryża, p. Andrzej Nakow przedstawił kontrowersyjną postać malarza i kompozytora litewskiego M.K. Ciurlionisa (1875-1911), w świetle współczesnej historiografii artystycznej“ podnosząc jego związki z Polską i ilustrując swe wywody przeżroczami jego prac. Wieczór zorganizowało Polskie Tow. Naukowe wspólnie z Biblioteką Polską. Przewodniczył prof. B. Hełczyński.

W Instytucie Polskim w ramach „Spotkań Posoborowych“ P.K.S.U. „Veritas“ odbył się odczyt o. J. Mirewicza, T.J., na temat „Kryzysu teologów w okresie posoborowym“. Prelegent przed-

stawił intelektualny charakter tych dyskusji i pożytek wynikający z nich dla całego Kościoła. Poprzednio o. Mirewicz mówił „O roli i przywilejach świeckich w Kościele“, a ks. dr W. Okoński na wieczorze zorganizowanym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w sali P.O.S.K. mówił o „Konfliktach wewnętrznych młodzieży w wieku dojrzewania na tle współczesnego życia“. Podobny temat był przedmiotem rozważań „Spotkania posoborowego“ poświęconego sprawie „Wychowania młodego pokolenia“ z udziałem o. Janickiego z Fawley Court, p. Czaplńskiego i p. Wołkowińskiej pod przewodnictwem p. A. Pośpieszalskiego. Na poprzedniej „Kolacji Kontynentów“ p. Pośpieszalski razem z o. Mirewiczem omawiali „Sytuację kościoła w Polsce“.

Odkładając omówienie odczytów historycznych do następnej kroniki zatrzymać się wypada na zebraniu urządzonym w Instytucie Polskim przez Związek Dziennikarzy RP. Po stwierdzeniu przez przewodniczącego red. Z. Stermińskiego potrzeby formułowania samodzielnej opinii polskiej o zagadnieniach międzynarodowych, prof. Z. Stahl omówił kapitalne dziś zagadnienie „Fermentu w Chinach i polityki światowej“, przedstawiając dwie zasadnicze polskie szkoły myślenia: Chiny jako sojusznik i jako „żółte niebezpieczeństwo“. Waga tego tematu i jego ujęcie były podkreślone przez udział w wieczorze niezwykle poważnego zespołu słuchaczy. Na podobny temat odbył się odczyt w Instytucie Wschodnim „Reduta“, gdzie gen. K. Glabisz mówił o „Aspektach geostrategicznych i wojskowych konfliktu chińsko-sowieckiego“.

Obraz ruchu odczytowego nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o intensywnej akcji prowadzonej przez polskie koła techniczne. Inż. S. Kowalski omówił „Zasady działania Komputerów“ ilustrując swe wywody sprzętem, ustawionym w sali Domu P.O.S.K. Temat ten podjął potem inż. F. Półtorak, M.Sc. przedstawiając „Praktyczne zastosowanie komputerów“ na wieczorze w tej samej sali urządzonym przez Stowarzyszenie Elektryków Polskich, które zorganizowało też odczyt p. J. Benjamina z Farnborough o „Systemach lądowania na przyrządach“.

Zjednoczenie Polek urządziło w swej siedzibie zebranie, na którym p. I. Bielatowiczowa omówiła twórczość jednej z najoryginalniejszych pisarek polskich — Zofii Romanowiczowej.

**DYSKUSJE:** Równoległe do ruchu odczytowego starszego społeczeństwa toczy się ruch dyskusyjny młodego i średniego pokolenia. Tzw. „Klub Pod Parasolem“ w swej urzędzonej przez P. O. S. K. siedzibie zorganizował już

cały cykl wieczorów, poświęconych dyskusjom na różne tematy. Po bardzo pozytywnym rozważeniu zagadnień związanych z niebezpieczeństwem wynarodowienia, dyskutowano na temat „Co możemy zrobić w kościele“, aby w tydzień później przejść do filozoficznego i paradoksalnie postanowionego problemu „Człowiek jest największym niebezpieczeństwem dla siebie samego“.

Nie mniej najdrastyczniejszy temat, a przy tym bolesny dla każdego realnego dziennikarza, przypadł ostatniej „Kolacji Kontynentów“, na której rozważano „Czy prasa emigracyjna spełnia swoje zadanie?“ Dyskusję zagaili redaktorzy: J. Sakowski (Polska Fundacja Kulturalna, W. Wahnout (Dziennik), W. Zagórski (Tydzień Polski), P. Zaremba (Orzeł Biały) i M. Chmielowiec (Wiadomości). Przewodniczył Z. Grabowski. Redaktorzy o ile nie wykreślali się dykteryjkami uważali, że „prasa jest tak dobra, jak tylko może być“ lub że „nie ma nikogo, kto by twierdził, że nie ma gdzie pisać“, co już wzbudziło ogólną wesołość. Innego zdania byli wolni dyskutanci, którzy wskazywali na monopolistyczny charakter prasy, niekontrolowanej przez czynnik społeczny, uprawiającej swego rodzaju cenzurę przez niedopuszczanie do głosu krytyki lub odmiennych poglądów; w ogóle zarzucano jej prowincjonalizm, spóźnione wiadomości i brak poważnego informowania o Kraju, a nawet niedostatecznie mocny kręgosłup. W tym świetle trudno nie uważać za łyż krokodyla utyskiwań, że młode pokolenie nie kwapi się do pracy dziennikarskiej.

**POLSKI OBYCZAJ:** Wyjątkowym zupełnie powodzeniem cieszył się tegoroczny „Wieczór Tańca, Pieśni i Zwyczajów Polskich“ urządzony w sali Instytutu Narodów przez Polską YMCA. Złożył się nań występ zespołu „Mazury“ pod kierownictwem I. Różyckiej. Zespół zyskał sobie powszechny poklask, osiągając szczyt w „Zbójnikach“ i „Maćku“. Do utrzymania wartkiego tempa i ciągłości przyczyniła się orkiestra złożona z dawnych członków kapeli „Polskiej Parady“, z świetnym skrzypkiem S. Rosengartem jako kapelmistrzem. Zespół „Mazury“ ma wiele talentów tanecznych i świetną pieśniarkę (z „Mazowsza“) — Kalinę Włodarczyk. J.O.N.

Złóż ofiarę  
na  
Bibliotekę Polską

# Oprócz Chin są w Azji także Indie

NA obszarach Azji żyją dwa najliczniejsze narody świata, zwane jego ludnościowymi gigantami, Chiny i Indie. Zainteresowanie opinii kieruje się głównie ku pierwszym, ponieważ „żółte niebezpieczeństwo“ zdobyło od dawna w politycznej frazeologii uznaną pozycję, a ostatnio nabrało nowej aktualności. W Chinach zapanował komunizm, który bywa często malowany czarniejszymi barwami od sowieckiego, a „żółte niebezpieczeństwo“ przeciwstawiane jest sowieckiemu, jako rzekomo groźniejsze i wymagające skupienia głównej uwagi cywilizowanych narodów.

Chiny odwracają więc zainteresowanie większości opinii światowej od Indii, chociaż wszelkie argumenty groźnej ich liczebności pasują niemal w równym stopniu do tych drugich. Indie jednak uważane są za kraj pokojowy, nieskłonny do agresji i na skutek przyjęcia ustroju demokracji parlamentarnej, dodatkowo gwarantujący dobre obyczaje międzynarodowe. Niezwykle krwawe walki, związane z procesem rozwodowym między Hindusami a Pakistańczykami po odzyskaniu niepodległości, opanowanie siłą Kaszmiru przez Indie i lekceważenie zobowiązań do przeprowadzenia tam plebiscytu, to wszystko są fakty ustalone i znane, ale dobrej, demokratycznej opinii państwa Gandhiego, Nehru czy z kolei Szastriego i Indiry Gandhi jakoś nie podważają. Pół miliarda Hindusów nie niepokoi opinii światowej nawet w przybliżeniu do tego hałasu, jaki robi się nieustannie dokoła 600 do 700 milionów Chińczyków.

## DEMOKRACJA W INDIACH ZAGROŻONA?

Parlamentarna demokracja Indii, która w oczach mocarstw zachodnich, w szczególności Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii, a dalej kół międzynarodowych skupionych dokoła ONZ, jest najlepszą rekomendacją ustroju państwowego, stanęła jednak po ostatnich wyborach lutowych wobec przyszłości niepewnej. Kongresowa partia, dziedzictwo Gandhiego i Nehru, która dotychczas dominowała bezapelacyjnie nad życiem politycznym Indii, poniosła bowiem groźną i źle wróżącą na przyszłość klęskę. Utrzymała ona jeszcze większość w parlamencie centralnym i izbach większości stanów, ale większość ta spadła tak znacznie i gwałtownie, że przewidywania dalszego rozwoju politycznego nie mogą być różowe. Bez partii, która by posiadała większość w parlamencie indyjskim utrzymanie demokratycznego ustroju w tym ogromnym kraju jest trudne do pomyślenia, a żadne ze stronnictw opozycji do roli

tak odpowiedzialnej pretendować, jak dziś się wydaje, nie może. Są to grupy dość liczne, a skłócone i stosunkowo drobne, do objęcia ewentualnego dziedzictwa po partii kongresowej niezdolne.

Z okazji omawianych tu indyjskich wyborów lutowych warto zdać sobie konkretniej sprawę z tego, jak one wyglądają na tym azjatyckim subkontynencie. Indie są najliczniejszym państwem parlamentarnym świata i liczą 130 milionów wyborców, z których trzy czwarte to analfabeci, którzy mogą tylko stawiać krzyżyki na kartach do głosowania, gdzie poszczególne partie są oznaczane symbolicznymi rysunkami. Partia kongresowa ma np. jako swój znak parę zaprzęzonych wołów, a stronnictwo Swatantra — gwiazdę. Ogromna ta masa wybiera równocześnie 521 posłów do wspomnianego wyżej parlamentu centralnego, do jego izby niższej, zwanej Lok Sabha, oraz reprezentantów do 17 izb stanowych. Podczas ostatnich wyborów w lutym br. zgłoszono łącznie 18 tysięcy kandydatów, a kampania wyborcza, mimo znanego ubóstwa kraju, kosztowała — według obliczeń prasy — sto milionów dolarów. Ciekawostką, wartą zanotowania, były kandydatury około 200 maharadzów i innych przedstawicieli rodów książęcych, którzy w szerszych masach ludności nie stracili jakoby popularności, mimo, że nie sprawują już władzy i żyją tylko w swoich dawnych pałacach na pensji państwowej. Mają być jednak dla wielu maluczkich symbolami dawnych „dobrych“ czasów.

## MAGIA WIELKIEGO NAZWISKA I KLĘSKA WYBORCZA

Rozmiary klęski wyborczej partii kongresowej mogłyby w pełni uzasadnić dymisję Indiry Gandhi, premiera rządu centralnego, bezpośredniej następczyni Szastri'ego, który zmarł podczas pertraktacji z Kosyginem w Taszkencie z górą rok temu. Większość kongresowców w centralnej izbie federalnej, liczącej — jak wyżej wspomniano — 521 mandatów spadła z 361 na 279, czyli można powiedzieć na łeb na szyję. Ponadto, na ogólną liczbę 17 stanów, w czterech doszły do władzy stronnictwa opozycyjne, a w czterech dalszych utraciła partia kongresowa dominującą przewagę i zmuszona zo-

stała do tworzenia koalicji. W stanie Kerala zwyciężyli komuniści pro-pekińscy, zdobywając w izbie 76 miejsc na ogólną liczbę 133, w stanie Madras — regionalni patrioci stronnictwa Tamil (potomkowie Ariów), w zach. Bengalu — przy ekskongresowym szefie stanowego rządu pro-pekińscy komuniści, a w stanie Orissa nad zatoką Bengalską — umiarkowani partii Swatantra.

Mimo tej klęski, zebrana po wyborach partia kongresowa obrała panią Indirę Gandhi premierem ponownie i na stanowisko to zaproponował ją także minister Desai, który był przedtem jej głównym rywalem. Do utrzymania się przy władzy pani Gandhi przyczyniło się kilka okoliczności. Przede wszystkim, inaczej niż kilku krytycznych wobec niej przywódców partyjnych, którzy przy wyborach przepadli, wygrała ona w swoim okręgu znaczną większością. Jako córka Nehru i nosząca nazwisko wielkiego Mahatmy dysponuje p. Indire magią pamięci tych dwu największych w Indiach postaci, niezależnie od swoich kwalifikacji osobistych, co jej pomogło do zwycięstwa bez wątpienia. A te kwalifikacje właśnie, krytykowane i niedostateczne, ułatwiły jej pozostanie na stanowisku szefa rządu — z drugiej strony. Właściwa pani Gandhi słabość i niezdolność do utrzymania wystarczającego autorytetu rządu centralnego, wobec stanowych tendencji autonomicznych, pozyskały jej mianowicie sympatię tych, dość wpływowych w partii kongresowej kół, które sobie silnego rządu w Delhi nie życzą. Taka tendencja wewnątrz samej partii rządzącej jest co prawda dowodem, że górują w niej prądy odśrodkowe i tym bardziej źle wróżą jej dalszemu rozwojowi.

## GRUPY OPOZYCYJNE

Opozycja indyjska, którą ma dziś przeciw sobie kongresowa partia, liczy wprawdzie 242 głosy, ale jest w dalszym ciągu nieskonsolidowana i składa się z kierunków, zwalczających się nawzajem oraz ideowo przeciwstawianych. Podczas ostatnich wyborów opozycyjne grupy potrafiły wprawdzie doprowadzić do częściowego współdziałania przeciw kandydatom rządowym, lecz harmonia ta miała charakter czyśto negatywny. Opozycja indyjska, ta na prawicy: konserwatyści Hindu Jana

Sangh — 34 mandaty, umiarkowani (przeciwnicy etatyzmu) Swantatra — 43, Tamil — 25, a na lewicy: socjaliści (Samjukt) — 23, socjaliści (Praja) — 9, komuniści (Moskwa) — 20, komuniści (Pekin) — 19. Reszta, to 34 niezależnych i kilkunastu różnych, czyli elementu politycznie nieskrystalizowanego.

Już sama pobieżna analiza składu opozycji wobec rządów partii kongresowej w Indiach wskazuje, że opozycja ta jest tymczasem od wewnątrz podwójnie hamowana lub nawet paraliżowana. Z jednej strony bowiem, umiarkowane stronnictwa przeciwstawione są lewicowym, ale ponadto na obu skrzydłach zachodzą wzajemne przeciwieństwa dodatkowe. Trzy partie umiarkowane nie stanowią, jak dotąd, bloku i różnią się między sobą dość znacznie, reprezentując szeroki wachlarz od konserwatyzmu, poprzez liberalizm do regionalizmu Tamilu. Jeszcze ostrzejsze chyba są przeciwieństwa na lewicy, w ramach której działają nie tylko dwa socjalizmy, ale co ważniejsze — dwie partie komunistyczne: prosowiecka i propekińska.

Rywalizacja tych odłamów rewolucyjnych będzie, póki trwają rozbieżności między Moskwą a Pekinem, najważniejszym gwarantem czasowego bezpieczeństwa ustroju demokratycznego w Indiach. Było by jednak lekkomyślnością zbytnio na tym ryzykownym „gwarancie“ polegać. Komuniści mogą się zawsze pogodzić, a zanim do tego by doszło jest możliwy podział ról między nimi i przygotowywanie komunikacji Indii z dwu stron. Materiału pod rewolucję jest w przeludnionych i rozdzielanych przez regionalizmy stanowe, Indiach wystarczająco. Komuniści żadnego, moskiewskiego czy pekińskiego obrządku z pewnością nie zapomnieli o wskazaniu Lenina, że droga do rewolucji światowej prowadzi z Moskwy, przez Pekin i ...Kalkutę. Niestety, skłonna jest do zapominania o tym niezmiennym celu komunizmu opinia zachodnia. Woli ona raczej usypiać potrzebną czujność przez wyolbrzymiane zawsze rozbieżności wewnątrz kierownictwa czerwonej rewolucji światowej, zwłaszcza na osi Moskwa-Pekin.

#### WEWNĄTRZ CHIN I Z MOSKWĄ — ODPREŻENIE

Nowym przykładem wyolbrzymiania tych rozbieżności były pierwsze tygodnie roku 1967. W czasie tym z jednej strony „rewolucji czerwonej gwardii“ w Chinach, a z drugiej — napięciu między Sowietami a Chińską Republiką

Ludową, prasa zachodnia nadawała znowu charakter zbyt dramatyczny i daleko idący. Gdyby obraz ten odpowiadał rzeczywistości, „kulturalna rewolucja czerwonych gwardii“ nie mogłaby ulec tak gwałtownemu w lutym zahamowaniu, a stosunki Pekinu z Moskwą musiałyby być zerwane, lub nawet przejść w dawno zapowiadaną wojnę.

Naprawdę, wypadki ostatniego okresu w ChRL oraz na osi Moskwa-Pekin, którym poświęcony był przegląd polityki międzynarodowej „Orla Białego“ ze stycznia br. przybrały niespodziewany dla komentatorów zachodnich i nagły obrót w połowie lutego. Nastąpiło to po protestacyjnej nocy sowieckiej z 9-go tego miesiąca, która musiała zawierać jakieś na tyle groźne i realne pogrożki pod adresem partii chińskiej, że skłoniły ją do zmiany kursu. Pierwszą reakcją była masowa, licząca jakoby sto tysięcy uczestników, manifestacja na ulicach Pekinu... przeciw „rewizjonistom“ sowieckim, która jednak zarazem zakończyła i blokadę pekińskiej ambasady sowieckiej, która trwała blisko dwa tygodnie i w ogóle antysowieckie demonstracje „czerwonej gwardii“. Manifestacja miała jakby ostatecznie rozładować rozpalone nastroje i otworzyć nowy okres „rewolucji kulturalnej“.

W tym nowym okresie rozpoczętym w połowie lutego mamy zasadnicze zmiany i czołowych osobistości i metod działania. Wycofał się jakby z powrotem w cień sam Mao-Tse-tung, chociaż wszystko dalej robi się w jego imieniu i pod jego hasłami oraz po wtóre na pierwsze miejsce wysunął się premier Czu-En-lai, który podczas całej „kulturalnej rewolucji“, rozpoczętej w lecie ub. roku (1966) znany był ze stanowiska kompromisowego i umiarkowanego. Przeszło się też ostatnio słyszeć o marszałku Lin-Piao, prawej ręce Mao-Tse-tunga podczas gorących miesięcy awantur „czerwonych gwardii“, którego nazywano też wtedy następcą Mao i „numerem drugim“ komunistycznej hierarchii partyjnej. Kierownictwo polityki przeszło wyraźnie w ręce Czu-En-lai'a.

Skończyły się nie tylko manifestacje przeciwsowieckie, ale „czerwone gwardie“ zaczęły być w szybkim tempie usuwane w pierw ze stołecznego Pekinu, a następnie w ogóle z ulic wielkich miast. Zakazano publicznych pochodów, gazetek afiszowych i wszelkich napisów propagandowych, którymi „rewolucja kulturalna“ dotychczas się odznaczała. Oświadczone też stanowczo ze strony rządu, że „gwardyjska“ młodzież nie może się posuwać do skrajnego potępiania zasłużonych funkcjonariuszy państwowych i partyjnych, że nie wolno jej daleko hamować pracy

produkcyjnej we fabrykach, a zwłaszcza na wsi, gdzie rozpoczynają się właśnie ważne wiosenne roboty. Po tych zakazach zaczęło się wreszcie odsyłanie oddziałów rozagitowanej młodzieży do szkół, które otworzyły jej na nowo swoje wrota, zamknięte w ciągu szeregu miesięcy.

Stosunki Pekinu z Moskwą nie stały się dobre, ale nie nastąpiło też, tylokrotne przez prasę zachodnią przepowiadane, zerwanie. Można mówić jedynie o stanowczym pogorszeniu się atmosfery między obecnym Kremlem a osobą Mao-Tse-tunga, którego Kosygin i inni przywódcy sowieccy zaatakowali kilkakrotnie bardzo ostro, zwalając na niego winę za zepsucie stosunków między obu partiami. Wygląda na to, że Moskwa liczy się ze zmierzchem czy śmiercią Mao i gra na okres, który przyjdzie następnie. Jak rozwinie się dalszy rozwój sytuacji wewnątrz ChRL, trudno przewidzieć. Zdaniem niektórych, Mao-Tse-tung zgodził się na uspokojenie czasowo i niedługo można się spodziewać wznowienia ruchawki. Czy jednak starczy mu jeszcze zdrowia i wpływów we własnej partii?

Zdzisław Stahl

## NOWOŚCI!

Tom 141

BIBLIOTEKI KULTURY

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Cena: £1.0.0, \$3.00

Tom 142

BIBLIOTEKI KULTURY

ALICJA

ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE

PEWNEGO ŻYCIA

Cena: £1.4.6., \$3.50

# OBCHODY MILLENIJNE

(Korespondencja ze Szwajcarii)

Zakończenie obchodów millenijnych w Szwajcarii odbyło się w Locarno. Nie-wielka grupka Polaków zamieszkująca kanton Tessin (Ticino) zadała sobie wiele pracy i urządziła to wielkie święto z prawdziwym pietyzmem.

Komitet pod przewodnictwem tamtejszego proboszcza ks. B. Majchrzaka stanął na wysokości zadania, doprowadzając tę wyjątkową imprezę do efektownej realizacji.

Dnia 6 stycznia na wzgórzu Orselina nad Locarnem, gdzie znajduje się w klasztornej kościele cudowny obraz Matki Boskiej — Madonna del Sasso, zebrały się liczne delegacje ze sztandarami, Polacy i Szwajcarzy miejscowi oraz spora gromadka przyjezdnych. Przy przydrożnej polskiej kapliczce, wykonanej 25 lat temu przez żołnierza 2 DSP (internowanej w Szwajcarii po załamaniu się Francji w roku 1940), architekta Z. Pręgowskiego, ks. biskup z Lugano J.E. Angelo Jelmini w asyście o. prof. I.M. Bocheńskiego, ks. B. Majchrzaka i ks. E.J. Frani oraz licznie zebranej publiczności, poświęcił świece, które trzymały dzieci polskie w strojach narodowych. Kilka przemówień w języku włoskim, w tym delegata rządu kantonowego radcy dra A. Lafranchi zakończyło uroczystość przy polskiej kaplicy. Następnie cała procesja udała się do pobliskiego kościoła, gdzie przed cudownym obrazem Madonny odprawiona została uroczysta Msza św. Kazanie wygłosił ks. biskup A. Jelmini, w którym podkreślił wierność Polski wierze chrześcijańskiej i miłość narodu do swej Królowej Korony Polskiej.

Po nabożeństwie całe gremium podążyło do sali „Sopeacenerina“ w Locarno na akademię millenijną. W przestronnej sali artystycznie udekorowanej przez T. Tomysłaka, zebrało się ponad 200 osób — Polaków i Szwajcarów. Przywitał gości ks. prof. I.M. Bocheński, następnie ks. Leber, redaktor gazety „Populo Liberta“ w dłuższym referacie skreślił dzieje Polski z zadziwiająco znajomością historii. Nastąpiły produkcje wokalne solistów p. Pia Balli — sopran i tenorów: Emilio Monza i Zdzisława Pręgowskiego. Miejscowy chór „Gruppo Canzonette e Costumi Ticinesi“ pod kierownictwem p. E. Beltraminelle wykonał kilka precyzyjnie opracowanych melodii. Na zakończenie wszyscy zebrani odśpiewali pieśń „Noi vogliamo Dio“ (My chcemy Boga).

W restauracji Centrum COOP przygotowali Komitet obfitą wieczerzę, dokąd po akademii wszyscy ochocho pospieszyli, witani przez gościnne członkinie Komitetu. Sala zapełniła się szybko, nastroj zapanował swojski i serdeczny. W czasie kolacji ks. Majchrzak odczytał liczne depeşe i listy, w tym

też list od ks. bpa W. Rubina. Nastąpiły produkcje dzieci: Elżbiety Tysarczyk i jej koleżanki Tessinki. Pod koniec zorganizowany ad hoc „chór“ przez referenta oświatowego Oddziału SPK p. K.F.A. odśpiewał szereg pieśni polskich.

Na tym udaną uroczystość zakończono.

Pod koniec wymieniamy członków komitetu, tego ze wszech miar doskonale zorganizowanego obchodu, są to: Ks. B. Majchrzak (przewodniczący), pp. Stefan i Wanda Poprawa, Tadeusz Tomysłak, Anita Szyszlak, dr W. Spora, Ida Zapalowa i A. Olewnicki.

Uroczystość została nagrana przez telewizję Monte Ceneri.

Należy z uznaniem podkreślić, że Komitet obchodu pamiętał, by na uroczystości był obecny KIERMASZ KSIĄŻKI POLSKIEJ SPK. Wystawę książki polskiej i poloników w językach: włoskim, niemieckim, angielskim i francuskim urządzono w sali, gdzie odbyła się akademicka, a następnie przeniesiono do restauracji. Wzbudziła ona duże zainteresowanie, kupowano rozmaite książki, tłumaczenia włoskie wyprzedano wszystkie. Kierownik Instytutu KKP pragnie na tym miejscu serdecznie podziękować Komitetowi, głównie p. Stefanowi i Wandzie Poprawa za staropolską gościnność, a p. Tadeuszowi Tomysłakowi za wydatną pomoc, dzięki której wystawa ze wszystkimi szczegółami wypadła bardzo dobrze, przynosząc chlubę dzielnym „teszańskim“ Rodakom.

Reasumując, uroczystości w ciągu roku millenijnego na terenie całej Szwajcarii, dochodzi się do wniosku, że wypadły one nad wyraz dodatnio, powiedzielibyśmy, okazałe. Komitet Centralny pod przewodnictwem Ojca profesora I.M. Bocheńskiego, jak wszystkie lokalne komitety dołożyły starań i wydzwignęły ten historyczny akt na wysoki, tu osiągalny poziom. W obchodach Millennium wzięli udział najwyżsi dsotojnicy Kościoła.

We wszystkich obchodach brali też udział wysocy urzędnicy, przedstawiciele lokalnych władz szwajcarskich oraz liczne grono publiczności. Prasa tutejsza, różnych odcieni, wydrukowała ponad 100 artykułów o wybitnie życiwej treści, dołączając efektowne zdjęcia fotograficzne. Radio Beromünster w programie wieczornym nadało transmisję z Częstochowy, poprzednio, dnia 28.IV. powtórzono audycję w języku niemieckim p. B. von Arx „Jeszcze Polska nie zginęła“. Telewizja szwajcarska nadała dnia 3.X. słuchowisko pt.

„Tysiąc lat Polski między wschodem i zachodem“, zrobioną przez prof. dra B. von Arx przy wydatnej pomocy i współudziale dra J. Rakowskiego. Audycja ta odbiła się szerokim echem w całym kraju. Na uroczystości „Millennium Poloniae“ w Zürichu w auli uniwersyteckiej prof. dr W. Hofer z Berna wygłosił doskonale opracowany referat historyczny. Aula była kompletnie wypełniona, ponad 600 osób, akademię zaszczycił swą obecnością kardynał J. Beran. Suma obchodów millenijnych łącznie z audycjami radia i telewizji na terenie Szwajcarii wyraża się cyfrą 14 w następujących polskich skupiskach: St. Gallen, Rapperswil (dwa razy), Zürich (dwa razy), Marly-le-Petit, Solura, Einsiedeln (pielgrzymka do cudownego obrazu M.B.), Bernie i Locarno.

Z prawdziwą przyjemnością czytamy w prasie emigracyjnej o licznych obchodach millenijnych dokonanych przez polską emigrację polityczną w rozmaitych krajach osiedlenia, o tworzeniu często w trudnych warunkach tzw. pomników Millennium. Obserwując bacznie piękną Szwajcarię, zamieszkałą przez niewielką liczbę Polaków, to w osiągnięciach przy urządzaniu obchodów tysiąclecia chrztu Polski, a głównie „pomnika Millennium“ nie powinniśmy być posądzeni o szowinizm, czy patriotyzm podwórkowy, gdy powiemy, że mały ten kraj zajmuje jedno z czołowych miejsc. Na dowód tego twierdzenia postaramy się pokrótce zobrazować czynności — osiągnięcia tut. Komitetu Obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski.

Szwajcaria po ostatniej wojnie „odziedziczyła“ około 1.000 polskich emigrantów, w tym małą liczbę kobiet. Są to resztki 2. Dywizji Strzelców Piechoty internowanych w Szwajcarii w czasie wojny (znakomita większość wyemigrowała do krajów zamorskich, a część wróciła do Polski) i drobna część 1. Dyw. Grenadierów, także jednostki, które w rozmaity sposób dostały się do tego ocalałego od wojny kraju. Ludzie ci o różnych poglądach i odcieniach politycznych, poza bardzo małymi wyjątkami są nastawieni niepodległościowo — antykomunistycznie. Wysiłki „mocarowe“, przy różnych okazjach (pokazy filmowe, „Ichnie“ rocznice itd.) nie mają powodzenia. Z tych „tysiąca walecznych“ dobrze tu zasiedziały i względnie zamożnych należy odstawić na bok jedną trzecią. Grupa ta nie wykazuje żyłki społecznej, trochę przeciążona pracą — dorobek, trochę tużony nie bardzo chętnym okiem spo-



glądają, gdy małżonek się „narodowo bałamuci“, wreszcie wpływ obcego środowiska — wynarodowienie, robią swoje. Jednak przy sprzyjających okolicznościach można takiego rodaka — bodaj na chwilę, sprowadzić „na ojczyznę łono“... Z tej grupy trzeba jednak kompletnie odrzucić drobną część, których nie, prócz własnego pępka nie interesuje... Pozostała połowa — może „większa“, zbiera się, bierze udział w polskim życiu społecznym, przychodzi na uroczystości narodowe, wspiera cele i zadania emigracji, ba, kupuje książki polskie i polonica dla rodzin.

Ta więc grupa wzięła się za rękę, mimo sprzeczek, różnicy zdań itd. i postanowiła godnie uczcić Millennium. Powstał Komitet Centralny pod przewodnictwem o. prof. I. M. Bocheńskiego (objął prezesurę po śmierci prof. A. Bronarskiego). Potworzyły się komitety lokalne do współpracy z centralnym.

Wspomnieliśmy wyżej, ile i jakie obchody millennium komitety lokalne przy współudziale Komitetu Centralnego urządziły, teraz przechodzimy do „Pomnika Millennium“. Śmiała i zdawałoby się romantyczna myśl Ojca Profesora (od początku rektora tut. Misji Katolickiej) budowy domu dla studentów i kaplicy wraz z salą w Marly-le Petit, gdzie już jest mały budynek plebanii, znalazła zrozumienie. Ogromny jak na tutejsze możliwości kosztorys budowy fr. szw. około 400.000, trochę przerażał, ale nie odstraszył. Zapał i energia inicjatora udzielała się, pesymiści zamilkli... Z uzyskanych środków drogą zbiórki i zapisów testamentarnych zakupiono plac i rozpoczęto budowę. Nadmienić tu należy duży zapis śp. Franciszki Mazik, w kwocie fr. szw. 45.000. Dalsze wpłaty na ten cel wpływają od żyjących, ludzie dają, ile kto może, niektórzy bardzo hojnie... Ponad wiekowa tradycja przyjaźni polsko-szwajcarskiej i tu znajduje swój wyraz, nasi gospodarze przyczyniają się do budowy pomnika Millennium. Obecnie jest już kwota 100.000 fr. szw. przeznaczona na budowę. Na własnej zapłaconej parceli stoi już Dom pod dachem, tak że poświęcenie domu, a więc zakończenie budowy, przewidziane jest na 3-go maja. Na tę uroczystość obiecał przyjechać ks. biskup Wł. Rubin.

Należy jeszcze z naciskiem podkreślić, że Ojciec Profesor nie ograniczył się jedynie do projektu i „wodzostwa“, ale podjął najważniejsze prace związane z budową. Gorliwie sekunduje mu nasz kochany ksiądz J. M. Frania, pełniąc niewdzięczną funkcję skarbnika Komitetu. Uczynny ten i dobry duszpasterz odwiedza swe owieczki rozsiane na 41.000 km.<sup>2</sup>, dojeżdżając do wszystkich zakątków. Dużą pomoc Komitetowi dał swoją pracą dr Janusz Rakow-

Dnia 11 lutego 1967 r. zmarł w Edynburgu pułkownik dypl. Witold Wartha.

Któż nie pamięta jego sylwetki, w podhalańskiej pelerynie i kapeluszu z orlimi piórami, przy boku Marszałka Józefa Piłsudskiego podczas słynnego przeglądu i defilady zmasowanej kawalerii na Błoniach Krakowskich w 1933 roku.

Miał on za sobą wspaniałą przeszłość wojskową. W latach 1915-17 był oficerem armii austriackiej, ale duszą był z tworzącymi się pułkami legionowymi, okazując Komendzie Legionów dużą pomoc przy przetrucaniu bibuły i kurierów na teren wszystkich zaborów. W roku 1917 pułk jego przetrzucony zostaje na front włoski i tam dostaje się niewoli. W pierwszych dniach 1919 roku wstępuje do armii generała Hallera i z nią wraca do Polski. Jako urodzony cieszyńskiak zostaje użyty podczas plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, gdzie oddaje olbrzymie usługi.

W roku 1920 obejmuje dowództwo 145 pułku piechoty, z którym bierze udział w krwawych walkach pod Warszawą, za co otrzymuje order *Virtuti Militari*. Po rozgromieniu bolszewików obejmuje dowództwo 49 pułku piechoty i bierze udział w dalszych walkach, za które zostaje odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

W maju 1921 roku zostaje powołany do Ministerstwa Spraw Wojskowych jako kierownik referatu wyszkolenia, a następnie szef departamentu piechoty. Tak jak w czasie wojny wykazał duże zalety oficera bojowego, tak w czasie pokoju zalety organizacyjne. On to bowiem był autorem pierwszej instrukcji walki piechoty, która wprowadzona została w całość armii. Ówczesny minister Spraw Wojskowych, generał Szeptycki, w specjalnym rozkazie wyraził uznanie autorowi tej instrukcji. W roku 1924 przechodzi do Biura Ścisłej Rady Wojennej, a w trzy lata później obejmuje dowództwo 1. pułku strzelców

ski dokonując „cudów waleczności“ w zdobywaniu poważnych funduszy. Architekci T. Knapkiewicz (wykonał bezinteresownie plany) i Zdzisław Pręgowski prowadzą budowę. Trzeba więc obiektywnie powiedzieć, że „szwajcarscy“ Polacy godnie uczcili Tysiąclecie Polski Chrześcijańskiej, a biorąc pod uwagę ich liczbę w tym kraju w stosunku do zamierzonego i wykonanego kosztownego celu, każdy kogo stać na bezstronny sąd, wobec tej garstki zapaleńców — uchyli kapelusza...

Kazimierz F. Vincenz

podhalańskich na okres 3 lat i zostaje powołany na pierwszego oficera sztabu inspektora armii, generała Berbeckiego. Marszałek Piłsudski szybko się poznał na walorach wojskowych płk. Warthy i po grze wojennej w Wilnie, prowadzonej przez Marszałka, obejmuje stanowisko szefa Biura Inspekcji Generalnego Inspektoratu Polskich Sił Zbrojnych, a następnie obejmuje szefostwo departamentu Dowodzenia Ogólnego Ministerstwa Spraw Wojskowych.

W kampanii wrześniowej bierze udział jako zastępca dowódcy grupy „Stryj“. Internowany na Węgrzech obejmuje kierownictwo referatu specjalnego oddziałów polskich internowanych na Węgrzech. Przez Francję przybył do W. Brytanii i w Szkocji zostaje dowódcą 1. Baonu Oficerskiego Centrum Wyszkolenia Piechoty, a w roku 1944 zostaje drugim zastępcą dowódcy J.W.W.B.

Pułkownik Wartha był urodzonym wojskowym, szmat swego życia spędził w mundurze. Mimo absorbującego zawodu interesował się sztuką i w kręgu swych przyjaciół słuszenie uchodził za dobrego jej znawcę. Sporo dzieł sztuki twórców polskich i obcych było jego własnością. Nie obce mu było również bibliofilstwo. Wiele cennych okazów, a nierazko i białych kruków, pozostawił w swym zbiorze.

Śmierć Jego okryła głębokim smutkiem i żalem tych, którzy Go znali, którzy się z Nim stykali, i którzy mieli możność bliższego poznania jego rzadko spotykanych zalet, z daleka ponurzoną żałogą skromności na czele.

Niech Mu ziemia szkocka, w której spoczął, lekka będzie.

Stanisław Błaszczak

## MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

**Józefa Garlińskiego**

poświęconej bardzo mało znanym  
fragmentom działalności Armii  
Krajowej.

*Książka, uzupełniona fotografiami  
i szkicami jest do nabycia we  
wszystkich księgarniach polskich  
w cenie 18/6*

GRYF PUBLICATIONS LTD.  
171, Battersea Church Road,  
London, S.W. 11.

# TYBET W STRATEGII

Tybet w chwili obecnej, w dziewiątą rocznicę ostatecznego chińskiego najeźdu, jest tak „jak ongiś, nie tak zresztą dawno temu, kiedy to Madame Bławatska i jej współ-teozofowie poszukiwali na „Dachu Świata“ „Wielkich Wtajemniczonych“, nie określając zresztą, w co mieli oni być wtajemniczeni, jedną z najtrudniej dostępnych i najmniej znanej części kuli ziemskiej.

W świecie zachodnim wiadomości o Tybecie dadzą się streścić do kilku paragrafów. I tak, wiadomo iż w r. 1950 Chińczycy najechali ten kraj po raz pierwszy. Pekin stwierdził wówczas, że wraca jedynie po swoje, iż nie zamierza w czymkolwiek naruszać istniejącego systemu społecznego i politycznego. Chińscy komuniści „jednakże, jako prawowici następcy zdetronizowanej w r. 1911 dynastii mandżurskiej czyli „Chin“ „Czystej“ — uważali, iż „zbieranie ziem chińskich“ czy, raczej lenników Państwa Środka czy Niebiańskiego Imperium jak za monarchii oficjalnie nazywały się Chiny, jest ich posłannictwem dziejowym. W chwili najazdu Tybet pozostawał w aliansie zaczepno-odpornym z Republiką Indyjską, jako państwem sukcesyjnym Cesarstwa Indyjskiego, posiadłości Korony Brytyjskiej. Do pewnego stopnia, w każdym razie, Tybet, pozatem, był istotnie o tyle wasalem „Niebiańskiego Smoka“ — cesarza Chin — iż w Lhassie, stolicy kraju i głównym opactwie teokratycznego państwa tybetańskiego, rezydował „amban“ — wysokiej rangi mandaryn dworu pekińskiego. Funkcje jego były raczej nieokreślone: nie był wicekrólem, przedstawicielem suwerennej władzy cesarza, ale też był czymś więcej, aniżeli dyplomata. Można było mówić o zakresie jego wpływów raczej, aniżeli władzy. Ta spoczywała bez reszty w rękach Dalaj Lamy, kolejnego wcieleń Buddy, wedle wierzeń wyznawców miejscowego odgałęzienia doktryny buddyjskiej.

Ustrój opierał się na ścisłym połączeniu miejscowego feudalizmu z siecią opactw, potężnych i wojskowo i gospodarczo, w gruncie rzeczy niezależnych od nikogo.

Chińska doktryna konstytucyjna za monarchii wychodziła z założenia, iż wszyscy suwereni na świecie są lennikami „Syna Niebios“, a tym bardziej pograniczne państwa — czy to Tybet czy Annam na przykład, albo Burma czy nawet Jawa, które, tak czy inaczej zetknęły się bezpośrednio z chińską państwowością. W każdym razie, w roku 1904 „amban“ Yu-t'ai odegrał poważną rolę w Lhassie. W tym roku bowiem Indie Brytyjskie najechały Tybet.

Ekspedycja gen. Youghusbanda była ostatnią wojną kolonialną Imperium Brytyjskiego i epizodem nie przynoszącym zaszczytu odpowiedzialnym za niego dygnitarzom w Kalkucie i Simla, współstolicom Idii Brytyjskich, przed skonsolidowaniem ich w New Delhi<sup>1)</sup>.

Tybet stał się w pewnym sensie protektorem Cesarstwa Indyjskiego, a potem Republiki Indyjskiej, ale rządowi tybetańskiemu udało się usunąć chińskiego rezydenta z Lhassy dopiero w r. 1949, kiedy rząd Czang Kai-szeka został wyparty przez komunistów na Formozę. Po wyjeździe pełnomocnika Kuomintangu, jedynym dyplomata przy „watykanie“ tybetańskim Potala w Lhassie pozostał H.E. Richardson. Był on ostatnim Agentem Dyplomatycznym Cesarstwa Indyjskiego w Tybecie i na tej samej funkcji został po roku 1947, zatrzymany przez Republikę Indyjską. Ale w roku 1950 został zmuszony przez chińskich komunistów do opuszczenia kraju. Nehru znajdował się ciągle jeszcze w stanie „anty-imperialistycznej“ euforii i, niestety, naprawdę wierzył, iż nowy „Czerwony Smok“ w Pekinie stał się proletariuszem i komunistycznym internacjonalistą tylko dlatego, iż był i jest wojującym agnostykiem, posługuje się marksistowskimi formułkami i bolszewicką taktyką i jest synem chłopca. Nehru, niestety, nie miał zielonego pojęcia o chińskiej historii.

Sowieciarze znali ją i znają, nieskończenie lepiej od Indusów i wiedzą również, iż konto jakiegokolwiek Rosji wobec jakiegokolwiek Chin jest poważnie obciążone. Od stu lat nieomal Rosja grabiła, najeżdżała i okradała Chiny przy każdej nadarzącej się po temu okazji. Pod tym względem etapy stosunków rosyjsko-chińskich nie zmieniły się ze zmianą systemu w Rosji. Traktat w Argim ustanawiający „wspólną“ administrację chińsko-rosyjską w kraju Ussuryjskim, w r. 1854, traktaty w Tien-Tsi w r. 1858, w Pekinie w r. 1860, a nade wszystko traktaty w Liwadii w r. 1879 i w Petersburgu w r. 1881 zagarniające olbrzymie terytoria chińskie, były tak samo aktami przemocy jak ogołocenie Mandżurii przez armię sowiecką ze sprzętu fabrycznego i wszelkich instalacji mechanicznych w r. 1945.

Tybetu cesarska Rosja nigdy nie opanowała, ale ochotę na to miała zawsze. W r. 1901 Lord Curzon, ówczesny

wicekról Indii pisał do ministra dla spraw indyjskich w rządzie brytyjskim: „jeżeli w dalszym ciągu będziemy się guzdrać w Tybecie, to doczekamy się, iż Rosja ustanowi tam swój protektorat w ciągu najbliższych 10 lat“. Istotnie, emisariusze tybetańscy, m.in. niejaki Gurdżijew, Buriat z pochodzenia, i na początku obecnego stulecia bardzo ustosunkowany i tajemniczy „mag“ operujący w wyższych sferach petersburskich, kilkakrotnie odwiedzili Rosję w tym czasie i byli przyjęci ostentacyjnie na audiencji przez Mikołaja II. w Liwadii. Wywiad anglo-indyjski prze-gapił ich skandalicznie.

\* \* \*

W roku 1902 rząd brytyjski został uprzedzony przez chińskich emigrantów politycznych, iż dwór pekiński zgodził się na cesję na rzecz Rosji protektoratu nad Tybetem. Jednocześnie rozeszły się pogłoski w Kalkucie, iż potężny korpus rosyjsko-mandżurski, zorganizowany przez Petersburg na terenach dopiero co wymuszonych od Chin, wkrótce wyruszy na podbój Lhassy. Wyprawa Youghusbanda została w gruncie rzeczy podjęta dla zapobieżenia tej ewentualności. Ale w chwili, kiedy Anglo-Indyjskie oddziały zaczynały mozolnie wspinać się na podgórze himalajskie sytuacja międzynarodowa uległa zasadniczej zmianie: Japonia uderzyła na Port Artur bez wypowiedzenia wojny i już pierwsze miesiące działań wojennych rosyjsko-japońskich unaoeczniły śmiertelną siłą państwa rosyjskiego. Koła rządowe w Petersburgu musiały odłożyć plany zdobycia Azji na czas nieograniczony. Traktat Anglo-Rosyjski z r. 1907 kładł im uroczyście kres. Nieoficjalnie obie strony szły na przeczekanie w obliczu nieuchronnej I-szej Wojny Światowej. Z pewnością Wilhelm II. i jego dowódcy nie mieli najmniejszej ochoty rozpętać burzy wszechświatowej i pośrednio, podcinać sobie gardło. Ale, jak już dziś, po pół wieku, jest oczywiste splot podświadomych i półświadomych sił i nastrojów parł ich, zresztą podobnie jak wszystkich prawie europejskich mężów stanu tego okresu ku krwawej apokalipsie. W Azji zanośli się też na ogólne przetasowanie. Rozpoczęło się ono na dobre dopiero w chwili ataku Japońskich samolotów na amerykańską eskadrę Oceanu Spokojnego w Honolulu, w Zatoce Perłowej, w dniu 6. listopada 1941 roku. I bynajmniej się nie zanosi, iż wstrząsy tektoniki politycznej mają się ku końcowi w tej części świata. Raczej wprost przeciwnie. Oczywiście, realia

<sup>1)</sup> Ostatnim, i bodajże najlepszym popularnym opracowaniem na ten temat jest „Bayonets to Lhassa“ Petera Fleminga, wydana w Londynie, w roku 1961.

# SOWIECKIEJ



się zmieniły; zmieniła się amunicja, a rolę Wielkiej Brytanii na Dalekim Wschodzie przejęły Stany Zjednoczone. Ale zasadnicze elementy konfliktu pozostały bez zmian. Opanowanie Tybetu przez imperium dążące do opanowania Azji należy do kategorii takich właśnie newralgicznych spraw; bez załatwienia ich ewentualny zdobywca nie może nawet myśleć o przejściu do następnego etapu.

\* \* \*

Od r. 1950 aż do grudnia ub. roku i TASS i radio moskiewskie i cały gigantyczny aparat Komiformu i sowieckiego wywiadu politycznego i psychologicznego zachowywały się dziwnie powściągliwie na tematy tybetańskie. Ani zbytnio nie ganiono Chińczyków, ani pomstowano na „intrygi międzynarodowego imperializmu“ ani wreszcie, wbrew dotychczasowym precedensom nie obrzucono z Moskwy wyzwiskami Dalaj Lamy i tybetańskich „feudałów“. Połajanki pod ich adresem były zdawkowe i formalne.

\* \* \*

O niktymności ONZ wobec wielostopniowego najazdu chińskiego na Tybet nie warto tu wspominać, chociaż należy pamiętać. Indie i Wielka Brytania powinny były chociażby zaprotestować: ich zaangażowanie historyczne, moralne i polityczne w sprawy tybetańskie było i jest oczywiste i niedwuznaczne. Oba kraje milczały. Rząd Czang Kai-szeka wprowadził ubolewał nad okrucieństwami komunistycznymi, ale podkreślił, iż Tybet jest częścią suwerennego obszaru chińskiego. Jedynie bezbronny El Salvador, jedna z najmniejszych i całkiem bezbronna republika środkowo-amerykańska wniosła sprawę najazdu chińskiego na Tybet na porządek obrad ONZ. Nie można było głosować nad wyrzuceniem Chin komunistycznych z dostojnego forum — co jednak Liga Narodów jedomyślnie uchwaliła w stosunku do Sowietów, po ich ataku na Finlandię w 1939 roku — bo Pekin do ONZ nigdy nie należał. We wrześniu 1951 roku wojska chińskie weszły do Lhasy. Dalsze dzieje — beznadziejne powstania, w r. 1956, ucieczka Dalaj Lamy do Indii, trzy lata później, są zbyt dobrze znane, żeby należało omawiać je w tym miejscu. W prasie od czasu do czasu ukazują się wzmianki o tlejącej ciagle partyzantce szczebu górali Chamba, o brutalnej kolonizacji „demograficznej“ kraju, o wypuszczeniu żeńskich klasztorów w pacht poszczególnym dywizjom chińskiej „Ludowej Armii Wyzwolenia“. Ale oto „nagle“ zaczęły pojawiać się na całym świecie szczegóły, jak na-

prawdę wygląda sytuacja w „zamkniętym kraju“. I tak, jakoby gen. Czang-kuo-hua, dowódca chińskich wojsk okupacyjnych w Lhasie i I-szy sekretarz miejscowej organizacji partyjnej opowiedział się przeciw „tyraniu Mao“; Czang w chwili obecnej jest udzielnym władcą około 1,5 miliona kilometrów kwadratowych Tybetu i przyległych prowincji. Od września 1965 stanowią one tzw. „Samodzielny Okręg Tybetański“. Posiada on akurat tyle samodzielności, co jakkolwiek z kolchozów, utworzonych na jego terytorium, przez najeźdźców.

Czang Kuo-hua rozporządza pół milionową armią, znacznymi siłami pancernymi i 2.300 samolotów pierwszej linii, obsługiwany przez sto tysięcy personel. Przecieka też mnóstwo szczegółów o bezceństwach „czerwonej gwardii“ w Tybecie, o profanacji klasztorów, o niszczeniu skarbów narodowych.

Wiadomości są ściśle i obfite. I tu wychodzi szydło z worka. Rozchodzą się one z Singapore i ze źródeł, niewątpliwie, doskonale poinformowanych, ale równie, niewątpliwie, poinformowanych przez czynniki sowieckie, mniej lub więcej zakamuflowane.

\* \* \*

Sowiecki Pamir graniczy nieomalże z Tybetem. Styk himalajski pomiędzy Afganistanem, Pakistanem, Indiami, Tybetem, Sinkiangiem terenowo jest bodaj najbardziej niedostępnym z zewnątrz zakątkiem Azji. Można spokojnie przyjąć, iż sowieckie karawany przechodzą tam swobodnie. W Sinkiangu, czyli Wschodnim Turkiestanie, inny generał chiński i, oczywiście, I-szy Sekretarz Partii, Wang En-mao, dyktator „Samodzielnego Okręgu Singiańsko-Ujgurskiego“ miał też opowiedzieć się przeciw „Czerwonej Gwardii“, a wraz z nim siedem z ośmiu stacjonowanych tam dywizji. Na jego terenie znajduje się chiński poligon atomowy w Lop Nor. Podobnie postąpił Ulanfu, komunistyczny ober-herszt w Mongolii Wewnętrznej, innym jeszcze „Samodzielnym Okręgu“. O między — małe głupstwo długości 3.500 kilometrów na ogół niezbadanego dotąd dokładnie serca Azji — siedzą sowieciarze i różnorodne plemiona „sowieckie“ nienawidzące Chińczyków, prawie tak samo, jak ich „chińscy“ pobratymcy.

Jedno z drugim nie wygląda jeszcze na uverture do prawdziwej strzelaniny atomowej czy „konwencjonalnej“. Ale częściowe odkrywanie atutów jest ostatnim ostrzeżeniem przed wydaniem rozkazów operacyjnych.

**KSIĘGARNIA S. P. K.**  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.  
Great Britain

## POLSKA KSIĄŻKA W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

## POLSKIE PISMO W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

## KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

## KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):  
GRYF PUBLICATIONS LTD.,  
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO  
IM. GEN. SIKORSKIEGO,  
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,  
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

## KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

**KSIĘGARNIA S.P.K.**  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.  
Great Britain.

**U w a g a :** Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

# Księgozbiór Polski dla Uniwersytetu w Canberra

DWULETNIĄ pracą Komitetu Milenium w Canberra-Queanbeyan, szczególnie Sekcji Księgozbioru Polskiego dla Uniwersytetu Narodowego w Canberra została oficjalnie zakończona uroczystością w dniu 8-go listopada 1966 r. to jest w dzień uroczystego wręczenia zebranego Księgozbioru Uniwersytetowi, połączoną z dwudniową Wystawą Książki Polskiej w salach „Menzies Library“, to jest biblioteki dla „Advanced Study“ tegoż Uniwersytetu.

Salę Wystawy mogły pomieścić tylko ograniczoną ilość gości, i dlatego liczba Polaków zaproszona na tę uroczystość została ograniczona do minimum. Z australijskich gości, oprócz dziekanów Uniwersytetu, większej ilości naukowców reprezentujących tak obydwie Uniwersytety, jak i Instytucje Naukowe, byli przedstawiciele Parlamentu z posłem federalnym J. Fraserem na czele — przedstawiciele organizacji społecznych, prasy, telewizji, Rządu Federalnego i organizacji religijnych. Grupa polskich naukowców na tutejszych Uniwersytetach była reprezentowana przez dr J. Zubrzyckiego, dr A. Przybylskiego, dr S. Skwarę, dr J. Serkowskiego, dr Modelskiego i wielu innych. Przybył również prezes i wice-prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, gen. J. Kleeberg oraz inż. T. Saryusz-Bielski. Prasę reprezentowali red. J. Dunin-Karwicki i red. C. Zórawski.

Uroczystość otworzył prezes Zarządu Krajowego SPK J. Dąb-Dwórski, pełniący również obowiązki Przewodniczącego miejscowego Komitetu Milenium. Dłuższe przemówienie wygłosił w imieniu Komitetu i organizatorów tej imprezy dr J. Zubrzycki, który nie tylko naszkicował historię samej idei zebrania Księgozbioru Polskiego dla tego Uniwersytetu, cele jego i założenia, ale podał również kilka znamienych faktów z obchodów naszej wielkiej rocznicy Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej. Symboliczne wręczenie książki wice-kancelarzowi Uniwersytetu Haxley'owi, krótkie przemówienie tego ostatniego oraz przemówienie dyrektora „Menzies Library“, p. Graneeka, którego pomoc i bardzo życzliwe ustosunkowanie się tak do Księgozbioru, jak i do samej Wystawy Książki Polskiej zasługuje na specjalne podkreślenie — zakończyło pierwszą część uroczystości.

Następnie podsekretarz Stanu Ministerstwa Emigracji p. Heydon, po nadzwyczaj serdecznym i dobrym przemówieniu, dokonał ceremonii otwarcia Wy-

stawy Książki Polskiej. Komitet Milenium wybrał specjalnie p. Heydona, dla dokonania tej ceremonii, gdyż pan ten, jako ówczesny urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Australii w Rsoji Sowieckiej, opiekował się sprawami polskimi po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Stalina z Rządem gen. Sikorskiego.

Uniwersytetowi w Canberra przekazano ponad 3.000 książek polskich i roczników czasopism pochodzących z ofiar społeczeństwa polskiego na emigracji i z zakupów.

Dzisiaj Księgozbiór ten przekracza już 4.000 tomów, bo sama Biblioteka zakupuje wiele dzieł polskich.

Prasa Australijska, radio i telewizja przyjęły ten czyn Polonii tutejszej nadzwyczaj entuzjastycznie. Artykuły o Polsce i jej tysiącletniej rocznicy, o Polakach w Australii ukazały się nawet w najbardziej konserwatywnej i nam nieprzychylniej prasie.

Podczas trwania Wystawy Książki Polskiej, podszedł do mnie jeden z wyższych urzędników ministerialnych z Canberrą i prosił o wyjaśnienie mu motywów tej akcji. Gdy mu podałem dane liczbowe odnośnie zebranych na ten cel funduszy, oraz ilości ofiarowanych książek, a gdy dodałem jeszcze, że w tym samym czasie prowadzona była niezależna akcja zbiorkowa (pieniądze) na zakup wartościowych książek australijskich o Australii dla Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Lubelskiego, — powiedział do mnie: „Was Polaków, — my Australijczycy musimy podziwiać, a chciałbym, abyśmy mogli was również naśladować“.

Wystawa Książki Polskiej ulokowana dzięki przychylności Dyrektora Menzies Library, w dwu przepięknych salach biblioteki, była niecodziennym wydarzeniem w Canberra. Obejmowała ona działy książek: Literatury Polskiej, Teatru i Muzyki, Architektury i Sztuki, Historii, Geografii i Folkloru. Małe stoiska Książki Dziecięcej, oraz Grafiki i Filatelistyki Millennialnej uzupełniały całość. Stoiska były ilustrowane dobrze dobranymi mapami, wykresami, atlasami. Szczególne zainteresowanie wzbudziła Diorama Bitwy pod Wiedniem, wykonana przez dr F. Danglera. Krótkie objaśnienia wszystkich działów były wykonane przez Polaków-kreślaczy, pracujących w różnych instytucjach w Canberra. Streszczenia historii polskiej, Bitwy pod Wiedniem, rozwoju polskiej architektury i sztuki, muzyki i teatru, oraz wiedzy o Polsce, były dostępne dla zwiedzających. Wy-

drukowano ich ponad 5.000 egzemplarzy z każdego działu i w ostatnich dniach Wystawy musiano dodrukować dalsze. Wystawę zwiedziło około 2.800 osób, nie licząc młodzieży szkolnej, która przychodziła na Wystawę „w zwartym szeregu“ pod kierownictwem nauczycieli. Dyrektor Biblioteki, zachwycony tak Wystawą samą, jak i frekwencją zwiedzających, zarządził otwarcie Wystawy nawet w niedzielę po południu i w soboty od godz. 9-tej rano do godziny 6-tej po południu. Zważywszy fakt, że biblioteka musiała opłacić w tym czasie specjalny personel, (dwie osoby), które pełniły w tym czasie służbę w bibliotece — jest to nadzwyczajne, jak na tutejsze stosunki.

Całość artystyczna Wystawy spoczywała w rękach młodego i zdolnego dekoratora, p. J. Skoniecznego, poszczególne działy prowadzili: dr J. Zubrzycki, R.J. Hądzłowa, M. de Waldorfowa, J. Kraciuk, I. Żywczakowa, B. Kurnatowski i dr F. Dangel. Całością kierował przewodniczący Podkomitetu Księgozbioru Polskiego, F. Hądzel.

Wystawa trwała od 8-go do 21-go listopada. Duże zainteresowanie wywołała dyskusja w prasie australijskiej („The Canberra Times“) zapoczątkowana przez pierwszego sekretarza ambasady Niemiec Zachodnich, który napisał list do redakcji na temat „błędnego podawania linii zachodniej granicy polskiej“. Odpowiedzi na ten artykuł, a szczególnie odpowiedź lektora języka niemieckiego prof. Hansa Kuhn, dały dobrą odprawę szowinistycznemu dyplomacie. W drugim dniu Wystawy przybył również „zwiedzić ją“ sam Ambasador Niemieckiej Republiki Federalnej i... złożył następnie protest w kancelarii Rektora Uniwersytetu przeciw umieszczeniu na Wystawie pięciu map, podających „błędnie“ Zachodnią Granicę Polski. „Protest“ nie tylko nie odniósł spodziewanego przez Niemców skutku, przeciwnie, wywołał oburzenie i niechęć do nich grup naukowych i dalsze artykuły w prasie przychylniej Polakom i Polsce.

Na Wystawie umieszczono przeszło 360 książek, wiele rysunków, przedruków, wycinków prasowych, które rozłożone w dekoratywnej i przejrzystej formie, dawały zwiedzającym dobry przekrój dorobku kulturalnego Polski i wkładu Jej do Kultury Światowej.

Wyda mi się, że Wystawa ta oraz czyn podarowania tak dużego zbioru książek Uniwersytetowi, spełniła oczekiwane przez nas zadania. Nie tylko przyczyniła się do spopularyzowania

# BELGIJSKI PATRIOTA

## O POLSKIM SERCU

Tyle w naszych burzliwych i tragicznych czasach działo się i dzieje rzeczy wstrząsających, iż zarówno dzienniki jak i publikacje z zakresu najnowszej historii pełne są nazwisk mężów stanu, polityków, dowódców wojskowych i reformatorów społecznych, którzy w tym ogólnym kotłowaniu się, odegrali wybitną rolę.

Tych, którzy stali na czele zmagania na światową miarę, dotychczas się albo uwielbia, albo nienawidzi i roztrząsa znaczenie ich czynów. Wskutek aż nazbyt często spornej oceny ich działalności poruszają się oni zawsze jeszcze na widowni dostępnej dla wszystkich oczu. I chociaż może niejednen z nich z biegiem czasu zostanie usunięty w cień, to jednak na razie zastaniają oni sobą postacie tych ludzi, których rola nie była wprawdzie tak widoczna, ale pomagając przetrwać ciężkie okresy jednostkom i społeczeństwom, była zawsze dodatnia i spotykała się tylko z uznaniem. Ale właśnie dlatego, że nie wywoływała sporów, mniej się o niej mówiło i mówi. Bo gdzie nie ma sporu, tam łatwo o ciszę.

A jednak dobrze jest czasem tę ciszę przerwać, ażeby podkreślić zasługi ludzi, których działalność była pomocą dla innych. Do takich ludzi niewątpliwie należy Charles Prus-Piołunowski. Leży przed nami broszura: „Biographie Montoise — Grand patriote belge: Charles Prus-Piołunowski, consul de Pologne à Mons (1884-1963)“ pióra Roberta Wellens'a. Jest to odbitka z wydawnictwa „Mémoires et Publications de la Société des Sciences, des Arts et des Lettres du Hainaut“ („Pamiętniki i Publikacje Towarzystwa Nauk, Sztuki i Literatury w Hainaut“).

Charles (Karol) Prus-Piołunowski urodził się w Thieu, miejscowości po-

wiedzy o naszym kraju ojczystym, ale i do zainteresowania się kulturą i nauką polską — obecną sytuacją polityczną Kraju, jak również pobudziła społeczeństwo tutejsze do „czytania wszystkiego tego, co pisze się o nas“. Dużą zasługę ponosi tutaj dr J. Zubrzycki, prof. socjologii na Uniwersytecie Camberra, którego artykuły w prasie oraz przemówienia radiowe i telewizyjne na temat Tysiąclecia Polski oraz sytuacji politycznej, ekonomicznej i społecznej Polski, stały się bardzo popularne. Oby więcej takich naukowców znalazło się w Australii.

F. Hądzet

żonej w belgijskiej prowincji Hainaut. Postać to interesująca nie tylko z miejscowego belgijskiego, ale zwłaszcza też z polskiego punktu widzenia. Ojciec jego Adolf Prus-Piołunowski urodzony w Polsce w roku 1842, przybył do Belgii, ażeby jak pisze autor biografii, nie być zmuszonym do odbycia studiów w języku rosyjskim. Wrócił jednak, ażeby wraz z braćmi matki, z domu Kobylińskiej, wziąć udział w powstaniu 1863 roku. Obaj bracia Kobylińscy zginęli, jeden na polu walki, drugi zamęczony w drodze na Sybir. Adolf Prus-Piołunowski, aczkolwiek ranny, zdołał uciec do Szwajcarii, a stąd z powrotem do Belgii, gdzie zdobył dyplom inżyniera i ożenił się z Belgijką p. Odile Anną Detrain, z którą miał 6 dzieci. Jednym z nich był właśnie Charles Prus-Piołunowski.

Charles Prus-Piołunowski nie umiał już po polsku i bardzo nad tym — jak o tym nieraz do piszącego te słowa wspominał — bolał. W roku 1911, a więc na trzy lata przed wybuchem pierwszej wojny światowej, przyjął, chcąc uniknąć służby w wojsku rosyjskim, obywatelstwo belgijskie.

Nie będziemy się na tym miejscu rozwódzić o jego karierze zawodowej. Rozwijając w niezwykły sposób przedsiębiorstwo, w którym zaczął pracować i na którego czele niebawem stanął, wyrobił sobie w szybkim czasie bardzo poważne stanowisko w kołach przemysłowo-handlowych Belgii. Ale o swoich powiązaniach z Polską nie zapominał. Stąd też razem z Georges Vaxelaire'em, który również odgrywał w życiu gospodarczym Belgii dużą rolę, zorganizował w roku 1920 belgijsko-polską Izbę Handlową, starając się rozwijać dobre stosunki między obu krajami, co mu się doskonale udało. Nie poprzestając na tym, założył wspólnie z hr. Carton de Wiart Towarzystwo Przyjaźni Belgijsko-Polskiej, a wreszcie stworzył fundację „Pro Polonia“, której prezesurę objął książę de Mérode. Zadaniem tej fundacji było m.in. wspieranie studentów Polaków w Belgii. Dzięki uzbieranym przez siebie funduszom, Charles Prus-Piołunowski zdołał wysłać do Polski po roku 1920 trzy pociągi z materiałami sanitarnymi.

W roku 1936 mianowany został honorowym wice-konsulem, a w roku 1938 konsulem polskim w Mons. Do ostatniej chwili swego życia uważał się za konsula Polski Niepodległej. Emigracyjny rząd polski w Angers potwierdził

jego nominację. „A skoro rząd belgijski nigdy mi nie cofnął „agrément“ — powiedział kiedyś do piszącego te słowa — nominacja nie przestała być ważna“. Podkreślając ten swój charakter, zjawiał się na wszystkich większych obchodach i manifestacjach, organizowanych przez niepodległościową emigrację polską w Brukseli.

Charles Prus-Piołunowski stanowi jeden z najpiękniejszych dowodów i przykładów odwodu krwi polskiej w tych, którzy się z niej wywodzą. I dlatego właśnie poświęcamy ogłoszonej przez Roberta Wellens'a biografii dużą uwagę. Wellens, sam zresztą siłą tradycji polskiej w życiu Piołunowskiego bardzo wyraźnie podkreśla.

Dla pełnej charakterystyki tego pięknego człowieka trzeba by opisać jeszcze obszernie jego działalność, rozwijaną w czasie pierwszej wojny światowej w dziedzinie niesienia pomocy jeńcom wojennym i osobom dotkniętym skutkami wojny, a przede wszystkim działalność w ruchu oporu, którą rozwijał we Francji, dokąd się schronił uchodząc przed wojskami niemieckimi w czasie drugiej wojny światowej. Willa „Esterella“ w Mandelieu (departament Alpes Maritimes) gdzie zamieszkał, była miejscem, w którym krzyżowały się nici organizacji oporu i potajemnie zbierali się ci, którzy pragnęli połączyć się z armiami walczącymi przeciwko Niemcom. Byli między nimi oczywiście również Polacy, a po wyładowaniu wojsk amerykańskich zgłosiło się nawet kilkudziesięciu Polaków wcielonych siłą do armii niemieckiej. Zrzucili oni zniechęcony mundur niemiecki i zdołali za pośrednictwem placówki państwa Prus-Piołunowskich przedostać się do szeregów amerykańskich. I tu trzeba zaznaczyć, że w organizacji ruchu oporu brała bardzo czynny udział żona Charles Prus-Piołunowskiego, z domu Susanne Vandam.

Oto krótki i niewyczerpujący zarys biografii tego niezwykłego człowieka. Dodajmy, że pani Prus-Piołunowska zawsze pamięta o miłości, którą żywił dla Polski jej zmarły mąż — i tradycje tej miłości nadal podtrzymuje.

### DOM POLSKI W WIEDNIU

Klub — Czytelnia —  
Restauracja

Przyjemna atmosfera  
Dobre miejsce spotkań  
SCHELLEINGASSE 2  
WIEN IV.

# “SUN WITHOUT WARMTH” \*)

Jest to objętościowo duża, bo 376 stronicowa powieść J. S. Wnukowskiego o zrytkach Polaków do Rosji w czasie ostatniej wojny. Napisana po angielsku, siłą faktu dotrze do czytelników tego obszaru językowego, do Polaków, którzy czytają po angielsku i innych, którzy interesują się książkami o tematach polskich. Nazwisko wyraźnie mówi o polskości autora, tak jak wiele nazwisk bohaterów książki.

Autorzy o polskich nazwiskach i książki o polskiej tematyce znajdują coraz lepsze przyjęcie na szerokim świecie. Jeśli Polak pisze o Rosji, jak w tym wypadku, czytelnik ma gwarancję, że dowie się o niej więcej i w obiektywniejszym świetle, niż od autorów innych narodowości, którzy będąc dalej od Rosji, mniej wiedzą i mniej ją rozumieją.

Powieść przez swą formę lepiej nadaje się do własnych rozmyślań nad poruszonymi przez nią sprawami niż reportaż czy dzieła naukowe. Historii Rzymu więcej nauczył Sienkiewicz przez „*Quo Vdis?*“, niż autentyczni historycy rzymscy, których przecież masy nie czytają a chętnie przeczytają powieść. Wnukowski nie był zesłany na Syberię, o tych sprawach, które opisuje, słyszał od tych, którzy tam byli. Większość opisywanych przez niego wydarzeń, jestem tego nieomal pewien, to fakty, które miały miejsce.

Ale książka, by była prawdziwą powieścią, nie może być powtórzeniem pamiętnika. Starał się więc autor dodać fantazji i tu widać, niestety, potknięcia. To nie znaczy, że tak nie było, były takie sytuacje, ale trochę inaczej.

Jest więc między innymi historyjka o grupie Polaków, którzy po tzw. amnestii jadą do Armii generała Andersa. Przed enkawudzistami legitymują się sfingowanym rozkazem samego Stalina, co im ułatwia poruszanie się po Rosji. Różne „cuda“ się w Rosji już po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej działy, i nie jeden kawał Polacy komunistom zrobili, ale ten wydaje mi się zbyt fantastyczny.

Takich przejść jakie miał naród polski w czasie ostatniej wojny na terenie Rosji, nie doświadczył żaden inny. Olbrzymie siły moralne, żywa wiara religijna, odwaga, nieugiętość, to wszystko umiał Wnukowski świetnie ująć i wyrazić.

\*) Joseph Stanley Wnukowski: „Sun Without Warmth“, Londyn, 1966 roku. Drukarnia „Veritas“.

Całą uwagę kieruje autor na Polaków. Rosjanie to tło. Występują jako dzika siła, jeśli są urzędnikami Stalina, a jako poczciwi, ale nic nie mający do powiedzenia i również cierpiący jak Polacy, cywile. Tak zresztą i było.

Akcja powieści toczy się początkowo na ziemiach północno-wschodnich Rzeczypospolitej, tuż przed wybuchem wojny, a następnie w Rosji, a kończy wyjazdem do armii pod wodzą gen. Andersa. Są to dzieje kilku osób, tak mężczyzn jak kobiet i dzieci. Główna para bohaterów to świeżo poślubione małżeństwo, które czeka na przyjeździe na świat ich syna. Roman Polański jest nauczycielem w państwowym liceum w Augustowie, a jego żoną jest młodzianka Bolesława.

Roman zostaje powołany do wojska, służy w Grodnie, przeżywa bombardowania niemieckie, następnie bije się z bolszewikami. Korpus Ochrony Pogranicza i kawaleria, która przybyła ze Lwowa biją się nad Niemnem z przezwajającymi siłami sowieckimi. Bitwa trwa dwa dni i dwie noce, później Polacy wycofują się, uchodzą w lasy, kawaleria przechodzi na Litwę.

Po kilku dniach, kiedy Romek, wróciwszy do domu i zobaczywszy swego nowo-narodzonego syna, uchodzi na Litwę, zostaje aresztowany przez żołnierzy sowieckich, dostaje się do więzienia, gdzie w czasie śledztwa zostaje pobity i wywieziony w głąb Rosji.

Tymczasem w miasteczku rządzą się bolszewicy. Konfiskują sklepy, rozbijają pomnik marszałka Piłsudskiego, gwałcą kobiety, kradną. W obronie nieвинnie prześladowanych Polaków wy-

stępuje starszek ksiądz Piotr Laskowski, proboszcz kościoła Najśw. Marii Panny w Sztabinie. Jego protest przed władzami rosyjskimi kończy się zamknięciem w więzieniu i oskarżeniem o zbrodnię, której nie popełnił.

Ponieważ wedle zasad bolszewickich żona odpowiada za męża, Bolesława zostaje wywieziona do Rosji, jako kontrrewolucjonistka i wróg Związku Sowieckiego. Również wywożą jej matkę — Adelajdę Górską.

Wnukowski dosyć wiernie pokazuje życie w więzieniach, łagrach i miejscach zesłania Polaków. Duża część czytelników „Orla Białego“ zna to z własnych przeżyć, więc nie będę tego relacjonował, gdyż nawet ci czytelnicy, których szczęśliwie ominęły te przeżycia, znają je z szeregu relacji książkowych i publicystyki.

Przychodzi tzw. amnestia i zaczyna się skupianie przy tworzącej się armii polskiej. Ta część książki pozwala sobie na element fantazji, o którym wyżej wspominałem, ale w całości oddaje nastrój tych dni, kiedy to słońce wolności zaświeciło dla Polaków.

Autor ma talent, i chce pokazać w formie żywej, może nawet czasami sensacyjnej, okropne lata 1939 i dwa lata następne. Zwyczajem jaki się szeroko przyjmuje wśród pisarzy współczesnych, nie ucieka od spraw erotycznych, i mamy tu szereg opisów naprawdę nie nadających się na lekturę dla młodzieży. Nie szczędzi też scen brutalnych. Inna rzecz, że wszystko to było, a nawet były rzeczy gorsze, o których autor nie słyszał.

Ma książka żywą akcję, plastycznie przedstawione sylwetki bohaterów, ba, nawet do tekstu angielskiego wstawione są słowa polskie, takie jak „babunia“, „wigilia“ i inne.

## W OBRONIE PRAWDY HISTORYCZNEJ

GŁOSY I OPINIE O KSIĄŻCE „LEWA WOLNA“

Już jest w sprzedaży, wydany staraniem Federacji Światowej S.P.K., zbiór interesujących referatów i wypowiedzi, które padły w dyskusji w Biorze Studiów S.P.K. nad książką J. Mackiewicza „Lewa wolna“.

Do nabycia:

**KSIĘGARNIA S. P. K.**

20, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich.

Cena: 7/6 — przesyłka 6d; \$1.10; F.5.00.

## STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych w lokalu własnym

Roma, via Licia 19, int. 9.

# Ogniowa próba człowieczeństwa

(na marginesie książki J.F. Steinera „Treblinka — Bunt w obozie zagłady“.

„Treblinka“ jest dziełem 28-letniego autora, pół-Żyda i pół-Francuza, i wydana została w marcu br. w Paryżu. W post-scriptum pisze on, że w pracy swej wykorzystał zeznania kilku świadków ocalałych z obozu zagłady w Treblince, jak również materiały zebrane przez polską Komisję badania zbrodni hitlerowskich w 1945 roku, Instytut Yad Waschem w Izraelu i Centre de Documentation Juive w Paryżu.

Zdawałoby się, że źródła te powinny być niezawodne. Simone de Beauvoir napisała bardzo przychylną przedmowę. Książka otrzymała „Prix de la Résistance“. Wydano ją w 60.000 egzemplarzy. Jest już wyczerpana i przygotowuje się drugie wydanie „bestsellera“.

Pod względem formy książka jest reportażem ujętym w fabułę powieściową. Treść jej stanowi w pierwszej części stworzenie przez Niemców ghetta w Wilnie i jego likwidacja drogą masowych egzekucji w Ponarach pod Wilnem. Druga, znacznie obszerniejsza, jest historią zagłady w Treblince.

W lipcu 1942 r. Gestapo decyduje się założyć w tym spokojnym miejscu obóz, do którego zwożeni będą Żydzi ze wszystkich okupowanych krajów Europy, aby umrzeć. Daleko na wschodzie grupa armii gen. von Bocka toczy krwawe walki z grupą Timoszenki o Woroneż i Stalingrad. Na zachodzie lotnictwo alianckie, krążące nad Rzeszą i niszczące przemysł wojenny oraz węzły kolejowe, nie dociera pod Siedlce i nie wysłodzi tej olbrzymiej fabryki śmierci, działającej całą parą. Kurt Franz, komendant obozu, ulepsza ciągle swą fabrykę, buduje coraz więcej komór gazowych. Spośród przywożonych więźniów wybiera najsilniejszych. Po szoku psychicznym na widok brutalnego wymordowania ich rodzin, przyjaciół i współwyznawców, mężczyźni ci są bici, terroryzowani i zapędzani do wrywania trupom zębów złotych, noszenia ich do masowych grobów, segregowania i pakowania odzieży ofiar i całego ich dobytku, który odsyłany jest do Rzeszy.

Żydzi „zatrudnieni“ w Treblince prowadzą dla siebie statystyki, aby dzieło Niemców nie zostało zapomniane. Powstają zapiski: „9. grudnia 1942. — 4 konwoje — 24.000 trupów.“ Notują również łupy niemieckie: „25 wagonów włosów kobiecych, 248 wagonów odzieży, 100 wagonów obuwia, 40 wagonów lekarstw i instrumentów chirurgicz-

nych, 200 wagonów kołder i koców, 400 wagonów różnych przedmiotów: piór wiecznych, grzebieni, naczyni, torebek, portfeli, lasek, parasoli itp. I nieprzebrane ilości złota. Diametów w karatach — 14.000.“

Złoto i diamenty idą do Banku Rzeszy, gdzie Schacht ma specjalne konto na te łupy. Pozostałe dobro wędruje do magazynów, skąd przydzielane jest obywatelom Rzeszy po starannym wypełnieniu wszystkich rubryk odpowiedniego formularza. Niech nikt nie wierzy, że naród niemiecki nie wiedział o tym, co się działo poza drutami obozów zagłady. Nie wszyscy znali szczegóły śmierci Żydów, wszyscy jednak wiedzieli o ich totalnym wyniszczeniu.

Fabryka śmierci działała sprawnie przez cały rok. Gestapo zdołało przez ten czas pochować w tym jednym obozie zagłady 800.000 ludzi. Grzebali sami Żydzi, zapędzani do roboty batem. Pilnowali ich Ukraińcy z karabinami maszynowymi, Ukraińcy, którzy złudzeni nadzieją wolności zaprzekli się diabłu. Nad całością czuwało Gestapo.

Poniżani, katowani, zrozpaczeni ludzie, straciwszy nadzieję na przetrwanie, uciekali od piekła jedyną dostępną im drogą: przez samobójstwo — wieszali się nocami w barakach. Odważniejsi próbowali ucieczki, która równała się samobójstwu. Ginęli pod ciosami łopaty, zabiczowani na śmierć, wrzucani żywcem do ognia. Potem, wśród silniejszych i bardziej zdecydowanych zrodziła się myśl buntu.

Himmler dwa razy odwiedzał obóz: raz, na początku jego działalności, stwierdził z zadowoleniem, że praca idzie składnie; drugi raz, na wiosnę 1943 r., po odkryciu grobów katyńskich. Zaniepokoił się. Sytuacja na froncie wschodnim nie jest najlepsza, do zwycięstwa daleko, straty niemieckie są ogromne. Widoki na zdobycie i utrzymanie „Lebensraumu“ niemieckiego aż po Ural — coraz mniej prawdopodobne. A co by się stało, gdyby te ziemie, które Gestapo wybrało na cmentarzysko dla „podludzi“, dla całego narodu żydowskiego, dostały się w ręce sprzymierzonych? Nie, ślady trzeba zatrzeć. Zostawia wyraźne dyrektywy.

W Treblince zaczyna się gorączkowa praca: palenie trupów. Ale umarli stawiają bierny opór — nie chcą się palić. Do Treblinki zostaje wydelegowany gestapowiec, specjalista od palenia trupów. Według jego wskazówek budowa-

ne są z cementu olbrzymie podstawy, na nich układa się szyny kolejowe, powstaje coś w rodzaju rusztu o powierzchni 50 metrów kwadratowych. Kopaćki obsługiwane przez żydowskich niewolników wydobywają z grobów zwłoki i składają na brzegu fosy; stamtąd tzw. „Platzjuden“ zabierają je i układają na rusztach. „Mistrz“ palenia trupów wie, które z nich mogą służyć na „rozpalkę“, które będą odporne na ogień. Po krótkim czasie najbardziej uparte zwłoki zaczynają zamieniać się w popiół. Gestapowiec jest dumny ze swego dzieła. Każde budować nowe kopaczki i nowe ruszty. Wszystko działa „tadellos“. Codziennie zamienia się w popiół kilkadziesiąt tysięcy zwłok. Prochy zsypany są do dołów i mieszane z ziemią. Ogrodnicy sięją na nich łubin. Kiedy dzieło zostanie ukończone — zginie cała żydowska obsługa, później prawdopodobnie i Ukraińcy, aby nie został żaden świadek. I któż będzie mógł wówczas powiedzieć, że na tym miejscu Niemcy wymordowali prawie milion ludzi?

Teraz jednak, wobec śmierci grożącej w najbliższych dniach, wybucha w Treblince bunt. W niezwykle trudnych warunkach kradną więźniowie z arsenału trochę broni i benzynę do podpalenia baraków. W oznaczonej dacie wywiązuje się walka. Członkowie komitetu powstańczego pozostają w większości na miejscu i walczą, aby umożliwić reszcie ucieczkę. 600 ludzi ucieka w lasy, wielu z nich ginie w pościgu.

W zakończeniu książki mówi autor, że po roku pozostało z nich tylko 40. Reszta „została zabita w ciągu tego roku przez polskich chłopów, żołnierzy Armii Krajowej, faszystowskie bandy ukraińskie, dezertersów z Wehrmachtu, Gestapo i oddziały specjalne armii niemieckiej.“ Nie podaje jednak żadnych źródeł, z których zaczerpnął wiadomości o mordowaniu Żydów w lasach przez polskich chłopów i Armię Krajową. Nie podaje również dat ani okoliczności, w których te zabójstwa miały miejsce. Rzuca bardzo ciężkie oskarżenie bez żadnego udokumentowania.

Tak samo, korzystając w dużym stopniu z broszury Jankiela Wiernika pt. „Rok w Treblince“, napisanej po wydobyciu się z Treblinki i odbitej w tajnej drukarni, nie notuje wiadomości podanej przez Wiernika, że w Treblince zagazowano również dwa transporty Polaków. Nigdzie zresztą nie ma u niego wzmianki o terrorze stosowanym wobec ludności polskiej.

Natychmiast po ukazaniu się książki Steinera wybuchła gorąca polemika prasowa. Mowa jest o „arcydziele“, ale również o „fałszowaniu historii“. W czasopiśmie ukazują się listy Żydów, którzy piszą, że teraz łatwiej im jest

znosić swój los. Inni oburzają się oskarżając autora o „antysemityzm“, jeszcze inni o „żydowski rasizm“.

W sprawie emigracyjnej omówiła to „jabłko niezgody“ p. Wanda Pełczyńska („Wiadomości“ Nr. 1071 z 9.IX. 1966). Radziłabym przeczytać tę recenzję każdemu, kto nie spędził w Polsce lat okupacji, a zabiera się do czytania tej książki.

Wkrótce ukaże się w językach polskim i angielskim książka płk. Kazimierza Iranek-Osmeckiego pt. „W poszukiwaniu prawdy“.

Praca ta obejmuje całość losów narodu żydowskiego w czasie niemieckiej okupacji, zarówno w tzw. Generalnej Gubernii i na terenach przyłączonych do Rzeszy, jak i na naszych ziemiach wschodnich, zajętych przez Niemców w 1941 r. Oparta ona będzie całkowicie na oficjalnej dokumentacji i żydowskich pamiętnikach, z przytoczeniem każdorazowo źródeł. Będzie odpowiedzią na wszystkie gołosłowne oskarżenia narodu polskiego, ukazujące się bezustannie w prasie i wydawnictwach zagranicznych. Daj Boże, aby ukazała się również w przekładzie francuskim dla czytelników „Treblinki“!

Musimy bowiem stwierdzić ze smutkiem, że autorzy piszący w obcych językach o tragedii narodu żydowskiego podczas drugiej wojny światowej popełniają zasadniczy błąd: losy Żydów w Polsce w latach 1939—1945 wyrwiają z kontekstu historycznego naszego wielowiekowego współżycia z tym narodem. Ponieważ Niemcy nasz zniewolony przez siebie kraj wybrali na miejsce kaźni i grób dla milionów Żydów, autorzy ci czują się obowiązani wspomnieć o Polsce, składając jednak część odium na nasz naród. O naszym współżyciu z mniejszością żydowską przez dziewięć wieków nie wiedzą jednak nic. Nie zastanawiają się nigdy dlaczego to w małym, ubogim, deptanym wojnami kraju, dzielonym przez drapieżnych sąsiadów i przez nich systematycznie grabionym, żyła największa w Europie ilość wygnańców z Izraela. Dlaczego to w ciągu długich stuleci wędrowały do kraju tak bardzo obcego im klimatem, tak różnego rasowo i kulturalnie tysiące Żydów.

Gdyby autorzy owi zapoznali się choć trochę z historią Polski wiedzieliby, że naród żydowski znalazł u nas gościnnie otwarte wrota. Już bowiem w 1264 roku Bolesław Pobożny wydał w Kaliszu statut regulujący położenie ludności żydowskiej. Kazimierz Wielki rozszerzył go na całą Polskę. Żydzi otrzymali królewską opiekę, posiadali rozległy samorząd. Lichwa nie była wcale ich wyłącznym zajęciem. Trudnili się również rzemiosłem i handlem. Statut kaliski zastrzegł im prawo han-

dlowania; „...by mogli Żydzi handlować swobodnie wszystkimi towarami“. Tego to właśnie prawa nie udzielono im na zachodzie.

Autor nazywa Wilno „Jerozolimą Litwy“, „Jerozolimą na wygnaniu“. „Słynna była ze swych wydań babilońskiego Talmudu, mówiono tam najczystszy językiem hebrajskim.“ Z dalekich krajów ciągnęli ludzie, aby studiować u wileńskich rabinów. „Ale sława ich, chociaż przekraczała morza, nie mogła przekroczyć dzielnicy żydowskiej“. Nie zastanawia się jednak nad tym, że takie centrum religijne nie powstało od razu, że trzeba było wieków, aby się utworzyło i rozwinęło, wieków tolerancji religijnej ze strony autochtonów, jak również stworzenia Żydom takich warunków, aby mogli oddawać się swym studiom.

Nie było zresztą Wilno jedynym ogniskiem religijnym Żydów. Na Litwę weszli bowiem Żydzi za polskim kolonistą dopiero po 1386 r., po wstąpieniu na tron polski Władysława Jagiełły. Znacznie starszym skupiskiem ludności żydowskiej był Kraków. Niektórzy historycy twierdzą, że już w XI w. była w Krakowie kolonia żydowska. Charakterystyczną rzeczą jest, że dopiero po ufundowaniu miasta na prawie magdeburskim w 1257 r. i po licznych napływie kolonistów niemieckich, zaczęły się starcia między mieszczanami krakowskimi, zorganizowanymi w cechy, a rzemieślnikami żydowskimi, którzy do cechów nie byli przyjmowani.

Z czasem, wobec napływu Żydów do miasta, otrzymali oni wydzielone tereny w królewskim mieście Kazimierzu, które to tereny zostały później zwiększone i w tzw. „Mieście Żydowskim“ powstaje wielka gmina, kulturalna stolica polskich Żydów.

Fala uciekinierów nie skończyła się dnak na epokach średniowiecznych i odrodzenia. Trwała dalej. Kresy nasze, sąsiadujące z Rosją, były w dalszym ciągu gościnną ziemią, która przygarniała naród prześladowany w Rosji, wyganiany powtarzającymi się pogromami.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Żydzi stali się pełnoprawnymi obywatelami naszego kraju. Mieli otwartą drogę do najwyższych stanowisk w administracji cywilnej, w wojsku, w służbie zdrowia, w wyższym szkolnictwie i sądownictwie.

Ale autor, będący zupełnym ignorantem w historii Żydów polskich, nie zna również kontekstu współczesnych Treblince wydarzeń. Może eliminuje celowo wszystkie fakty świadczące o ludzkich reakcjach ludności polskiej, aby osiągnąć większy efekt dramatyczny: naród tępony nie tylko przez

Niemców i Ukraińców, ale również przez Polaków i Litwinów... Istnieje jeszcze jedna możliwość: Steiner uległ propagandzie niemieckiej. Niemcy chcieli własne zbrodnie zrzucić na barki innych narodów. Może wpadły w jego ręce spreparowane przez Niemców artykuły propagandowe i widział zainscenizowane przez nich zdjęcia.

W całej książce tylko raz wspomina autor o pomocy udzielonej przez Polaka Żydowi. Wzmianka ta znajduje się w pierwszej części książki, traktującej o losach wileńskich Żydów. Młoda kobieta, która wydobyła się spod zwał trupów w masowym grobie na Ponarach, gdzie zginęli jej mąż i córeczka, spotyka wieśniaczkę polską. „Dała mi tę suknię i ten bukiet kwiatów, zawiązała zranione ramię chusteczką i każała wrócić do getta udając wiejską dziewczynę sprzedającą kwiaty“.

Jeżeli autor czytał rzeczywiście sprawozdania i dokumenty, o których wspomina w post-scriptum, musiał również dowiedzieć się o terrorze jaki stosowali Niemcy do Polaków dających jakakolwiek pomoc Żydom. Nie wspomina o tym wcale. A przecież ocalało w Polsce około 50.000 Żydów, w tym 5.000 dzieci — ukrywanych, karmionych, odziewanych przez Polaków, zaopatrywanych w dokumenty aryjskie, metryki chrztu, karty pracy itp. Każda z tych czynności była zbrodnią, karaną śmiercią, nie tylko „winowajcy“, ale całej jego rodziny. Dla ocalenia jednej osoby trzeba było nieraz ofiarności dziesiątków ludzi, bo konieczność ukrywania trwała nie miesiąc, dwa, ale całe lata, przy rosnącym ciągłym terrorze. Ilu ludzi zginęło za swą samarytańską postawę — trudno jest ustalić.

Wspomnę tu jeden wypadek zacytowany przez Tygodnik Powszechny (Nr. 15/1794 z 12.IV.64). Regina Biesam z Izraela pisze: „Ostatnio dużo się mówi i pisze o szlachetnych Polakach, którzy ratowali Żydów w czasie okupacji. Do ich grona należy Stanisława Cicha z Sosnowca, która z narażeniem własnego życia przechowywała u siebie w mieszkaniu 16 Żydów. Wśród ukrywających się byłam i ja. Było to w roku 1943. Odbywało się ogólne wysiedlanie Żydów. Męża mego już zabrano. Cudem ocalałam — przygarnęła mnie p. Stanisława Cicha... Ktokolwiek przyszedł w nocy pod okno jej mieszkania — znajdował azyl. Niektórzy z Żydów buntowali się i mówili, że zebrano się już za wiele osób, co może grozić wyspą. Pani Cicha odpowiadała, że każdy chce żyć... Po pewnym czasie nasza kryjówka została ujawniona. Gestapo aresztowało wiele osób wraz z p. Cichą. Reszta ukryła się w drugim pokoju pod podłogą. Następnego dnia wydostali się z tej kryjówki.“



Steiner nie wie zatem nic o postawie Polaków; że już w pierwszym okresie tzw. „złagodzonego terronu“ 80 wybitnych prawników polskich naraziło się Niemcom sprzeciwiając się usunięciu adwokatów żydowskiego pochodzenia z adwokatury. Wywiezieni do Oświęcimia — wszyscy prawie zginęli. Nie wie, że ludność polska przemyślała do głodzonego celowo getta żywność dla setek tysięcy ludzi, co w okresie wzmożonego terronu groziło śmiercią. Nie wie również, że wówczas jeszcze kiedy w getcie nie obudził się duch obronny i nie było tam konspiracyjnej reprezentacji, władze Polski Podziemnej nawiązały z Żydami kontakty nieoficjalne; że w lutym 42 r. w Biurze Informacji i Propagandy A.K. utworzony został referat spraw żydowskich. Otrzymane wiadomości przesyłane były do Rządu R.P. w Londynie, który interweniował u państw sprzymierzonych o potępienie zbrodni i powzięcie decyzji skutecznych środków dla ich ukrócenia.

Jak społeczeństwo polskie zareagowało na akcję totalnego wyniszczenia świadczy deklaracja organizacji katolickiej „Front Odrodzenia Polski“:

„Świat patrzy na tę zbrodnię straszliwszą niż wszystko co widziały dzieje i — milczy. Rzeź milionów bezbronných ludzi dokonywa się wśród powszechnego złowrogiego milczenia... Nie zabierają głosu Anglia i Ameryka, milczy nawet wpływowo międzynarodowe Żydostwo!... Kto milczy w obliczu mordu — staje się współnikiem mordercy! Kto nie potępia — ten przyzwala.“

Za zgodą Komisarza Rządu stworzono komitet niesienia pomocy Żydom. Przy delegaturze Rządu w Warszawie powstała Rada Pomocy Żydom (pseud. „żegota“). W Krakowie i we Lwowie utworzono Rady Okręgowe. Fundusze na swą działalność otrzymywała Rada z budżetu państwowego.

Aby poruszyć opinię Zachodu i zmusić go do interwencji Rada Pomocy Żydom i Delegatura wysłały emisariusza, który zbierał przedtem osobiście informacje w getcie warszawskim i w Majdanku, dokąd dostał się przekupiwszy ukraińskiego strażnika. Zebrane wiadomości relacjonował w Londynie, rozmawiał z prem. Churchillem. Alianci nie podjęli żadnego kroku aby przerwać akcję niemieckiego ludobójstwa.

Steiner nie wie również, że kiedy po wielkich „przesiedleniach“ w 1942 r. pozostali mieszkańcy getta warszawskiego postanowili się bronić — na terenie getta był dosłownie jeden rewolwer. Dowództwo A.K. przemyślało poprzez mury broń, amunicję, materiały wybuchowe. A.K. szkoliła bojowców, uzgodniła z Żydowską Organizacją Bojową plan walki, tak aby oddziały A.K. mogły

stworzyć dywersję. Podejmowano kilkakrotnie akcje nekujące.

Prócz tego, udzielano pomocy każdemu, kto kanałami zdołał wydestać się z ginącego getta. Nie było to łatwe, bo z chwilą rozpoczęcia akcji eksterminacyjnej w getcie gestapo zwiększyło terror wobec społeczeństwa polskiego.

O wszystkich tych wysiłkach pomocy walczącemu gettu i ofiarach w ludziach Steiner nie wie. Wspomina tylko mimochodem, że kiedy niedobitków powstania w getcie przywieziono do Treblinki — twierdzili oni, iż walczyli sami, nikt nie dał im pomocy!

Dlaczego zarzucają Steinerowi fałszowanie historii?

Jeżeli chodzi o sfałszowanie obrazu stosunku Polaków do Żydów, wyjaśniam to już obszernie. Dodam jeszcze, p. Wanda Pełczyńska, która była w Wilnie w czasie tworzenia getta i masowych egzekucji w Ponarach twierdzi, że zarówno antysemickie wystąpienia ludności, jak i wiece zwoływane przez Żydów dla zorganizowania się do walki z Niemcami oraz sabotaże, są wierutną błądą.

Dlaczego zarzucają Steinerowi „razizm żydowski“?

Pinkas Alter, mistyk hebrajski, który razem z innymi nosi żydowskie trupy, mówi w ciszy baraku: „Wszystkie imperia giną. Widzieliśmy ich tysiące w upadku od czasu, kiedy wezwał nas Abraham. Widzieliśmy jak powstawały wśród bólów porodowych, rozwijały się w niesprawiedliwości i umierały w pyrze, zabite przez inne państwa, których gwiazda wschodziła. I to imperium zniknie jak inne...“

Żydzi zarzucają mu szkalowanie narodu żydowskiego, jego postawy wobec morderców. Wzmiankę Wiernika we wspomnianej broszurze, że Niemcy zmuszali Żydów do śpiewania swym władcom w wolnych od pracy chwilach, Steiner rozdmuchuje pisze o przedstawieniach teatralnych, rewiiach pisanych dla tego teatru, w których Żydzi ośmieszali samych siebie; o wspólnych „ucztaach“, pijaństwie, tańcach z gestapowcami, o rozpuście.

Być może znów, że gestapo zorganizowało takie koncerty i uczy z tańcami i filmowało je dla celów propagandy, a Steiner, nie znając ich metod, uległ mistyfikacji.

Trzeba przyznać, że autor rozpisuje się szeroko o „współpracy“ Żydów przy zagładzie własnych rodaków, a nawet rodzin. Całą pracę „przygotowania“ owych setek tysięcy ofiar do komór gazowych spełniali Żydzi. Nie zabijali wszakże. Tę przyjemność zachowywali dla siebie Niemcy.

Przypominają mi się tutaj słowa Tadeusza Nowakowskiego z jego „Szopy za jaśminami“: „Nie byliśmy wtedy

ludźmi“. Te słowa można zastosować z daleko jeszcze większą słusnością do bitych, poniewieranych, upadających z głodu i zmęczenia, żywcem wrzucanych do ognia Żydów. Niemcy usiłowali zabić w nich człowieczeństwo w sposób perfidny, „naukowy“. Ostatnią ludzką myślą ofiar było: przetrwać, aby móc opowiedzieć, żeby świat się o tym dowiedział. Stąd wyrósł bunt w przeddzień zagłady obozu. Stąd wyrosły również powstania w gettach warszawskim, biaostockim i kilku innych. Umrzeć jak ludzie i żeby przetrwała pamięć tej śmierci poniesionej w walce, umrzeć jak Bar-Kochba, jak obrońcy Massady!

Człowieczeństwo — Niemcy chcieli je odebrać Żydom. Niełatwo jest odebrać człowiekowi człowieczeństwo! Okazuje się, że trzeba samemu zejść na dno, poniżej człowieczeństwa — i wówczas jeszcze wynik tych wysiłków jest niepewny. Pomimo milionowych ofiar, które padły w tej ogniowej próbie narodu wybranego, naród żydowski nie tylko nie zginął, ale wywalczył sobie po lat dwóch tysiącach Ojczyznę, małą — jeżeli idzie o rozmiar, ale wielką w perspektywie historycznej. Wychowuje w niej teraz swe dzieci tak, aby mogły jej bronić, nie cierpliwością i uległością, lecz odwagą i siłą.

Niemcy owej ogniowej próby, którą zastosowali nie tylko do Żydów, ale i do siebie samych — nie przetrwali zwycięsko. Byli kiedyś uważani za naród przodujący w cywilizacji chrześcijańskiej, uważali się sami za „nosicieli kultury“. Obecnie ciągle jeszcze noszą garb hitlerowski, nie mogą przewyciężyć swej przeszłości. „Bo — jak mówi jeden ze współczesnych autorów niemieckich — przeszłość ma tylko liczbę pojedynczą. Nie może być dwóch przeszłości: nie można nienawidzić obozów koncentracyjnych i być dumnym równocześnie ze zwycięstw, które w erze tych obozów odnosił orzeż niemiecki“.

Niemcy dotychczas jeszcze wyboru nie dokonali.

Krystyna Brzozowska

## POPIERAJ FIRMY POLSKIE



**SZYBKO I TANIO!**

Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.

Tel. BAT 0879

# POSEPNY HUMORYSTA

I

**P**OSEPNY humorysta, to Mark Twain, jedna z najbardziej niekonsekwentnych, wewnętrznie rozdartych, przeto interesujących postaci w dziejach literatury.

Jest to pisarz, który w głębi duszy wstydział się, iż jest pisarzem, uważał pisarstwo za zajęcie niegodne prawdziwego mężczyzny (i... tu może miał rację), a równocześnie z dumą przepowiadał sobie siawę do końca świata. Człowiek, który zwalczał bogaczy i milionerów, lecz całe życie dążył przede wszystkim do tego, żeby samemu zostać milionerem. Człowiek, który jak rzadko kto ubiegał się o względy ludzkie, pożywał ukłonów i oznak uwielbienia... nienawidząc ludzi i gardząc nimi. Człowiek, który kazał siebie podziwiać, pozwalał — i domagał się — żeby go nazywano „królem“, a jednocześnie był sam sobą zażenowany do granic czynnej pogardy. Na marginesie jednej z książek, jaką kiedyś czytał, znaleziono taką sentencję, zapisaną jego ręką: Człowiek tak osądza ludzkość, jak sądzi siebie samego w głębi uczciwej prywatności własnego serca. Byron gardził ludźmi, bo gardził sobą: Czuję podobnie.

Uważał, że ludzie dzielą się tylko na dwie kategorie, na „już potępionych i tych, którzy powinni zostać potępieni“. Był to demokrat, który pysznił się tym, że po stronie matki rzekomo wywodził się z hrabiów Durham i który układał listy królów, książąt, arystokratów, prawdziwych i rzekomych wielkości, z jakimi się zetknął i był niezadowolony w opisywaniu takich spotkań. Był to wesołek, który wyznawał, że jest pełen złości i jadu, a za źródło humoru uznawał nie radość, lecz ból. „I dlatego, jak pisał, w niebie nie ma humoru“.

Humor w połączeniu ze smutkiem, nawet z rozpaczą występuje, co prawda, nierzadko. Życie choćby Abrahama Lincolna było alternacją humoru, nawet niezwyklej wesołości, z napadami gryzącej, zabójczej melancholii. Jeśli zaś chodzi o humorystów i satyryków ex professo, to może u większości twórczość ich płynęła ze smutku, gniewu, oburzenia, jak u Swifta. Smutek w połączeniu z humorem stanowi istotę pieśni murzynów amerykańskich, które Twain uwielbiał. Nie to więc jest dziwne.

Dziwna jest właściwie jego stale zamącona równowaga pewnych zasadniczych elementów, z powodu czego nie widać u niego przejmowania się zjawiskami czy wartościami, które normal-

nym ludziom wydają się drogie lub nieważne, o które i za które walczą lub przeciw którym walczą. Jak istnieje nerwowe uleganie przymusowi mówienia, tak w nim istniał przymus groteski, karykatury, często — najczęściej nawet — prymitywnej, robionej na siłę, lecz przymus, za którym nie kryło się nie oprócz przeświadczenia, że to właśnie będzie najbardziej pokupne u wydawcy i redaktorów.

Krótko mówiąc, Mark Twain, „największy humorysta świata“, pełen sprzeczności, nie umiał pogodzić rzeczywistości z ideałami, a nawet swych ideałów nie był pewien. A więc był to — człowiek, prawdziwy człowiek, bo nie dający się zamknąć w żadną formułkę.

„Nie ma ani jednej takiej cechy ludzkiej, którą by można bez wahania zakwalifikować jako „amerykańską“, twierdził. A tymczasem przez koleje swego życia i przez swą twórczość do tego stopnia zrosł się z pewną epoką Ameryki, że stał się jakby uosobieniem amerykańskości. William Dean Howells nazwał go „Lincolnem amerykańskiej literatury“, chcąc tym powiedzeniem określić dwie rzeczy od razu: Samorodną wielkość tego pisarstwa i jego amerykańską typowość. Bernard Shaw pisał do Twaina: „Jestem przekonany, że dla przyszłego historyka Ameryki Pańskie dzieła będą tak samo nieodzowne, jak są nieodzowne pisma Woltera dla historyka francuskiego“.

Lecz to tylko jeszcze jeden i może najmniejszy paradoks związany z Twainem: że zaprzeczając istnieniu czegoś takiego jak „amerykańskość“ sam od początku do końca nie tylko naznaczony był amerykańską rodzimością, lecz stał się wyrazicielem, a nawet współtwórcą niemalże folkloru amerykańskiego. I jeszcze jeden paradoks: kult, jaki względem niego żywi Ameryka, hołdy, jakie mu składano zwłaszcza w roku 1960, w pięćdziesięciolecie jego śmierci i 125-lecie urodzin stanowią nieodłączną część amerykańskiej nostalgii do tej epoki, którą on właśnie tak nielitościwie chlostał w swoich satyrach...

A chlostał czasem z wielką siłą artystycznego wyrazu jak w znanym i zjadliwym opowiadaniu „Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg“, lecz najczęściej pod postacią najtańszej gaceciarskiej burleski, która do dziś nas nuży i nudzi. Burleska, do której miał taką skłonność, a która nie jest groteską, lecz tylko mechanicznie rozdymaną przesadą i nie posiada wartości społeczno-literackiego dokumentu epoki. Lecz

ten niemal bezwartościowy dział zapewnił mu niezwykle wysoką pozycję, jaką sobie zdobył czy raczej na jaką go oficjalnie wywindowano w Związku Sowieckim, gdzie właśnie te jego utwory uchodzą za wierny obraz dzisiejszej Ameryki, podobnie jak jeszcze kilka lat temu powieści Dickensa narzucane były czytelnikom sowieckim jako odbicie dzisiejszej Anglii. I Sowieci nawet twierdzą, że lepiej Twaina rozumieją i bardziej go cenią niż Amerykanie.

Natomiast zwyczajni, normalni, a więc najważniejsi czytelnicy, równie w Związku Sowieckim jak wszędzie na świecie, rozczytują się przede wszystkim w „Przygodach Tomka Sawyera“ i w „Przygodach Huckleberry Finna“, gdyż tylko te dwie powieści — zwłaszcza ostatnia — i jeszcze parę, może kilka drobnych opowiadań — z Twaina zostały i utrzymują się w rzędzie arcydzieł. W U.S.A. czytają jeszcze zabawnych „Prostaczków zagranicą“ i pierwszą część „Życia na Missisipi“. Natomiast rzeczy, o których sądził, że będą podstawą jego sławy „do końca świata“, jak „Uwagi o św. Joannie d'Arc“, nad którymi pracował 14 lat, jak ekspozycja jego mechanicznej filozofii życiowej, ów naiwny i nudny dialog pt. „Czym jest człowiek“ oraz „Pamiętniki“, o których sądził, że ogłoszone po jego śmierci, wstrząsną światem straszliwością swej prawdy, gdy na mówienie prawdy za życia nawet o sobie samym brak mu było odwagi, jak to wyznał: wszystko to może interesować przyczynkarzy, psychologów, psychiatrów nawet, ale nie posiada większego znaczenia. Czas, któremu Twain z taką ufnością powierzył wyrok, obszedł się z jego licznymi rzeczami surowo, lecz sprawiedliwie: nawet czas nie znalazł na nie czasu.

II

Samuel Leghorn Clemens, gdyż takie jest właściwe nazwisko Twaine, był synem łagodnego, szlachetnego sceptyka i niepoprawnego marzyciela-fantasty, który swoje życie wypełniał rojeniami o zdobyciu bogactw, żeby otoczyć rodzinę wszelkimi dostatkami. Był to prawnik — w ówczesnym amerykańskim wydaniu, oczywiście — który się uwziął na spekulacje ziemią. Lecz gdy inni rzeczywiście na tym robili majątki, John Marshall Clemens nie miał szczęścia. Kupił ziemię w niewłaściwym miejscu, gdzie jej ceny nie chciały iść w górę. Uważał to za niesprawiedliwość losu, ale nadziei nie tracił, że jeszcze „pokaże co potrafi“ i otoczy rodzinę luksusem. I z tymi marzeniami, gdy w domu bieda nierzadko dobrze doskwierała, zmarł w roku 1847. Rodzina dotąd uboga, popadła w jeszcze większe tarapaty.

W przeciwieństwie do ojca, matka by-

ia osobą konkretną, realną, żelaznej woli, choć nieraz po tyrańsku porywczą. Przytem, gdy jej mąż był agnostykiem, ona była żarliwie wierzącą prezbiterianką. Po ojcu więc chyba Samuel dziedziczył rojenia o bogactwie, do którego będzie dążył przez całe życie z wytrwałością i uporem, godnym swej matki, ale z naiwnością i niezaradnością ojca, nie spostrzegając, ile dziesiątek tysięcy dolarów rzuca w błoto i jak marnuje majątek, byle ... stać się bogatym. Gdy ojciec był sceptykiem, a matka żarliwie wierzyła, on będzie żarliwym niedowiarkiem i straszliwym bluźniercą, co prawda, tylko na prywatny użytek. Jednak cień prezbiteriańskiej religijności matki w jakiś sposób towarzyszył mu całe życie w kalwińskim dwugłowym dogmacie, że bieda jest grzechem, a bogactwo znakiem Bożego upodobania i wybrania.

Gdy zmarł ojciec, Samuel liczył 12 lat. Śmierć jego opłakał mnóstwem łez i oznakami niezwykłego żalu: wszystkie dziecięce przewiny, wszystkie nieposłuszeństwa wobec ojca urosły w nim do rozmiarów ogromnego kompleksu winy. Lecz matka ze swym realizmem kazała mu przestać płakać: jego łzy nie zmienią przeszłości i niczego już nie cofną; przeto niech raczej z jego żalu urosnie coś konkretnego na przyszłość. Niech zatem przy trumnie ojca obieca jej, że będzie „porządnym i dobrym chłopcem“. Samuel przyrzekł, lecz i ze swej strony postawił warunek: iż odtąd oficjalnie przestanie chodzić do znieławidzonej szkoły w Hannibal, gdzie mieszkali. Z resztą, nawet nie mógłby dalej do szkoły chodzić. W trudnej sytuacji rodziny musiał brać się za robotę.

Kończyło się więc wagarowanie w komydach nad brzegami Mississippi. Lecz potężny „Ojciec rzek“, jak mówili Indianie, na zawsze pozostał we wdzięcznej pamięci Samuela, jako jego główny nauczyciel i mistrz, tak życia, jak twórczości. Już jako sławny pisarz wyzna na stare lata, że ilekroć poczuł serdeczne zainteresowanie do jakiejś postaci, która wyrastała mu spod pióra na kartach powieści, miało się okazać, że to tylko powtórne spotkanie: znali się już bowiem... właśnie na Mississippi; albo w dziecinnych zabawach nad jej brzegiem i na niezliczonych wysepkach, albo później w czasie paru pomyślnych lat, kiedy był pilotem na parowcu i zglebił na wylot wszystkie tajniki i kaprysy rzeki na przestrzeni od St. Louis do New Orleans. Nawet swój przesławny pseudonim zawdzięczał rzece. Był to bowiem okrzyk w czasie sondowania i „mark twain“ znaczy dosłownie: „zaznacz dwa“, mianowicie — dwa sążnie. Inaczej mówiąc znaczyło to tyle, co „można jechać; jest całkiem bezpiecznie“.

Jednak pilotaż to dopiero późniejsze dzieje. Na razie dwunastoletni chłopiec musiał się wziąć za robotę, żeby pomóc matce i zdobyć sobie zawód na przyszłość. Został uczniem drukarskim w drukarence starszego brata, Oriona, który też był wydawcą jednej z lokalnych gazet, których malutkie Hannibal miało aż siedem. Jest to jeden z symboli tego okresu Ameryki, na który przypadają młodość Twaina, o czym za chwilę.

Lincoln nazwał amerykańskie drukarnie „uniwersytetami ubogich chłopców“. I tak rzeczywiście było. Niejedno znamienite nazwisko w historii i kulturze amerykańskiej związane jest właśnie z drukarnią.

Wydaje się, jakby kaszty wywierają osobiwą magię na parę pierwszych pokoleń amerykańskich. Składanie czcionek było widać ciągią zachętą do osobiwej lektury. Cudze myśli skłaniały do snucia własnych, potem do przelewania ich na papier, do głoszenia ich publicznie w druku lub żywym słowie. W miarę jak Ameryka posuwa się od wschodu ku zachodowi, ogrania ją i wręcz porywa prawdziwa żądza oświaty, wiedzy i kultury.

Zaczyna oryginalną twórczość gawędziarz przy nocnym ognisku zakładającego się obozu, czy w „saloonie“ już powstałej osady, zagubionej w pustkowia. Gawędziarz, bazarz, facejonista podsyty to homeryckim heroizmem, to błagą w stylu Münchhausena.

Rodzi się specyficzny humor zachodni, burleska oparta o wydętą przesadę i hiperbole, absurd i nonsens; humor, który ratuje przed rozpaczą w tych niesamowitych warunkach i który jest, jak to powiedziano, „śpiewaniem komicznych słów do żałobnej melodii“. Pesymizm łączy się tu z optymizmem, zjawisko tak częste, tak charakterystyczne dla amerykańskich pisarzy. Na tym tle można zrozumieć aforyzm Twaina,acytowany poprzednio, że „istotnym źródłem humoru jest nie radość, lecz ból. Dlatego niebo wyprane jest z humoru“. Wytwarza się specjalny styl mowy i styl wolnej swobodnej narracji, opartej o częstą grę słów, o addideacje, ekiwoki, kalambury, o mieszaninę wyrazów z różnych języków od łaciny po dialekt i gwary przetykane indianizmatami, (a w literaturze pisanej jeszcze dotądkowo o umyślnie znechanie się nad ortografią i stosowanie jako jednego z „zabiegów“ humoru pisowni fonetycznej, co w języku angielskim, jeśli nie jest nadużywane, daje rzeczywiście bardzo nieraz zabawne efekty. Cała ta twórczość krąży z miejsca na miejsce, z ust do ust, nieco odmienia się, wreszcie przechodzi w druk, najpierw stawszy się tak bardzo folklorem, że ten sam motyw, to samo nawet opowiadanie znajdzie się potem u kilku pisarzy równocześnie,

choć żaden z nich nie dokonał plagiatu. Oto choć jeden przykład:

Jest następujące powiedzenie Twaina: „Bądźmy wdzięczni za istnienie głupców. Gdyby nie głupcy, reszta z nas nigdy nie miałaby powodzenia“. Lecz już przed nim tę samą myśl wyrażał inny humorysta, Josh Billings: „Boże, błogosław głupcom! I spraw, żeby nie zanikli! Bo gdyby ich zabrakło, mądrzy ludzie nie zdołaliby zarobić na życie“. Obaj ci pisarze tak zresztą odmiennej rangi zacerpnęli swą sentencję zapewne z popularnego obiegowego powiedzenia. Sam Twain w starości opowiadał o wypadku który, jak był o tym przekonany, zdarzył mu się jako chłopcu. W rzeczywistości, krytycy dowiedli, że owo zdarzenie żywcem idzie ze słynnej podróbki, tzw. „autobiografii Davy Crocketta, a do tej legendy dostało się, Bóg wie, z jakich źródeł.

### III

W roku 1865 — roku zakończenia amerykańskiej wojny domowej — Horace Bushnell wygłosił w Yale mowę na temat „Nasz obowiązek względem poległych“. Jednym z obowiązków, które wymienił, było żeby „odtąd pisać nie po angielsku, lecz po amerykańsku. Zdobyliśmy własną pozycję, mówił wybitny orator, więc teraz musimy mieć i własną cywilizację, snuć własne myśli, rymować według własnych iloczasów“.

Człowiekiem, który w cztery lata później miał pokazać, jak się pisze „po amerykańsku“, był Mark Twain w swej książce „Innocents Abroad“.

Pozostanie jednak faktem, że Twain był pierwszym pisarzem dużego talentu, który przetopił najrozmaitsze, dotąd „ludowe“, a nawet folklorystyczne wątki, motywy, tematy, elementy i nadał im walor nie tylko artystycznego stylu, lecz także i postawy.

Do czasu jego wystąpienia, żeby w innej formie powtórzyć myśl już wypowiedzianą, istniała literatura „w Ameryce“, wyłącznie na wschodzie, zapatrzona trwożliwie w angielskie i francuskie, a trochę w niemieckie wzory i w stosunku do wzorów receptywna. Natomiast literatura „amerykańska“, ze swą rodzimością zrodzi się na zachodzie. Z resztą owa „Ameryka“, jaką dość nieskrytalizowanie mamy na myśli, gdy wypowiadamy to słowo, tak niby do Europy podobna, a równocześnie tak irytująca od niej inna, powstaje, tworzy się dopiero w czasie dzieciństwa, młodości i lat męskich Twaina. Myśliwiec, traper, farmer, hodowca, cowboy, górnik i prospector coraz to innych kruszców zawartych w łonie ziemi, spekulant terenami, szuler, awanturnik, oszust na małą i wielką skalę, kupiec, fabrykant, przemysłowiec, szeryf wymierzając nieskomplikowaną sprawiedliwość jak homerycki bóg, kolejne sławne

„goączki“ srebra, złota, węgla, nafty, stali: to właśnie czasy, z „Wujem Tomem“ i „Wujem Remusem“ składające się razem z wymienionymi symbolicznie — i niewymienionymi — postaciami i pogoniami na tę stającą się Amerykę i jej problemy, niektóre nierozwiązane do dziś dnia.

Lecz pod tymi wszystkimi gwałtownymi falami, toczącymi się ku Oceanowi Spokojnemu na amerykański zachód, z całą ich pierwotną, pionierską romantyką rozmachu, heroizmu, spekulacji; zadziwiającej nieraz prostoduszności, to jest tego co anglosasi nazywają słowem „innocence“, ale i niepojętego zła, spodem siedł głęboki nurt, o którym nie pamiętamy: szczerze, naiwne, spontaniczne, niewiarygodnie silne pragnienie wiedzy i cywilizacji. W tym czasie pewien Anglik, Edward Hinston, zwiedzając ten olbrzymiejący i gwałtownie się zmieniający kraj, pisze: Ameryka, to „jedna sala odczytowa na olbrzymią skalę... w Stanach Zjednoczonych głos wykładowcy nie milknie nigdy“.

Brudne i szulerskie osady górnicze, w których trup zamordowanego na ulicy człowieka przestał nie tylko być sensacją, ale wywołać zdziwienie, składają się na utrzymanie — opery. W nowo zakładanych miejscowościach obok najważniejszych budowli publicznych, obok kościoła czy kościołów najrozmaitszych wyznań i sekt, jedną z pierwszych potrzeb jest budynek z salą odczytową. Mogą tu nawet wisieć osławione napisy w rodzaju „uprasza się nie strzelać do wykładowcy“ czy „do pianisty“, lecz nawet ludzie, którym trzeba przypominać aż tak pierwotne zasady savoir-vivre'u, przychodzą tłumnie, płacąc za bilet wstępu i słuchają jeśli nie ze zrozumieniem, to przynajmniej z uwagą, jak na przykład Oscar Wilde — a tak! — przybyły wprost z Londynu wygłasza swoje fajerwerkowe paradoksy na tematy tak od ich życia odległe, jak „współczesny upadek smaku w sztukach“. Napisał ktoś wówczas spoglądając na taką publiczność i takie miejscowości: „Osady mogą być prymitywne, ich mieszkańcy na wpół zdziczali, ale jednak i w tych ludziach jest coś z dziedzictwa osiemnastu wieków cywilizacji“.

Można powiedzieć, że cywilizacja tych olbrzymich regionów, jak kiedyś w Grecji, jak z resztą każda cywilizacja dawna, powstała oralnie — to jest przekazywana z ust do ust. A więc — ze słuchu, ze słuchania, z przepowiadania jak ... królestwo boże. Tylko, że w wypadku amerykańskiego Midwestu i Farwestu obserwujemy ten olbrzymi proces powstawania, przekazywania, utrwalania i powielania cywilizacji, jakby własnymi oczyma. Jej elementem ro-

dzajnym i jednym z najwালniejszych jest opowiadanie, przeróżne formy, w każdym razie słowo. Na początku jej było słowo... I jak powiada angielski znawca amerykańskiej kultury owego okresu, owa publiczność przepadała przede wszystkim za słuchaniem żywego słowa.

Z resztą w kraju, w którym tyle najważniejszych funkcji i stanowisk zależy od wyboru obywateli, umiejętność operowania słowem stanowi niezbędne wyposażenie i jest zasadniczego znaczenia, kapitałem, jeszcze większym niż kiedyś retoryka w Rzymie.

A więc słuchanie i przemawianie. Dwie ambicje, które też są potężnym bodźcem do pracy nad sobą i lektury, żeby było czym zasilać swoje przemówienia.

Znany pisarz tego okresu, Artemus Ward, a odegrał on też pewną rolę w życiu Twaina, opisuje scenę, która wymownie maluje tę żądę słuchania i przemawiania:

„Pewnego dnia odbywała się w Ohio czekucja. I szeryf zanim umocował sznur naokoło szyi mordercy, zapytał go, czy jednak nie ma czegoś do powiedzenia.

— „A jeśli nie ma, wykrzyknął na to znany lokalny mówca, szybko przepychając się przez gęsty tłum ludzi stojących wokół szubienicy — jeśli nasz współobywatel urodzony pod nieszczęśliwą gwiazdą, nie odczuwa skłonności do wygłoszenia mowy, a nie spieszy się (na drugi świat), to ja bym chciał skorzystać z tej okazji, żeby wygłosić kilka uwag na temat konieczności wprowadzenia nowej taryfy ochronnej“...

Czyż to prawdziwe wydarzenie nie wygląda jak jedna z tych niewiarygodnie ryzykownych sytuacji, które tak lubił wymyślać w swych książkach Mark Twain? Toć człowiek, który napisał opowiadanie „Jak redagowałem gazetę rolniczą“, mógł też być napisać „Jak wyręczyłem skaźniaka i wygłosiłem przemówienie spod szubienicy!“ W każdym razie, taki to świat znalazł swego barda w Twainie. Nie jest to pierwszy jego piewca, Twain bowiem miał swych poprzedników. Jednak tylko u Twaina ten świat pozostał żywy do dziś dnia, ze swym złem i dobrem. Tak żywy, że obecnie w Ameryce dzięki czy raczej: wbrew powieściom i opowiadaniom Marka Twaina wzbudza falę nostalgii, która tamte czasy oziada romantyzmem i rzuca zasłonę na ich ciemne strony. Hasło Johna Kennedy'ego o New Frontier było także ...hołdem dla siły ewokacyjnej pisarza, może jedynym z największych hołdów, choć jest rzeczą wątpliwą, czy ten, kto pisał przemówienie prezydentowi, zdawał sobie z tego sprawę.

(dokończenie w następnym numerze)

Jan Tokarski

PAWEŁ HĘCIAK

# Piłka nożna

Piłka nożna, zrodzona przed stu laty w Anglii, potoczyła się nareszcie do Stanów Zjednoczonych. Jest to zjawisko raczej niezwykle, gdyż Stany Zjednoczone przejmowały z Europy z miejsca wszystko, co było ciekawsze, bardziej wartościowe, handlowo opłacalne z każdej dziedziny wiedzy ludzkiej, także z dziedziny sportowej. Z wyjątkiem jednej dyscypliny — piłki nożnej. Wprost nie do wiary, a jednak prawdziwe. Stany Zjednoczone przodują całemu światu w sporcie, zwłaszcza w lekkiej atletyce, tenisie, w koszykówce czy w hokeju na lodzie, choć w tej ostatniej dyscyplinie są słabsi od Kanadyczyków, Rosjan czy Czechosłowaków. Są natomiast kompletnymi analfabetami w piłce nożnej, tej europejskiej piłce. Bo wiedzieć trzeba, że jakkolwiek istnieje tam „piłka nożna“, to poza nazwą, nie ma ona wiele wspólnego z tą piłką, jaką my znamy. Nie jest to bowiem piłka nożna, lecz jakby rugby czy baseball. W tym wydaniu piłka jest w Stanach niesłychanie popularna. Natomiast europejska piłka nożna była zawsze w powijkach. Aż dziw bierze, zwłaszcza że do Stanów Zjednoczonych wędruje od pokoleń tylu Europejczyków, którzy nie mają pojęcia o baseball'u, znają się natomiast wymienienie na naszej piłce nożnej. Mimo to, nie zdołali jej na ziemi amerykańskiej wprowadzić, choć jednocześnie na tym samym kontynencie — w Ameryce Południowej — piłka nożna doprowadzona została do perfekcji, a nawet do kuglarstwa. Tam właśnie piłka nożna wyparła wszystkie inne (w zasadzie) sporty. A czym jest piłka nożna dla wszystkich bez wyjątku krajów południowo-amerykańskich, przekonujemy się co 4 lata na finałach mistrzostw piłkarskich świata.

I nagle wielką zmianą w Stanach Zjednoczonych. Od kilku bowiem miesięcy słyszymy, że powstają tam jakieś ligi piłkarskie, które toczą ze sobą wojny, bo każda z nich chce być ważniejsza, chce mieć uznanie międzynarodowych władz piłkarskich (FIFA), że ściga się czy kaperuje piłkarzy z kontynentu europejskiego. Z Anglii wyjechało już kilku piłkarzy, zachęconych wcale niegorszym zarobkiem. Wyjechali także piłkarze z Niemiec zachodnich i pewnie wkrótce, — bo pieniądz będzie największą przynętą — co lepszy czy sławniejszy gracz jakiegoś europejskiego klubu piłkarskiego skoczy sobie do Stanów Zjednoczonych, by tam dorobić się szybko wielkiej fortuny.

Prawda, piłka nożna (wciąż piszę o

# potoczyła się także do Stanów Zjednoczonych

piłce nożnej w europejskim pojęciu) ma pewien rodowód na ziemi amerykańskiej, bo kroniki mówią, że już w 1913 roku piłka toczyła się na tamtejszych boiskach. Pewnie krótko, bo później niewiele o niej pisano, gdyż tematem numer jeden było rugby, czyli ichnia „piłka nożna”. Piłka nożna, z ustalonymi w Europie przepisami, była jednak dla „tough american boys”, za miękka, mało atrakcyjna. Nie łamano kości, nie koszone przeciwników, na boisku nikt życia nie tracił, wszystko to razem było więc dla widza amerykańskiego za łagodne, za delikatne. Innymi słowy — był to tylko „sissy sport” czyli sport dla mięczaków, czy mamusinych synków.

Przełom przyniósł dopiero ubiegły rok, a w szczególności odbywające się w Wielkiej Brytanii finały światowych mistrzostw piłkarskich. Jak pisze Arthur Steiner z Nowego Yorku w korespondencji w znanym szwajcarskim piśmie „Neue Zürcher Zeitung”, gdy Amerykanie oglądali w telewizji to co się działo wśród widzów na różnych stadionach angielskich, to jakkolwiek nie bardzo rozumieeli przepisy i na piłce właściwie się nie znali, i gdy już później zobaczyli u siebie drużyny brazylijskie ze słynnym Pele czy włoskie, to doszli do przekonania, że w tym coś jest, że tu także można zarobić.

I oto w kwietniu br. rozpoczyna się po raz pierwszy w licznych miastach amerykańskich turnieje piłkarskie z udziałem kilkudziesięciu drużyn. Nie ludźmy się — nie będzie to piłka w wydaniu europejskim w tym sensie, że widz amerykański zobaczy świetne zagrania, wspaniałych techników, fascynujące kombinacje. Ostatecznie sto lat graliśmy w Europie w różnych krajach, by osiągnąć dzisiejszy poziom albo... trzeba by mieć talenty południowoamerykańskie, które rodzą się tam na kamieniu. Niemniej będzie i Ameryka miała naszą piłkę nożną. Czy zdobędzie sobie ona z miejsca tłumy? Czy stanie się tam taką samą pasją jak w Europie? Czy będą kibice amerykańscy biegać co soboty — a może niedzieli — na stadiony, i zdzierać gardła, i śpiewać, i skandować tak jak to widzimy w Anglii? Za wcześniej oczywiście prorokować, lecz życzylibym tego Amerykanom północnym z całego serca, gdyż w ten sposób zwiększyłaby się światowa rodzina piłkarska o naród, który licząc 200 milionów mieszkańców, chyba potrafiłby wychować sobie talenty tak

jak to się dzieje w innych krajach. Wtedy może nie Meksyk — jak to się zdarza od wielu lat — reprezentowałby kontynent północnoamerykański w finale światowych mistrzostw piłkarskich a — dla odmiany — Stany Zjednoczone. Lecz to będzie aktualne dopiero za trzy lata — na nowych mistrzostwach świata. Miejmy nadzieję, że do tego czasu amerykańska piłka nożna osiągnie wyższy poziom niż naprawdę słaby Meksyk i że zdoła się znaleźć w szesnastce finalistów.

Ale co się dzieje w tej chwili w Stanach Zjednoczonych? Przede wszystkim powstały po raz pierwszy dwie odrębne ligi piłkarskie, za którymi stoją bogaci finansisci: właściciele klubów baseball'owych, czy potężna telewizja amerykańska: Columbia Broadcasting System (CBS). Jedni i drudzy doszli do wniosku, że tu można zrobić pieniądze, że ten interes piłkarski warto prowadzić, że powiązawszy to wszystko z typowo amerykańską reklamą może uda się ściągnąć miliony widzów na boiska. Powstały więc dwie ligi: Ligi Północnoamerykańska i National Professional Soccer League. W skład pierwszej ligi wchodzi 22 drużyny (w dużym stopniu z graczami importowanymi z Europy). Ta liga może się poszczycić jednym: została uznana przez FIFA, z drużynami tej Ligi będą więc mogły rozgrywać spotkania wszystkie drużyny z całego świata (jeśli ich władze krajowe należą także do FIFA — rzecz jasna). Zwiększa to oczywiście znacznie atrakcyjność tej Ligi i należących do niej klubów. Ta liga rozgrywać będzie mecze w 12 miastach amerykańskich. Natomiast druga liga — National Professional Soccer League — dysponować będzie 10 drużynami z 10 różnych miast. A nadto — i to jest jeszcze ważniejsze — rozporządza olbrzymim kapitałem 1 miliona dolarów, na zasadzie umowy zawartej z telewizją.

Jak już wspominałem obydwie ligi skazane będą do pewnego stopnia na graczy zagranicznych, z krajów południowoamerykańskich i europejskich. Istnieje nadzieja na własny narybek, bo podobno w 2.000 szkołach średnich i w 500 college'ach wprowadzono już piłkę nożną. To jednak nie jest jeszcze wszystko. Trzeba nadto wychować ogromną ilość sędziów, boisk jest poddostatkim), trzeba piłkę spopularyzować, trzeba wypracować własny styl gry. Zapewne wiele wody upłynie zanim Ameryka dysponować będzie graczami własnego chowu. Niemniej początek jest

zrobiony. Byłoby oczywiście lepiej, gdyby zamiast dwóch, istniała tylko jedna liga dla graczy zawodowych. Ale tu pewnie wchodzi w grę takie siły, że żadna ze stron nie ustąpi w nadziei, że ten kto dysponować będzie większymi pieniędzmi, będzie mógł kupować najlepszych graczy z całego świata, by utrzymać się na powierzchni.

Niemniej dobrze się stało, że ta luka w sporcie amerykańskim została nareszcie wypełniona i że wkrótce ujrzymy na wszystkich boiskach świata drużyny amerykańskie. A znając zaciętość i ambicje Amerykanów z innych dziedzin i z innych gałęzi sportowych, należy mieć nadzieję, że importowani spoza Ameryki trenerzy doprowadzą za lat kilka drużyny amerykańskie do obecnie obowizującego w piłce nożnej poziomu.

## BILETY

KOLEJOWE,  
SAMOLOTOWE,  
OKRĘTOWE

Formalności związane  
ze sprowadzaniem rodzin  
z Kraju  
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

## TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16  
47, Gt. Western St.  
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2  
39, Corporation Street  
Tel. MID 1526

Do różnych gatunków homo sapiens, jak autoludzie, aeronauci, ludzie-żaby, bitlesi itp., stworzonych przez wynalazczy wiek XX — sezon urlopów dodaje jeszcze jeden o wymownej nazwie Turystyczne Minipchełki, skrót TMP (nie mieszać z MP, chociaż wielu z nich da się podciągnąć pod tę kategorię). Te międzynarodowe nowotwory mają po 6 nóg (dwie własne rzadko używane plus 4 autokarów lub taksówek), albo dwa nie-ikarowe skrzydła, przy pomocy których skaczą z kraju do kraju i po krajach. Nie swoich, naturalnie. Czym więcej krajów obskaczą w najkrótszym czasie, tym są bardziej ze siebie zadowolone. TMP żerują na obskakiwanych krajach, a te z kolei — żerują na TMP, czyli wszystko ukiada się najlepiej na tym najpiękniejszym ze światów.

TMP posiadają wiele cech naszych praocjców małp, popędzane przez marionetkowych przewodników poruszają się stadami, mnożą się jak króliki, a obżerają jak świnię — wszystko w tym celu, aby poznać dogłębnie zwiedzane kraje. Nie oszczędzają kosztów, ale za to skąpe na prawdę reklamy oraz turystyczne wyczyny mini-pchełkowych sąsiadów wprowadzają nasze TMP w stan takiej hipnozy, że przez jedenaście miesięcy co roku pogrążone są w znużonym śnie codzienności. To nie przeszkadza im jednak szykować się psychicznie i fizycznie do kilkutygodniowych skoków w najodleglejszą dal, przy czym szykowanie jest tak absorbujące, że nie starcza czasu na turystyczną lekturę (prócz reklam, oczywiście!)

Po powrocie do własnej chałupy z wymarzonych blitz-skoków, pełne wrażeń TMP opowiadają niezainteresowanemu słuchaczom streszczenie treściwych programów wycieczek, dodając do tego, z własnej już inicjatywy i obserwacji, pasjonujące opowiadania mniej więcej w tym stylu: ... a więc w 12 dni zwiedziliśmy pół świata, byliśmy w... (tu następuje szczegółowe wyliczenie kontynentów, krajów i miast, latwych do znalezienia na globusie). Nadzwyczajna ta technika dzisiaj! Z New Yorku skoczyliśmy do Kopenhagi, nie uwierzysz, głupich kilka godzin i świetny lunch, iście francuski, befsztyki z czypсами, rozpyływały się w ustach. Po czym głuchym uszom opisują dalej, jeszcze bardziej szczegółowo: Rzym, no cóż, święte miasto, Papież, Colloseum — bajeczne, wiadomo, zrobili mi tam w dwa dni dwa n a s c i e sukienek, robocizna grosze, falbanki, wcięcia a la Récamiar, a wykończenie! no zresztą sama zobaczysz... Paryż to Paryż, you know, światła, bohema, no i ta Mona Liza, fantastyczna! Wystawa Picasso? Ach, tak, przelecieliśmy, też ładne, ale powiedział mi jeden bardzo przystojny malarz, że artystycznie to nie poziom,

MINA TOMKIEWICZ

**TMP**

## czyli turystyczne mini pchełki

natomiast kupiłam sobie wdzianko-poe-mat, to jest prawdziwy Paryż, ten charm, ten szyk, u nas mogliby się uczyć... Tak, Hiszpanię też odwaliliśmy, wzdłuż i wszerz w trzy dni, bardzo zimno, ale słońce świeci, byków jeszcze nie było, ale ręcznie haftowane obrusy, bajeczne, a ich raki — palce lizać, mam przepis...

„Podróże rozszerzają horyzonty kulturalne i kształca, tudzież znoszą sztuczne bariery między ludźmi. Ale nie ma jak w domu!“, konkluduje zwykle glob-treterskie opisy Minipchełka płci żeńskiej, która na ogół we wszystkich obskakiwanych krajach posługiwała się tylko jednym językiem, ale za to własnym i ostrym.

Męski odpowiednik TMP jest, co prawda, mniej entuzjastyczny w opisach zwiedzonych miejsc, natomiast po 2 dniach pobytu tu czy tam doskonale orientuje się w ich strukturze ekonomicznej, politycznej i społecznej, jak to zwykle mężczyźni. Wobec tego urbi et orbi rozda je gratis bezcenne rady odnośnie najbardziej zdawałoby się skomplikowanych problemów, a robi to głosem głębokim, bezapelacyjnie: Rzym, niczego sobie, ale drożyna, straszna, nie na te idiotyczne przepisy dewizowe, hahaha. A Włosi to złodzieje, wyobraźcie sobie w hotelu dopisali do rachunku obiad, którego nie tknąłem, te ich ravioli-szmawioli, niech sobie Włosi tyją, ja dbam o serce, lepiej by podciągnęli swoją politykę, bałagan, czysty bałagan, jeżeli w krótkim czasie nie zrobią porządku, to... W tym miejscu męski TMP wylicza długi szereg włochoburczych postulatów, mieszając z błotem wszystkie tubylcze struktury. Tak samo o innych obskakanych krajach, z tym że na ogół przepisane przez niego polityczno-ekonomiczno-społeczne leki własnej produkcji są ludzaco podobne do siebie, do wstępnych artykułów z Timesa i do niego samego.

Aha, bardzo ważne! Powyższe wywody TMP rodzaju męskiego ilustruje specjalnie na ten cel zaproszonym gościom kolorowymi przezrociami, które w pocie czoła kupił lub zrobił osobiście. Specjalnie w tym celu zaproszeni goście muszą podziwiać budynki i krajobrazy, których często gościnny gospodarz nie może umiejscowić, a także zdjęcia podstarzałej TMP na tle powyższych budynków i krajobrazów. W oryginalnych pozach, czasem w towarzystwie innych, gościom nieznanych, towarzyszy podróży. Goście nie mogą uciec nawet po 2 godzinach przezroczy, bo

przezorni gospodarze podają kolację lub drinka po porcji przezroczy, nigdy zaś przed.

Skakanie po rozkleklamowanym świecie doskonale wpływa na samopoczucie TMP obu płci, pozwala im przetrwać przeciągający się „zimowy sen“, leczy kompleksy i podreperowuje morale nadwężone przez nie doceniających ich bosów, chućpowate pomocnice domowe lub niesłowne krawcowe. „Wyobraź sobie, za marnych 7 pensów napiwku skaczą koło ciebie, jak wokół udzielnej księżnej, gracias, obligate itd. Znoszą walizki, przynoszą walizki, czyszczą buty, nawet uśmiechają się, przyjemnie, prawda?“. Do czego ekonomiczne nastawiony małżonek dodaje protekcyjnie: „No cóż, nie mogliby żyć bez naszych dolarów, funtów, marek, pomaga im się, pomaga, tylko żeby oni chcieli mnie posłuchać...“ I da capo al fine — twórcze rady z zakresu wszystkich dziedzin, których nasz kosmopolitycznie nastawiony TMP nie zdążył nawet liźnąć, ale o których decyduje szybciej i z większą pewnością siebie, niż o kupnie krawata lub odpyskowaniu gderliwej sekretarce. Nie mówiąc już o żonie.

Nie ma to jak podróże! Kształcą i rozszerzają horyzonty!

### NOWOŚĆ!

#### Kazimierz Sosnkowski MATERIAŁY HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerzemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały“ jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720.

Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queen's Gate Terrace,  
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

Tak jak starożytna Grecja miała na początku swych dziejów siedmiu mędrców, tak i Polska w okresie rozkwitu swej filozofii podczas niepodległego dwudziestolecia miała ich co najmniej tyłu, ale można by się ich doliczyć do dziesięciu. Tworzyli niemal zwarcie jedną szkołę, tzw. lwowsko-warszawską z patriarchalnym Kazimierzem Twar-

### (Dokończenie ze strony 3)

knym parku... tu się lepiej rozmawia aniżeli w zamkniętym gabinecie. Słyszałem — ciągnął Marszałek — iż pan jest znakomitym lekarzem. Od mej wczesnej młodości fascynowała mnie medycyna. To wspaniała i jakże dla ludzkości potrzebna wiedza naukowa... niestety, odnoszę wrażenie, iż za wyjątkiem chirurgii, która czyni postępy niemal z dnia na dzień, prawie wszystkie inne gałęzie wiedzy medycznej są ciągle jeszcze w okresie „zabkowania“, mimo widocznych postępów. W wielu jeszcze chorobach medycyna nie może przyjść z należytą pomocą człowiekowi...

Z kolei portugalski profesor przedstawił swoje racje medyczne i obaj panowie rozmawiali z zapałem przeszło godzinę nad zagadnieniami współczesnej medycyny. Portugalczyk był, jak to później stwierdzał, do głębi oczarowany uwagami pana Marszałka. Jego bystrością sądów i ujmującym sposobem obejścia. Po przeszło godzinnym spacerze po alejach parkowych obaj panowie wrócili do pałacu belwederskiego.

O umiędzynarodowieniu Niemna, kanałów i innych naszych rzek nie było już w ogóle mowy. Tak się oto zakończyła misja delegata Ligi Narodów.

\* \* \*

Po swym powrocie do Genewy prof. Vasconzellos przedłożył Radzie Ligi Narodów raport, dotyczący swej misji warszawskiej. W raporcie tym podzielił on punkt widzenia Naczelnika Państwa Polskiego, sugerując Radzie, by sprawę umiędzynarodowienia niektórych rzek na wschodzie Polski pozostawić do ewentualnego załatwienia rządowi polskiemu i sowieckiemu. Rada Ligi Narodów po krótkiej naradzie odesłała ten raport do Generalnego Sekretariatu Ligi, aby jak to się mówiło w żargonie genewskim, „nabrał on mocy urzędowej“. Mocy tej raport ten nabierał aż do końca istnienia Ligi Narodów.

\* \* \*

W maju 1935 r., po zgonie Józefa Piłsudskiego, prof. Vasconzellos wygłosił na specjalnym posiedzeniu Rady Ligi Narodów, poświęconym uczczeniu pamięci Marszałka Polski, piękne i gętbokie przemówienie.

Jan Walewski

JAN OSTROWSKI

# FILOZOFIA NA ROZDROŻU

B.D.I.C

dowskim (1866-1938) ze Lwowa na czele. Dzięki niemu i jego następcom rozbrzmiała ona na cały świat. Do niej należał jako pierwszy jego uczeń Jan Łukasiewicz (1878-1956), historyk logiki, a przytem jej najbardziej nowoczesny i twórczy przedstawiciel. Był Władysław Witwicki (1878-1948) psycholog i artysta, który przyswoił polszczyźnie całego Platona. Był Stanisław Leśniewski (1886-1939), arcy-mistrz logicznej ścisłości. Był też Leon Chwistek (1884-1944), również łączący filozofię nauki ze sztuką. Kazimierz Ajdukiewicz (1890-1963), pionier semantyki filozoficznej. Niemal każdy z nich pozostawił po sobie następców i kontynuatorów.

Ale oprócz tych co byli i odeszli jest jeszcze czterech, którzy nadal twórczo pracują, jak esteta i historyk filozofii Władysław Tatarkiewicz (1886), praktyk i teoretyk „Dobrej Roboty“ filozoficznej i prakseologicznej Tadeusz Kotarbiński (1886) oraz dawniej w Wilnie, a teraz w Toruniu Tadeusz Czeżowski (1889), będący niejako wszechstronnym wcieleniem szkoły, w nawiązaniu do zachodnio-europejskiego neo-pozytywizmu. Najmłodszym z tej grupy, i z innej już szkoły jest Roman Ingarden (1893) fenomenolog i teoretyk sztuki.

Osoba prof. Tadeusza Czeżowskiego znana była przed wojną przede wszystkim w środowisku Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, gdzie kształcił i wychowywał całe pokolenia słuchaczy wpajając zasady nowoczesnej logiki i filozofii. Po wojnie kontynuował tę działalność na terenie Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ale do czytelników jego prac i nowych uczniów doszły liczne szeregi czytelników organu Polskiego Towarzystwa Filozoficznego w Polsce, który ma oddziały we wszystkich miastach uniwersyteckich. Jest nim „Ruch Filozoficzny“, założony przez Kazimierza Twardowskiego we Lwowie w r. 1911, 55 lat temu i prowadzony przez niego do śmierci. Przez krótki pozostały czas do wybuchu wojny pismo prowadzone było przez dwie docentki pp. Dąborską i Gromską. Po wznowieniu pisma po wojnie objął jego redakcję prof. Czeżowski i prowadzi ją od 1948 r. do dziś dnia, z przerwą w okresie stalinowskim od 1950 r. do 1958 r., kiedy

Tadeusz Czeżowski: „Filozofia na rozdrożu“, P.W.N., Warszawa, 1965, str. 190.

pismo było zamknięte. To wszechstronne rozbudowane pismo było i jest dotąd najpożyteczniejszym łącznikiem między myślą filozoficzną poza Krajem, a szczególnie na zachodzie, a Polską. Pełni ono tę rolę, pomimo bardzo skromnych środków finansowych, jakimi rozporządza, dzięki wielkiej ofiarności w pracy jego kierownictwa i skupieniu dokoła pisma znacznego odłamu niezależnej myśli filozoficznej, dla której nie byłoby miejsca w wydawanych, niejako z urzędu, marksistowskich „Studiach filozoficznych“.

Oprócz prac takich, jak „Klasyczna nauka o sądzie i wniosku w świetle logiki współczesnej“ (1927), „O pewnym uogólnieniu logiki klasycznej“ (1931) i „Jak powstało zagadnienie przyczynowości“ (1933), prof. T. Czeżowski posiada powojenny twórczy dorobek piśmienniczy w postaci kilku książek; są nimi „Główne zasady nauk filozoficznych“ (1946), których trzecie wydanie ukazało się w r. 1959, „O metafizyce, jej kierunkach i zagadnieniach“ (1948), zupełnie nowoczesny podręcznik uniwersytecki pt. „Logika“ (1949), i „Odczyty filozoficzne“ (1958). W roku 1965 pojawia się niejako druga seria „Odczytów“, którą autor zaopatrzył w znamienny tytuł „Filozofia na rozdrożu“. W tym niewielkim rozmiarom tomie rozpraw autor nie wplątuje się w przemijające, koniunkturalne przemiany zachodzące w polskim i nie tylko polskim ruchu filozoficznym, lecz idąc dalej istotniejszą własną drogą rozmyślań, wskazuje na znamienny moment przelomu we współczesnej myśli filozoficznej, którego staje się niejako jednym z głównych heroldów.

Uderzający jest w tym fakt, że właśnie Tadeusz Czeżowski uchodzący dotychczas za niejako najbardziej ortodoksyjne „czy dokładne wcielenie polskiej szkoły filozoficznej z jej wyraźnymi nawiązaniem do zachodnio-europejskiego i amerykańskiego neo-pozytywizmu, staje się zwiastunem nowych zwrotów na drogach rozwoju myśli ludzkiej i ich niejako przedstawicielem w Polsce. Jednym z założeń neo-pozytywizmu przyjętym przez większość wybitnych filozofów Polski współczesnej było, że wszelka wiedza ludzka, a zatem i w dziedzinie filozofii, oparta być musi o doświadczalnie czy empirycznie sprawdzalne badania naukowe. Stąd wszystko, co wymyka się spod tak dokładnej kontroli, uznane zostało za bez znaczenia, wartości i wręcz za nonsens.

Ofiarą takiego ostracyzmu padły różne odmiany badań filozoficznych, z zakresu teorii poznania, etyki, czy estetyki, a przede wszystkim, wszystko co podpadało pod nazwę metafizyki: wszelkie najogólniejsze rozważania spekulatywne nad zagadnieniami ontologii czy bytu, nad całością wszechświata, nad ostatecznymi celami życia ludzkiego, nad istotą zagadnienia, dobra czy piękna. Wszystko to uznane zostało — mówiąc językiem potocznym — za próżne słowa. I te dziedziny rozważań w akademickiej filozofii wykładanej na uniwersytetach, zachowały się bodaj tylko na wydziałach teologicznych, lub na uniwersytetach o charakterze chrześcijańskim lub katolickim, gdzie były podstawową częścią krzewionych systemów filozofii. Tam znajdowały schronienie i warunki dalszego rozwoju.

Nie mniej, już od pewnego czasu, w świadomości niektórych, nawet dotychczas zaciętych przeciwników metafizyki, zaczęła następować przemiana poglądów. Równocześnie z postępującą specjalizacją w dziedzinie nauk filozoficznych, jak logika i psychologia, uważana niekiedy wręcz za naukę przyrodoznawczą, teoria poznania, etyka i estetyka, utrzymywała się przekonanie, że „istnienie sięga dalej, aniżeli ludzkie doświadczenie“. Zrozumiano też, że jeśli ta pozaempiryczna dziedzina istnienia jest naukowo niepoznawalna, niekiedy nawet przy pomocy spekulacji metafizycznej, to nie mniej można przez ekstrapolację snuć przypuszczenia, różniące się od hipotez naukowych tym, że nie są podatne na uprawdopodobnienie, nie mniej przez swe bogactwo możliwych rozwiązań przedstawiają pewną wartość poznawczą.

Przekonano się nadto, że „próżne są roszczenia do uzyskania światopoglądu, który by był wśród innych jedynym naukowo uzasadnionym“. Poza poznaniem rozumowym i analitycznym dopuszcza się też poznanie intuicyjne, bezpośrednie i całościowe. Zresztą hasła nauki wolnej od metafizyki okazały się bezpodstawne, gdyż dokładniejsze analizy podstaw nauki wykazały, że nie ma tzw. poglądów naukowych, które nie byłyby podszyte milczącym przyjętymi założeniami metafizycznymi. Stąd od dobrych dwóch dziesiątków lat datują się żywe zainteresowania Tadeuszem Czeżowskim sprawą metafizyki i próbami opracowania jej zagadnień pod względem metodologicznym. Przekonał się on przy tym, że niektóre z tych zagadnień spełniają warunek poprawności naukowej, a mianowicie, między innymi tzw. kryterium intersubiektywnej sprawdzalności. I te dopuszczalne naukowo konstrukcje metafizyczne są właśnie nieodzownym składnikiem tzw. naukowego poglądu na świat.

To jest to istotne miejsce rozdroża w zakresie zagadnień ściśle filozoficznych. I w tym momencie, kiedy filozofia staje na rozdrożu między dwoma drogami, jedną wiodącą ku rozplynięciu się w nauce empirycznej, a drugą — ku zachowaniu swojej własnej sfery, dociekań. Czeżowski czyni takie wyznaczenie swej własnej wiary filozoficznej: „nie chcę... zaliczać siebie do tej, czy innej szkoły lub kierunku filozoficznego... ale ... z jednej strony przyznając słuszność wielu twierdzeniom pozytywizmu w jego współczesnych odmianach, z drugiej strony natomiast skłaniam się ku tendencjom maksymalistycznym nowoczesnej metafizyki, zrzekając się jednak wszelkiego dogmatyzmu, w klasycznym rozumieniu tego pojęcia, jako przeciwieństwa sceptycyzmu“.

Stanowisko ostrożne, rozważne i postępowe, w znaczeniu nie zamykania się w jakiejś doktrynie, ale nawiązania do odwiecznych prądów wielkiej myśli filozoficznej. To wydaje się kwintesencją tytułowej rozprawy nowej książki T. Czeżowskiego. Reszta składa się z fachowych rozpraw, dotyczących różnych podstawowych zagadnień metodologicznych, przeznaczonych dla tych, którzy interesują się niejako stroną techniczną nowoczesnych rozmyślań filozoficznych. Wymagają pewnego wyrobienia w abstrakcyjnym myśleniu, a przy tym są doskonałą odtrutką na łatwizny literackich dywagacji filozoficznych.

Równocześnie niemal z „Filozofią na rozdrożu“ Tadeusza Czeżowskiego ukazały się „Pogwarki na rozdrożach“ Tadeusza Kotarbińskiego, zawarte w tomiku, zatytułowanym „Medytacje o życiu godziwym“ (1966). Uderzającą jest zbieżność tu i tam „rozdroży“, choć w tym drugim wypadku chodzi już o tkwiącą w nurcie dnia dzisiejszego, etyczną technikę życia.

J. Ostrowski

## WYDAWNICTWA NADEŚLANE

UNIVERSITY OF CRACOW DOCUMENTS CONCERNING ITS ORIGINS, ze wstępem Leona Koczego, wydane pod auspicjami MILLENNIM POLONIAE CHRISTIANAE, SCOTIA, 1966, str. 95, XII tablic. Zbiór kilkunastu cennych dokumentów związanych z historią najstarszego uniwersytetu polskiego.

LEGENDY I OPOWIADANIA HISTORYCZNE, teksty opracowali: M. Gołowski, A. Kisielnicka, M. Reszczyńska-Stypińska, J. Żerdzińska, układ i redakcja — M. Gołowski, ilustracje Ireny Ludwig, wydanie Polskiej Macierzy Szkolnej za Granicą, 1966, str. 48

i 13 ilustracji. Zbiorek zawiera 12 utworów ukazujących baśniową przeszłość Polski. Książeczka wzbogaca chlubnie biblioteczkę dziecka polskiego poza Krajem.

Jerzy Braun, MOJA MATKA, (Fragmenty poematu), wyd. ODNOWA, Londyn, 1967, str. 96. Zbiór podzielony jest na pięć cykli, które stanowią jakby przekrój życia poety.

Josef Pieper, O SPRAWIEDLIWOŚCI tytuł oryginału Über die Gerechtigkeit przełożył A. Czuliowski, wyd. ODNOWA, Londyn, 1967, str. 101. Analiza różnych aspektów sprawiedliwości w oparciu o filozofię św. Tomasza.

...Kajetan Morawski, WZORAJ pogadanki o niepodległym dwudziestolecu, okładka — T. Terlecki, nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967, str. 238.

Henryk Przyborowski — RAPORT KARNY, zbiór opowiadań, okładka — Irena Ludwig, nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, str. 240.

Herminia Naglerowa, WIERNOŚĆ ŻYCIU, powieść, opracował i wstępem opatrzył Tymon Terlecki, okładkę projektował F. Matyjaszkiewicz, nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967, str. 237.

Aleksander Janta, KSIĘGA PODRÓŻY, PRZYGÓD I PRZYPOMNIENI, okładkę projektowała D. Laskowska, nakł. Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967, str. 239.

Ryszard Kiersnowski — REPORTAŻ SPOD CIEMNEJ GWIAZDY, wspomnienia korespondenta wojennego, okładkę projektował T. Terlecki, nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967, str. 239.

ALMANACH OBWU (Związku byłych Żołnierzy Ukraińskich w W. Brytanii), 1949-1964, nakł. Związku, Londyn, str. 152.

THE POLISH REVIEW, vol. XI, Nr. 4, jesień 1966. Zawiera artykuły: Francis D. Lazemby — Galli Anonymi Chronicon; Jadwiga I. Daniec — The Bronze Door of the Gniezno Cathedral; Janusz J. Tomiak — A British Poet's Account of the Raising of the Siege of Vienna in 1683; Ronald C. Monticone — The Catholic Church in Poland; Thomas Schultbeiss — What Came First — Kościuszko or the American Revolution? Wyd. Polish Institute of Arts & Sciences in America, Brooklyn, USA.



naukowa i „naukowa“, nieprzeparte pragnienie poprawienia czegoś o czym się nie wie. I szczerze życzyliw rady. Niewiedza niemiecka jest niewiedzą zdyscyplinowaną i udokumentowaną. Jeśli „Taschenbuch“ z którego niewiedzący czerpie swą niewiedzę się myli, to nie można na to nic poradzić, nie należy nawet starać się temu zaradzić, inaczej niż pisząc nowy „Taschenbuch“. Europa Śródziemnomorska posiada niewiedzę najprzyjemniejszą. Jest pełna żywego zainteresowania, wykrzykników i okrzyków zdziwienia. Jest to niewiedza przychylna. „Povera Polonia, tanto povera e tanto ricca“ — zapewnił mnie przemily kelner w historycznym Café Greco. Niewiedza nowych narodów afrykańskich i odradzającego się panarabizmu jest niewiedzą starannie wycuczoną, dzięki pracy agitpropów komunistycznych i światobliwej lewicy z London School of Economics. Nie chcę ubliżać elicie intelektualnej Sierra Leone lub Tanzanii, lecz przykład krowy i murzyna Kali z Sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy“ ma pełne w stosunku do nich zastosowanie. Attaché prasowy jednej z ambasad afrykańskich dowodził mi, że Polacy nie powinni byli „w okresie października“ porzucać alfabetu wschodniego i kazać się „swym biednym dzieciom uczyć łacińskiego, dla przypodobania się Amerykanom“.

Wreszcie, niewiedza francuska. Tu „esprit gaullois“ święci beztrojskie triumfy od stuleci. Jest to niewiedza zaczepna i napastliwa. Francuz nie tylko nie wie niczego o niczym co nie jest francuskie lecz nie chce wiedzieć. Tak sobie postanowił pewno za czasów Corneille'a i raz postanowiwszy od postanowienia nie odstępuje. Jedną jest tylko miara wartości każdego innego kraju: jest nią ilość dobrodziejstw kulturalnych, które Francja mu łaskawie ze swego rogu obfitości nasyła w podolek. Bezdenną ignorancję wynagradza sobie potomek Voltaire'a i Tartarin de Tarascon'a niebosięzną arogancją.

A niewiedza nasza o innych? O, to zupełnie inna historia.

### KWIECIEŃ

Kwiecień najpiękniejszy jest w Paryżu. Może dlatego, że chmury zabarwiają się na różowo nad Consiergerie a nad miastem unosi się nie miłość jeszcze, lecz zapowiedź miłości. Można już bez obawy zaziębienia usiąść przy stoliku na dworze i przyglądać się ludziom. Można zmęczyć się spacerem, takim zmęczeniem co daje nie tylko dobry sen lecz i wyczerpie myślom. Można wtedy marzyć o tych latach co mi jeszcze pozostały. Marzyć nie planować. I można bez żalu liczyć te co już minęły. Bo ileż pięknych skrawków krajobrazu, ileż twarzy kobiecych, ileż wzbuchów śmiechu, ileż dobrych słów odcisnęło ci się w pamięci i uczyniło cię bogatszym od najbogatszego? Trzeba tylko od czasu do czasu otworzyć własny skarb i wydawać z niego pełną garścią.

Patrzę na piękny w swej brzydocie pomnik Michała Archanioła i widzę kwietniową pogoń chmur nad zielenią łąk co ciągną się nad leniwą Lutynią w jarocińskim powiecie. Widzę bez tęsknoty lecz z wdzięcznością za to, że je kiedyś widziałem i że mi nawet Jarosław Iwaszkiewicz miłego obrazu popsuć nie potrafił.

J. P. H.

### KIEDY NASTĘPUJE ŚMIERĆ?

Kilka tygodni temu prasa doniosła, że lekarze potrafili przywrócić do życia człowieka w półtorej godziny po „zgonie“ — wypadek, który dotychczas prawdopodobnie nie był jeszcze notowany. Niedawno także zwłoki pewnego Amerykanina, który zmarł na raka, zostały złożone w „lodówce“, by przywrócić je do życia w przyszłości, kiedy postęp wiedzy medycznej na to pozwoli.

Trudność ustalenia dokładnej definicji „życia“ i „śmierci“ jest przedmiotem dyskusji między biologami od dłuższego czasu. Używając nowoczesnej techniki ożywiania, lekarze potrafili wskrzesić człowieka, który wedle tradycyjnych kryteriów bicia serca i oddychania umarł od pewnego czasu. Przy pomocy tzw. ekstra-korporalnej cyrkulacji można doprowadzić pacjenta do stanu zbliżonego do roślinnej vegetacji bez przywrócenia świadomości. Przed trzema laty został zabity strzałem w głowę minister spraw zagranicznych Algeru Kheimisti. Jego serce przestało bić, a mózg uległ uszkodzeniu nie do naprawienia. Po zastosowaniu ekstra-korporalnej cyrkulacji, serce zabitego zaczęło bić ponownie i żył on jeszcze przez trzy tygodnie.

Kiedy, w sytuacji jak powyższa, umarł pacjent? Czy żył on jeszcze przez następne trzy tygodnie? Jak długo powinien lekarz starać się przywrócić do życia pacjenta?

Komisja wyłoniona przez Francuską Akademię Medyczną przyznała, że definicja koreszująca śmierć jako oczywisty zanik życia z powodu braku oddechu i bicia serca „powinna być rozszerzona i uzupełniona.

### PTAKI W MIASTACH

Miasto jest nie tylko zbiorowiskiem ludzi, ale także ptaków, wśród których najczęściej spotykamy wróble, gołębie i kosi. Ornitolog niemiecki W. Erz doszedł do wniosku, że „gęstość zaludnienia“ kosów w parkach miejskich, ogrodach, cmentarzach wynosi mniej więcej dwa gniazda na hektar ziemi, czyli piętnastokrotnie więcej, niż w lasach. Według dr. Erza, łącznie wszystkich gatunków ptaków przypada na hektar: 9 do 16 par w parkach i ogrodach miejskich, 7 do 11 par w zwykłych dzielnicach mieszkalnych, 5 do 6 par w centralnych częściach miasta oraz 4 pary w dzielnicach przemysłowych, co daje wyższą przeciętną, niż w miejscach niezamieszkałych.

Przyczyną tego są: cieplejsza zima w mieście, więcej pokarmu (z odpadków

i świadomego żywienia przez ludzi), a jednocześnie więcej dogodnych miejsc dla zakładania gniazd. Ilość ptaków w miastach jest znacznie większa w zimie niż w lecie. Zmiany te można zaobserwować nie tylko w centralnych częściach miasta, ale i w parkach i ogrodach. Kosy, których głosy rozbrzmiewają po miastach na wiosnę, z trudem można zobaczyć między lipcem a wrześniem, lecz wracają jesienią szczególnie w listopadzie.

### ALGA W MOJEJ ZUPIE?

Francuski Instytut Naftowy przeprowadza intensywne studia nad możliwością kultywowania algi jako największego źródła proteiny i witamin. Zainteresowania Instytutu datują się od roku 1963, kiedy zaczęto studia nad algą, której dotychczas nie podejrzewano o tak wysokie wartości odżywcze — choć wiadano, że mieszkańcy w okolicy jeziora Czad w środkowej Afryce zbierają algę, którą można odróżnić od innych roślin w wodzie po błękitno-zielonym kolorze i używają jej jako pokarmu w formie sosu. Latem roku 1966 zaczęto hodować algę w specjalnie zbudowanym basenie w Antibes, największej dotychczas stacji hodowli tego glonu. Plon zbierany wynosił 14 gr. na metr kw. dziennie, co daje około 40 do 45 ton na hektar rocznie, przy czym do rośnięcia algi w sprzyjających warunkach klimatycznych, wystarczy świeża woda z dodatkiem soli mineralnej.

Po wysuszeniu, błękitno-zielona alga zawiera około 18% węglowodanów, dużą ilość witamin B1, B2, B12 i C. Lecz niewątpliwie jej zaletą jest bogactwo proteiny, której posiada 62—65%, a więc najwyższy procent ze wszystkich dotąd znanych źródeł pokarmu. Co więcej, znaleziono, że proteiny te posiadają duże ilości kwasu aminowego.

W toku są doświadczenia z żywieniem algą szczurów i drobiu. Zamierza się używać jej w przyszłości jako domieszki do pokarmu bydła hodowlanego, a w końcu, jeśli okaże się możliwe, jako pokarmu dla ludzi.

### „SUPER“ RYŻ DLA AZJI?

Międzynarodowy Instytut Badania Ryżu wyprodukował nowy gatunek ryżu, który komunikat oficjalny określa „jako ogromnie ulepszony gatunek spośród dotychczas uprawianych w tropikalnej Azji“. Zważywszy na głód nieustannie doskwierający narodom azjatyckim, jest to osiągnięcie o dużym znaczeniu. Nowy gatunek ryżu pozwoli na zwiększenie produkcji tej rośliny o 7% czyli o ćwierć miliona ton rocznie.



# Świat się śmieje

## Brutto czy netto?

W czasie lekcji geografii siedmioletni chłopak pyta: — Ile waży ziemia? Nie umiejąc dać odpowiedzi, nauczyciel ucieka się do znajomej techniki: — To bardzo interesujące pytanie. Zobaczymy jutro, które z was, dzieci, potrafi znaleźć trafną odpowiedź. Wieczorem nauczyciel udaje się do miejscowej biblioteki i z pewnym wysiłkiem znajduje potrzebną informację.

Następnego dnia okazuje się, że nikt w klasie nie potrafił uporać się z tą sprawą, wobec tego nauczyciel sam oznajmia, ile waży ziemia. Chwila ciszy, poczem ten sam chłopiec podnosi rękę i pyta: — Z ludźmi czy bez?

## Różnica pojęciowa.

Beniamin Disraeli definiując różnicę między wypadkiem a nieszczęściem, powiedział: Gdyby Gladstone wpadł do Tamizy, to byłby wypadek; gdyby go kto wyciągnął z niej, to byłoby nieszczęście.

## Imiona sławy.

Znany kompozytor austriacki Schönberg, który mieszkał w małym miasteczku pod Wiedniem gościł kiedyś swego przyjaciela. W czasie przechadzki po mieście przyjaciel widząc, że wiele młodzieży pozdrowiało Schönberga, zauważył: — Istotnie zdobyłeś sławę, skoro nawet dzieci cię znają. Widzisz — powiedział kompozytor — mój syn gra na pomocy w szkolnej drużynie piłki nożnej.

## Błędna diagnoza

Sławnego lekarza ktoś zapytał: — Czy nigdy nie zdarzyło się panu postawić błędnej diagnozy, o której pamięta pan dotąd? Niestety, zdarzyło mi się. Razu pewnego, kiedy byłem jeszcze młodym lekarzem, wziąłem milionera za zwykłego żebraka. Do dziś nie mogę sobie tego darować.

## Droga do nieba.

Lekarz zwiedzający szkołę prowadzoną przez księży, zatrzymuje się przed jednym z młodocianych wychowanków i zadaje mu pytanie: Powiedz-no mi mój drogi, co trzeba zrobić, aby się dostać do nieba?

Chłopak — po chwili wahania — odpowiada: Trzeba najpierw umrzeć.

Niewątpliwie — uśmiecha się lekarz — lecz zanim się umrze, co trzeba zrobić?

— Trzeba zachorować i zawołać pana — odpowiada śmiały malec.

## Dialog żołądkowy.

Rzecz dzieje się w restauracji. — Gość do kelnera: Mam, niestety, tylko 5 szylingów w kieszeni, co by mi pan doradził?

— Pójść do innej restauracji.

## Czynna służba.

W Sajgonie opowiadają następującą anegdotę: Z Teksasu do Wietnamu został przysłany rasowy byk w ramach programu poprawienia rasy bydła tego kraju. Wypuszczony na łąkę, byk nie przejawiał najmniejszego zainteresowania pasącymi się krowami. Po naradzie postanowiono sprowadzić jego hodowcę z Teksasu celem zastanowienia się nad przyczyną takiego zachowania się byka. Hodowca natychmiast po przyjeździe udał się do miejsca, w którym znajdował się jego byk i przez dłuższą chwilę pozostał przy nim najwidoczniej szepcząc mu coś do ucha, poczem byk wrócił do stada i z miejsca zaczął się zalecać do pasących się towarzyszek.

Zapytany o przyczynę tej nagłej zmiany u byka, Teksaniec wyjaśnił: Well, to było nieporozumienie. On myślał, że został tu przysłany tylko jako doradca.

## Femme fatale.

Jakiś czas temu w Lozannie zorganizowano wśród grupy studentów różnych narodowości ankietę na temat idealnej kobiety. Po naradzie studenci doszli do przekonania, że idealna kobieta powinna mieć: angielską cerę, irlandzki uśmiech, francuskie kształty, hiszpański chód, włoskie włosy, egipskie oczy, grecki nos, amerykańskie zęby, wiedeński głos, japoński uśmiech, argentyńskie ramiona, szwajcarskie ręce, skandynawskie nogi, chińskie stopy i australijski biust.

Powinna gotować jak Francuska, utrzymywać dom jak Niemka, być łagodna jak kobieta wschodnia, ubierać się jak Amerykanka.

Zapytani jak powinna zachowywać się w miłości, studenci nie znaleźli formuły. Zagadnienie jest zbyt skomplikowane, by można było rozwiązać je przez głosowanie — oświadczyli.

## Pociecha.

Psychiatra do poborecy podatkowego: Nonsens, cały świat nie jest przeciwko panu. Ludzie w tym kraju, tak, ale nie cały świat.

## Wielka różnica.

Aktor angielski znajdujący się w trudnej sytuacji wchodzi w Nowym Yorku do podrzędnej restauracji i ze zdumieniem dostrzega, że jego kolega pracuje w niej jako kelner.

— Jakto? To ty tu pracujesz?

— Tak, ale nie jadam tu — odpowiada — da z godnością ten drugi.

## Jakość mówi za siebie.

W pewnej znanej restauracji starszy pan siedzi już dłuższą chwilę przy stoliku niezauważony przez obsługę. Kiedy w końcu podchodzi doń kelner, który pracuje w niej od wielu lat, starszy pan zauważa:

— Pamiętam wasz lokal z dawnych czasów... bardzo się teraz zmienił... obsługa pod psem.

— Tak, panie radco, to prawda, że nasza restauracja bardzo się pogorszyła, ale nie w tym stopniu, co klientela.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencje z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, k-to pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Dakings House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Inlington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Szanowny Panie Redaktorze,

List ten proszę traktować jako symboliczny powrót marnie i rzadko piszącego na łono redakcyjnej rodziny po dwudziestu latach rozłąki. Jako członek pierwszego zespołu redakcyjnego miałem zaszczyt znalezienia się w „galerii przodków“ w numerze tysięcznym „Orla“, wspomniany przez J. Ostrowskiego w artykule „Posmak działu kulturalnego w „Orle Białym“ i w nrze 1176 w reminiscencjach Z. Racięskiego pt. „Pisklące lata „Orla Białego“.

Na skutek tych wspomnień odmłodziłem o lat 25, nie tracąc, niestety, 25 kilo nadwagi i tak odmłodzony z prawdziwą przyjemnością stwierdziłem, jak bliskie mi są sukcesy i trudności „Orla Białego“ siedzącego na dalekiej i wysokiej turni londyńskiej.

Uwagi moje dotyczą wzmianki pt. **Polacy na Kongresie Kombatanów Brazylijskich**, gdzie znalazłem, iż kol. Pawełkiewicz został mianowany przez autora notatki prezesem SPK Argentyna a marszałek Mascarenhas de Moraes prezydentem Brazylii. Ten ostatni może by i przyjął tę nominację, ale jak na złość inny marszałek — Humberto Alencar de Castello Branco zajmuje ten fotel. Jeżeli nie zangliczeliście ostatecznie i ze współzycia z Anglikami przyjęliście zdrowy „sense of humor“ to opublikujcie to sprostowanie chociażby jako drobne wynagrodzenie szkód materialnych i moralnych wyrządzonych naszemu Kołu.

Ignacy Jeśman  
Rio de Janeiro

(Zamieściliśmy sprostowanie w poprzednim numerze pisma jeszcze przed nadejściem listu Jeśmana — Red.).

#### DLACZEGO NA WSCHÓD?

Szanowny Panie Redaktorze,

W pięknej książce „WIECZORY POD DĘBEM“ Z. Nowakowskiego na stronie 11 jest rycina sylwetki młodziutkiego króla Władysława Warneńczyka, a u jego stóp po prawej stronie jest orzeł biały na tarczy. Orzeł biały w koronie czy też bez niej położony na mapie Rzeczypospolitej ma zawsze głowę skierowaną na zachód. Dlaczego wzmiankowany orzeł obok króla Warneńczyka patrzy na wschód?

Inż. T. Jankowski  
Nottingham

#### „KRAJ NAGICH LUDÓW“

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zajęciem przeczytałem rzecz o „Kraju nagich ludów“, zawierającą parę geograficznych rewelacji: „Biały Nil splywa do jeziora Victoria spadając po drodze niezapomnianymi wodospadami, aby połączyć się wreszcie w jeziorze z Nilem Niebieskim“. Źródła Białego Nilu znajdują się na północny-zachód od jeziora Victoria, płynie on na północ, a więc nie splywa do jeziora, łączy się z Nilem Niebieskim nie w jeziorze, lecz przeszło 2.000 km. na północ od Jeziora Victoria w Chartumie. Nie tworzy też żadnych niezapomnianych wodospadów. Chodzi tu zapewne o Victoria

# Fraszki

B.D.I.C

## Świetlana przyszłość

*Spódniczki z dnia na dzień krótsze;  
A co to będzie pojutrze?*

## Cud

*Polityk tak się nad swoim programem unosił,  
Że na koniec uwierzył w to, co innym głosił.*

## Wolność obywatelska

*Rzekł tak złapany złodziej:  
„Kradnę nie dla zabawy —  
I kogo to obchodzi?  
To są prywatne sprawy“.*

## Zły znak

*Gdy za wcześniej przychodzą wiosna lub kobieta,  
Ciesz się tylko młody, głupi i poeta.*

RAWICZ

## KRZYŻÓWKA Nr 592/67

### ZNACZENIE WYRAZÓW

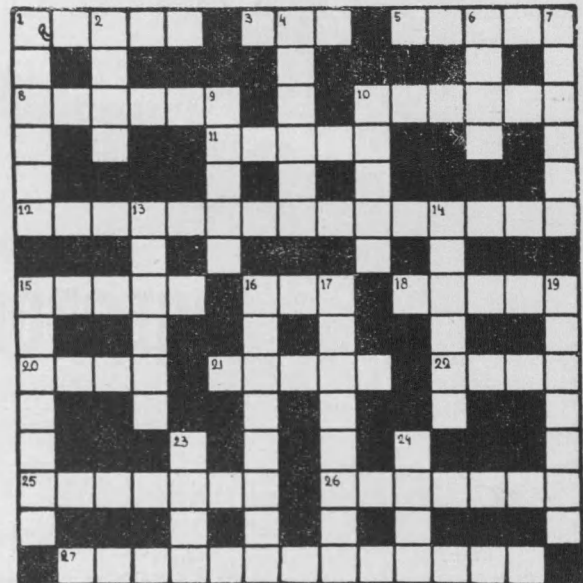
**Poziome:** 1) i 5) zakon; 3) i 16) przysłowiowo suchy; 8) trucizna filozofów?; 10) po nich poznasz klasę konia; 11) jedna z 9) pionowo; 12) różnica poglądów często je powoduje; 15) i 18) na lasce jej to bez dozoru; 20) widowski zręczności; 21) centrum życia dawnego Rzymu; 22) drzeń je z kogo — to łupić go; 25) parlament amerykański; 26) członek partii politycznej; 27) w skromnym miejscu (2, 6, 5).

**Pionowe:** 1) ptak od urodzenia?; 2) i 6) braciszek; 4) trapi dzieci przy rachunkach?; 7) wyrzuty sumienia w mitologii greckiej; 9) np. Stawiskiego we Francji; 10) stamtąd Verdi i dobry ser; 13) bystre i przejrzyste w polskich górach; 14) literacka łąka? (wspak); 15) z palców lub na palcach; 16) najpopularniejszy tytuł wśród nudziarzy?; 17) młodszy brat śmierci (wspak); 19) górna i chmurna (wspak); 23) nawet w gromadzie nic nie znaczą (wspak); 24) najlepsze ponoć z zielonej żabki.

Falls, ale te tworzy rzeka Zambezi około 2.500 km. na południowy-zachód od jeziora Victoria. Czasem lepiej nie wdawać się w szczegóły.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Jerzy Korwin-Wróbiewski  
Cavendish



### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 591/67

**Poziome:** 1) i 5) Złota Bulla, 3) i 16) Verdun, 8) chciwy, 10) sekret, 11) tęczą, 12) Nieboska Komedja, 15) i 18) Prometeusz, 20) i 22) paradoks, 21) wedle (wspak), 25) Cieszyn, 26) odprysk, 27) Czarna Madonna.

**Pionowe:** 1) Narcyz (wspak), 2) obcy, 4) emocja, 6) Lord, 7) Attyka, 9) psoty (wspak), 10) Sanok, 13) Bombaj, 14) Eneida, 15) popłoch, 16) Dulcynea, 17) niezgoda, 19) zasieki, 23) czar, 24) ospa (wspak).

Generalne Przedstawicielstwo Instytutu Literackiego w Paryżu  
na Wielką Brytanię  
GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

## ZESZYTY HISTORYCZNE

DOKUMENTY  
PAMIĘTNIKI  
WSPOMNIENIA

RECENZJE  
POLEMIKI  
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Ukazują się dwa razy do roku. Dotąd ukazało się 11 Zeszytów.  
Cena pojedynczego zeszytu — 22 sh., 3 dol., 15 Fr.

### KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY!

GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace, London. S.W. 7. Tel. KNI 3500

poleca dla córki  
dla syna dwie znakomite książki:

Zygmunta Nowakowskiego

## WIECZORY POD DĘBEM

Opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości w formie błyskotliwej,  
potocznej, pełnej humoru gawędy.

Cena: £ 2.2.0; \$ 3.00; Fr. 30.00

Józefy Męcarskiej

## WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu.

„Przeczytałem ją ze wzruszeniem podziwiając też  
pieczołowite, artystyczne wydanie“ — O. Halecki

Cena: 16/6; \$ 2.50; Fr. 15.00.

OBIE KSIĄŻKI MOGĄ SŁUŻYĆ STARSZEJ MŁODZIEŻY JAKO POMOC W NAUCE  
HISTORII I GEOGRAFII POLSKI.